cena 12 PLN (w tym 8% VAT) www.panstwo.net indeks 211060 #180 05/2021

Krzysztof Wołodźko
HORROR METAFIZYCZNY. SŁOWIAŃSKI UPIÓR I NEOROMANTYZM

Piotr Lisiewicz
FUTBOL, LASKI, KAPELUSZE I PROPAGANDA POLSKOŚCI

NIEZALEŻNA GAZETA POLSKA
NOWE PAŃSTWO

MAPA ZBRODNI PUTINA

Państwo Putina wysadza bloki mieszkalne, **bombarduje** cywilne miasta, przeprowadza akcje terrorystyczne, **morduje** ludzi w biały dzień, w centrum Londynu, Salisbury, Berlina, próbuje obalać rządy, **korumpuje** europejskich polityków, **zabija** elitę polskiego państwa, **napada** na sąsiednie kraje, dryfuje coraz bardziej w stronę jawnego bandytyzmu.



ILUSTRACJA MARIUSZ TROLIŃSKI. FOT. ADOBE STOCK (2), WITWICKI AGAZETA POLSKA

ISSN 1895-4960

eprasa.pl 05def14ee0

TEMAT NUMERU ▼ 4–19



Mapa zbrodni Putina / 4

KRAJ ▼ 20–32



Rosyjskie „wrzutki" i manipulacje po katastrofie smoleńskiej / 20

IDEE ▼ 34–42



Pomniki – ważniejsze niż myślisz / 34

HISTORIA ▼ 48–73



Futbol, laski, kapelusze i propaganda polskości / 48

KULTURA ▼ 74–80



Wyjmij cierń z łapy lwa / 74

ŚWIAT ▼ 82–96



Jak wymiera Rosja / 82

Spis treści

TEMAT NUMERU

Piotr Grochmalski
Mapa zbrodni Putina 4

Andrzej Kowalski
Czy Rosja nam zagraża? 10

Ryszard Czarnecki
Rosja i cztery paradoksy 15

Przemysław Żurawski vel Grajewski
Gra wokół Ukrainy – tło i wnioski z kryzysu 16

KRAJ

Grzegorz Wszołek
Rosyjskie „wrzutki" i manipulacje po katastrofie smoleńskiej 20

Piotr Nisztor
Nowakgate: Gdzie prowadzą ślady korupcji? 24

Stefan Czerniecki
O puszczańskim żywocie pewnego streetworkera 28

IDEE

Jakub Augustyn Maciejewski
Pomniki – ważniejsze niż myślisz 34

Małgorzata Matuszak
Nowe sposoby nie-świętowania 40

HISTORIA

Piotr Lisiewicz
Futbol, laski, kapelusze i propaganda polskości 48

Dariusz Jarosiński
Jako drzewo i gałąź 54

Agnieszka Kowalczyk
Polki, które wygrały wojnę z Hitlerem 60

Ewa Polak-Pałkiewicz
Wersal i bania. Dokończenie 66

Ryszard Wraga
Myśl kapitulacyjna wobec Rosji 72

Włodzimierz Bączkowski
Rosja podbija tych, którzy są w stanie rozkładu 73

KULTURA

Olga Doleśniak-Harczuk
Wyjmij cierń z łapy lwa 74

Krzysztof Karnkowski
Śpiew, taniec i... kiszona kapusta 78

ŚWIAT

Antoni Rybczyński
Jak wymiera Rosja 82

Hanna Shen
Gdy zaczną znikać dziennikarze... 87

Hanna Shen
Tak minął miesiąc w Azji 92

oprac. Antoni Rybczyński
Sputnik V jako broń geopolitycznej soft power 94

Stałe rubryki



Katarzyna Gójska
Partia interesów Moskwy
NA POCZĄTEK 3



Małgorzata Matuszak
Czym jest... przeznaczenie
KATECHIZM INTELIGENTA 43



Krzysztof Wołodźko
Horror metafizyczny. Słowiański upiór i neoromantyzm
DZIENNIK LEKTUR 44



Marek Kalinowski
Ponad granicami
DO GRAJĄCEJ SZAFY... 81



Olga Doleśniak-Harczuk
Gdyby Niemcy mogli wybrać...
Z GLOBALNEGO TYGLA 90



Ryszard Czarnecki
Polskie „sporty narodowe"
CZARNECKO TO WIDZĘ 97



Marcin Wolski
Czy ten niedźwiedź jeszcze śpi?
PAPKULTURA 98



Tomasz Sakiewicz
To był najlepszy test na patriotyzm
OSTATNIE SŁOWO 99

miesięcznik
wydawca
SŁOWO NIEZALEŻNE Sp. z o.o.

REDAKCJA
02-056 Warszawa
ul. Filtrowa 63/43
e-mail: redakcja@niezalezna.pl
www.panstwo.net

NIEZALEŻNA GAZETA POLSKA
NOWE PAŃSTWO

ZESPÓŁ
Ryszard Czarnecki, Stefan Czerniecki, Olga Doleśniak-Harczuk (z-ca redaktora naczelnego), Bogusław Dopart, Katarzyna Gójska (redaktor naczelny), Dariusz Jarosiński, Dorota Kania, Piotr Lisiewicz, Ewa Polak-Pałkiewicz, Małgorzata Matuszak, Tomasz Sakiewicz, Hanna Shen, Bohdan Urbankowski, Jerzy Urbanowicz, Andrzej Waśko, Grzegorz Wierzchołowski, Marcin Wolski

SEKRETARZ REDAKCJI
Martyna Hajdo-Trolińska

DYREKTOR WYDAWNICZY
Tomasz Sakiewicz

PROJEKT GRAFICZNY
Mariusz Troliński

DTP
Aleksander Razcwarkow

KOREKTA
Maria Fijołek, Irena Biśta-Kanciała

INFORMACJA O PRENUMERACIE
www.prenumerata.swsmedia.pl
prenumerata@swsmedia.pl
tel. 605 900 002

NUMER KONTA DLA PRENUMERATORÓW
NIEZALEŻNE WYDAWNICTWO SP. Z O.O.
BANK PEKAO SA
82 1240 5963 1111 0010 3867 3017
(przelew z zagranicy SWIFT: PKOP PL PW)

DRUK **LOTOS POLIGRAFIA Sp. z o.o.**

Redakcja zastrzega sobie prawo do skracania i redagowania tekstów.
ISSN 1895-4960

eprasa.pl 05def14ee0



Katarzyna Gójska

Partia interesów Moskwy

Sabotowanie i kwestionowanie znaczenia aktywności śp. Prezydenta prof. Lecha Kaczyńskiego przeciw imperialnej polityce Moskwy, a potem uległość wobec Kremla w wielu wymiarach działań polskiego państwa to znak rozpoznawczy czasów rządów Tuska, Kopacz i prezydentury Komorowskiego. Naprawdę nie ma takiej dziedziny istotnej dla Rosji, w której nie uzyskałaby profitów od tej ekipy.

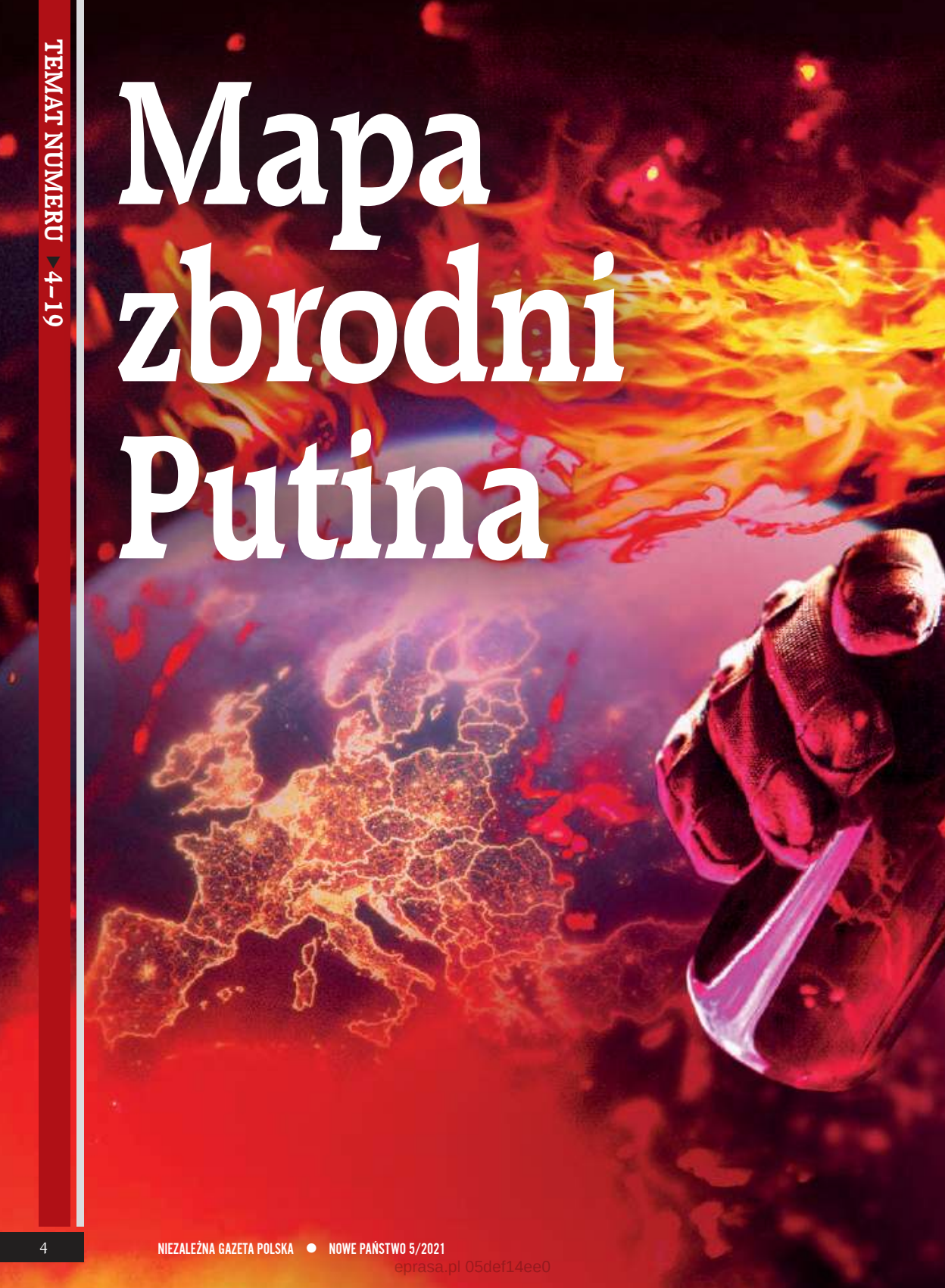
Moskwa walczy o odbudowanie – tak dalece, jak to tylko możliwe – swoich wpływów w państwach, które w czasach sowieckich znajdowały się pod jej okupacją. Główną przeszkodą na tej drodze jest istnienie NATO. Zatem od lat obserwujemy proces testowania Paktu Północnoatlantyckiego, blokowania jego ekspansji zarówno członkowskiej, jak i wprost militarnej, na Wschód. Z tej perspektywy należy patrzeć na atak na Gruzję sprzed niemal 13 lat oraz dzisiejsze niszczenie państwa ukraińskiego. Propaganda Kremla rozsiana we wszystkich państwach Zachodu umiejętnie podważa skuteczność i sensowność wspólnoty transatlantyckiej, podsuwając – również poprzez świat polityki państw UE – rozwiązania przedstawiane jako bardziej racjonalne, korzystne, a mianowicie budowę sił militarnych Unii. I tak się składa, że politycy Platformy od lat wpisują się w tę narrację. A bez wątpienia postacią szczególnie wybijającą się w tym względzie jest były szef dyplomacji z czasów Tuska, dziś europoseł PO, Radosław Sikorski. W dyskusjach na temat europejskiego wojska nie ma nic, co mogłoby być postrzegane jako korzystne dla realizacji interesu Polski. Ten temat jest przesiąknięty całą masą treści, które godzą w bezpieczeństwo zarówno naszego kraju, jak i naszego regionu. Trzeba uzmysłowić sobie arcyistotną sprawę – demontaż atlantyckiego systemu bezpieczeństwa, oderwanie Europy od amerykańskich gwarancji wojskowych i podporządkowanie jej jakimś unijnym strukturom będzie w rzeczywistości wystawieniem krajów dawnego bloku wschodniego na ataki Federacji Rosyjskiej. Podejmowanie zatem tego tematu przez polskich polityków, jakiekolwiek opcji, jest działaniem na rzecz osłabienia gwarancji bezpieczeństwa RP. A akurat w tym zakresie Platforma Obywatelska – jej dawni i obecni politycy – mają wielkie doświadczenie. Warto przypominać bilans ich rządów, szczególnie kiedy Kreml nasila prowokacje wobec Kijowa i bez wątpienia szykuje się do jeszcze silniejszego zawładnięcia Białorusią. Sabotowanie i kwestionowanie znaczenia aktywności śp. Prezydenta prof. Lecha Kaczyńskiego przeciw imperialnej polityce Moskwy, a potem uległość wobec Kremla w wielu wymiarach działań polskiego państwa, to znak rozpoznawczy czasów rządów Tuska, Kopacz i prezydentury Komorowskiego. Naprawdę nie ma takiej dziedziny istotnej dla Rosji, w której nie uzyskałaby profitów od tej ekipy. Od bezpieczeństwa poprzez kwestie energetyczne aż do oddania śledztwa w sprawie śmierci delegacji RP na terenie Rosji pod jej wyłączny i nieskrępowany nadzór. Na szczęście dla Polski politycy PO nie byli w stanie doprowadzić do szczęśliwego zakończenia wszystkich swych prorosyjskich akcji, ale bez wątpienia poziom determinacji w ich finalizacji był ogromny. Zatem jeśli patrzymy na bilans działań wychodzących naprzeciw potrzebom i oczekiwaniom Kremla, to czas rządów koalicji PO-PSL jest jednym z najbardziej korzystnych dla niego w całej historii III RP.

W najnowszym numerze naszego miesięcznika analizujemy politykę Federacji Rosyjskiej i oceniamy, jak realnym zagrożeniem jest ona dziś nie tylko dla Polski, lecz także całej naszej części Europy. ■

W najnowszym numerze naszego miesięcznika analizujemy politykę Federacji Rosyjskiej i oceniamy, jak realnym zagrożeniem jest ona dziś nie tylko dla Polski, lecz także całej naszej części Europy.

eprasa.pl 05def14ee0

Mapa zbrodni Putina



eprasa.pl 05def14ee0



Piotr Grochmalski

Państwo Putina wysadza bloki mieszkalne, bombarduje cywilne miasta, przeprowadza akcje terrorystyczne, morduje ludzi w biały dzień, w centrum Londynu, Salisbury, Berlina, próbuje obalać rządy, korumpuje europejskich polityków, zabija elitę polskiego państwa, napada na sąsiednie kraje, dryfuje coraz bardziej w stronę jawnego bandytyzmu.

Ilustracja: Mariusz Tolński. Fot. Adobe Stock (2), Witwicki A/Gazeta Polska

Historia władzy Putina to historia wojen, mordów i eskalacji barbarzyństwa. Jurij Afanasjew pisał u progu tych wydarzeń, w 2001 roku, że „współczesna Rosja stanowi zagrożenie dla samej siebie, a przez to także dla innych". A gdy świat zaczął odkrywać kolejne dowody zbrodni i brutalnych akcji, jakie służby putinowskie przeprowadzały w wolnym świecie, Peter Zwack, emerytowany oficer wywiadu wojskowego i były attaché obrony w Ambasadzie Stanów Zjednoczonych, powiedział: „Myślę, że zapomnieliśmy, jak bezlitośni potrafią być Rosjanie".

Pierwsze masowe ofiary

Gdy z końcem roku 2000 Borys Jelcyn opuścił Kreml, a prezydencką władzę, do czasu wyborów w marcu 2001 roku przekazał w ręce Władimira Putina, świat był w szoku. Niewiele o nim wiedziano. Adam Michnik na łamach „Gazety Wyborczej" chwalił ten wybór. Uważał, że to oznacza stabilną i bezpieczną dla Europy Rosję. Z kolei Zbigniew Brzeziński uważał, że to forma zamachu stanu i przejęcia przez struktury siłowe kontroli nad państwem. Oleg Soskin, ówczesny dyrektor Instytutu Transformacji z Kijowa, ostrzegał, iż trzon tych sił, które otworzyły Putinowi drogę do Kremla, stanowiły struktury byłego KGB, które będą dążyć do odbudowy imperium. Podkreślał, że „W tej chwili były aparat KGB skupił w swych rękach niemal całą potęgę". Legenda antysowieckiej opozycji, rzecznik praw człowieka w jelcynowskiej Rosji, Siergiej Kowalow, uważał, że to te struktury przygotowały całą operację, aby wylansować Putina, który 8 sierpnia 1999 roku został premierem Rosji. Trzy tygodnie później, 31 sierpnia, w centrum handlowym w pobliżu Kremla wybuchła bomba. Potem nastąpiła cała seria szokujących eksplozji – 3 września w Bujnaksku, w pobliżu granicy z Czeczenią. A potem 9 i 13 września wyleciały w powietrze bloki mieszkalne w Moskwie. 16 września eksplozja zniszczyła dom w Wołgodońsku. Łącznie zginęło 313 osób. 932 ludzi zostało rannych. Narastało przerażenie. Dziesiątki tysięcy Rosjan w miastach koczowało nocą na ulicach. To wtedy ekipa Putina wskazała czeczeński ślad. Ale 22 sierpnia, w Riazaniu, jeden z mieszkańców, Aleksiej Kartofielnikow, przypadkowo był świadkiem podkładania bomby pod budynek, w którym mieszkał. Ustalono później, że zrobili to agenci FSB z Moskwy. Lokalna ekipa pirotechników FSE po przybyciu na miejsce rzeczywiście odkryła trzy worki heksogenu – materiału wybuchowego, z mechanizmem zegarowym. Dzień później Putin w telewizji pogratulował mieszkańcom miasta: „Skoro znaleziono worki, w których był materiał wybuchowy, to znaczy, że ludzie właściwie reagują na wydarzenia w kraju. I chciałbym im za to podziękować". Tego dnia, gdy miała eksplodować „riazańska" bomba, Putin zarządził początek czeczeńskiej operacji, w której zginie 100 tys. ludzi, a która uczyni z niego narodowego bohatera i otworzy mu drogę do Kremla i zwycięstwa w wyborach prezydenckich w 2000 roku. Sama bomba z Riazania, po jej dostarczeniu do centrali FSB w Moskwie, przekształciła się w worki cukru. Poinformował o tym później szef FSB, Nikołaj Patruszew.

Wojna jako narzędzie wewnętrznej mobilizacji

Putin wyzwala więc lęk przed wojną jako narzędzie dyscyplinowania społeczeństwa i utrzymywania się u władzy. Ten mechanizm zastosował, idąc na wojnę z Czeczenią w 1999 roku, Gruzją w 2008 roku, Ukrainą w 2014 roku i Syrią w 2015 roku oraz w 2021 roku, gdy znów zaczął gromadzić armie przy granicy z Ukrainą. W istocie putinowska Rosja prowadzi jedną nieustanną wojnę hybrydową z Europą od 20 lat. Najpierw głęboko ukrytą, ostrożną, zakamuflowaną. A obecnie otwartą, nastawioną na zastraszenie i zdemobilizowanie UE. Jak zauważają autorzy raportu przygotowanego w 2018 roku dla senackiej komisji spraw zagranicznych USA: „Te konflikty odzwierciedlają prawie dwudziestoletni schemat prowadzenia przez Kreml podobnych »małych« wojen w celu osiągnięcia wewnętrznych celów politycznych, ujawniając bezpośredni związek między zewnętrzną agresją rosyjskiego państwa a wewnętrznym uciskiem obywateli i tłumieniem ich oporu, aby rosyjskie społeczeństwo wspierało wojny za granicą i odwracało uwagę od przestępczości reżimu i korupcji panującej w kraju. Nadrzędnymi celami Putina [...] jest zachowanie władzy i zwiększenie własnych zasobów, i wydaje się, że obliczył on, że jego reżim może to najlepiej zrobić, zawyżając swoje społeczne notowania za pomocą agresywnego zachowania za granicą". Autorzy raportu zauważają, iż ta filozofia przetrwania jest co prawda skuteczna z punktu widzenia samego Putina, lecz stanowi poważne zagrożenie dla bezpieczeństwa na świecie. Podkreślają, iż „Nie wystarczy sprzedawać konieczność kolejnych rosyjskich interwencji zagranicznych tylko na potrzeby krajowej opinii publicznej i delegitymizować lub uciszać wszelkie rosyjskie głosy, które pojawiają się na opozycji. Aby Putin mógł odnieść sukces, potrzebuje również podzielonej opozycji za granicą. W tym celu Kreml udoskonalił swój arsenał operacji destabilizujących w kraju i wprowadził go na rynek globalny. Chociaż stosowane metody mogą się różnić w poszczególnych państwach, cele są

eprasa.pl 05def14ee0

takie same: zasiać nieufność i zamieszanie, promować radykalne nurty we wszystkich kwestiach mogących destabilizować demokracje". W raporcie OSW z 2019 roku „Strategiczna kontynuacja, taktyczna zmiana", A. Menkiszak przedstawia „wojenną" mapę udokumentowanych działań Rosji w Europie. Analityk ukazuje obszary agresji militarnej i ataków niemilitarnych prowadzonych przez Rosję Putina. Ogromna większość zaznaczonych przypadków ma charakter, który wymaga autoryzacji Putina. Wśród ataków niemilitarnych wymienia – większe cyberataki, próby przewrotu, ataki chemiczne, zagłuszanie GPS, symulacje ataku nuklearnego, presję migracyjną, dywersję polityczną, porwania, naruszanie granicy, naruszanie wód terytorialnych, naruszanie przestrzeni powietrznej, presję ekonomiczną. Działania takie Rosja podjęła przeciw Polsce, Wielkiej Brytanii, Norwegii, Szwecji, Finlandii, Estonii, Łotwie, Litwie, Czechom, Austrii, Szwajcarii, Włochom, Grecji, Macedonii Północnej, Bułgarii, Gruzji, Ukrainie, Serbii, Czarnogórze, Hiszpanii, USA, Niemcom, Belgii, Holandii, Danii.

Terrorystyczne formacje

Za wszystkimi tymi akcjami stoi GRU, Służba Wywiadu Zagranicznego FR i FSB. Odkrywane są kolejne ślady brutalnej ingerencji Rosji w funkcjonowanie demokratycznych państw. Po ustaleniu udziału GRU w eksplozjach dwóch magazynów broni w Czechach w 2014 roku, pojawia się wątek takich samych, sześciu operacji w Bułgarii w latach 2014–2015. Jest też nowy ślad prowadzący do ekipy remontującej polski samolot Tu-154M w zakładach przyjaciela Putina, Olega Deripaski. Dzięki śledztwom przeprowadzonym przez dziennikarzy i agencje wywiadowcze państw NATO, stopniowo zaczęła się ujawniać skala terrorystycznych operacji, jakie, za zgodą Putina, przeprowadzała specjalna Jednostka GU 29155. Według ustaleń oddział ten był aktywny w inwazji i okupacji Krymu w 2014 roku, a także w przygotowywaniu i wspieraniu rebeliantów w Doniecku i Ługańsku na wschodniej Ukrainie. Stali też za dostawami broni dla tworzonych, w oparciu o prowadzonych przez GU agentów, oddziałów separatystów. Uczestniczyli też w operacji torpedowania wyborów parlamentarnych 26 października 2014 roku na Ukrainie. Oddział stał także za dwukrotną próbą zamordowania bułgarskiego handlarza bronią Emiliana Gebreva w 2015 roku. W 2016 roku to Jednostka 29155 dokonała nieudanego zamachu stanu w Czarnogórze, aby nie dopuścić do jej wejścia do NATO. Rok później, w 2017 roku, jej agenci uczestniczyli w wydarzeniach w Barcelonie, gdy katalońscy separatyści zorganizowali nielegalne referendum w sprawie niepodległości. W 2018 roku oddział wspierał operację zmasowanej akcji hakerów GU, którzy przeprowadzili włamania do agencji antydopingowych w Kolorado, Brazylii, Kanadzie, Monako i Szwajcarii. W 2019 roku francuski „Le Monde" ujawnił, że Jednostka 29155 posiadała swoją tajną bazę operacyjno-logistyczną we francuskim regionie Haute-Savoie w Alpach. Rok później ujawniono jej udział w operacji zabijania żołnierzy NATO w Afganistanie. Agenci z tej formacji terrorystycznej oferowali oddziałom zbrojnym powiązanym z talibami pieniądze za każdą głowę NATO-owskiego żołnierza.

Destabilizować, zastraszać...

GRU wysyła w regiony potencjalnie niestabilne byłych oficerów specnazu, aby tworzyli lokalne struktury i organizacje paramilitarne. Tworzy i zarządza w wolnym świecie takimi lokalnymi, radykalnymi strukturami, które mogą być wykorzystywane do wywoływania niepokojów społecznych. W raporcie dla amerykańskiego Kongresu Andrew S. Brown podkreśla, że „Często te siły [...] składają się ze zorganizowanych przestępców, watażków lub byłych rebeliantów". Modelowe doświadczenie GRU zdobyła podczas wojny czeczeńskiej w Rosji (1999–2009) gdy, razem z FSB, stworzyła i finansowała kilka prorosyjskich oddziałów czeczeńskich. Okazały się skuteczne przeciwko czeczeńskiemu ruchowi oporu. Powstałe wówczas pod egidą GRU bataliony specjalne Zapad i Wostok, brały potem udział w wojnie Rosji z Gruzją w 2008 roku, a także były wykorzystywane podczas rosyjskiej inwazji na Ukrainę w 2014 roku i w syryjskiej operacji. Także inne rosyjskie służby wywiadowcze posiadają tajne zespoły do terrorystycznych operacji za granicą. FSB dysponuje elitarnymi rosyjskimi grupami Alfa i Wympieł. Ta druga jest odpowiedzialna za operacje poza Rosją, w tym sabotaż, zabójstwa i tajny nadzór. To jego oficerowie są powiązani z zamordowaniem w samym centrum Berlina, w biały dzień w 2019 roku Zelimchana Changoszwilego, byłego dowódcy oddziału w II wojnie rosyjsko-czeczeńskiej i oficera armii gruzińskiej, który wziął udział w obronie republiki przed Rosją w 2008 roku. FSB stało też za egzekucją dokonaną na Aleksandrze Litwinience w 2006 roku w Wielkiej Brytanii.

Zabijać, zabijać, zabijać

W 2004 roku agenci GRU w Katarze podkładają ładunek wybuchowy pod samochód byłego prezy-

eprasa.pl 05def14ee0

denta Czeczenii, Zelimchana Jandarbijewa. Razem z nim ginie jego 13-letni syn. Sprawcy zostali zatrzymani na gorącym uczynku. Rok później, w marcu 2005 roku, rosyjscy agenci mordują kolejnego prezydenta tej republiki, Asłana Maschadowa. Nie wydano jego szczątków rodzinie. Jego ciało zostało zakopano bezimiennie w jakiejś dziurze. A 7 października 2006 roku, w dzień urodzin Putina, zostaje zamordowana dziennikarka Anna Politkowska. Prezydent FR osobiście jej nienawidził za obiektywne relacje z czeczeńskiej wojny ukazujące tamtejsze mordy, łapanki i obozy śmierci. Wkrótce po niej, 23 listopada, rosyjskie służby zamordowały Aleksandra Litwinienkę. Został zatruty izotopem polonu 210. Jak pisze Steven Lee Myers w książce „Nowy car", Litwinienko współpracował podówczas z prokuratorem J. Gonzalezem nad rozbiciem rosyjskiej agentury w Hiszpanii. Twierdził, że „rosyjski rząd za pośrednictwem FSB oraz wywiadu zagranicznego i wojskowego kontroluje gangi i wykorzystuje je do przemytu broni, prania pieniędzy, zabójstw i innych zadań, których nie mógłby legalnie wykonywać jako rząd". W liście pożegnalnym Litwinienko napisał: „Być może udało ci się zamknąć mi usta, ale nie ujdzie ci to na sucho [...] Może udało ci się uciszyć jednego człowieka, ale okrzyki protestu rozlegające się na całym świecie będą do końca życia dźwięczeć w pańskich uszach, panie Putin. Niech Bóg wybaczy ci to, co zrobiłeś – nie tylko mnie, ale naszej ukochanej Rosji i jej narodowi". 27 lutego 2015 roku zostaje zamordowany Borys Niemcow. Był przekonany, że po agresji na Ukrainę w 2014 roku, UE zrozumie zagrożenie ze strony Rosji. Zobaczy, że Putin to zwykły bandyta z atomowymi kodami w ręku. Niemcow oczekiwał, że to będzie przełom. Był oburzony: „Wcale nie jest izolowany. Merkel z nim rozmawia, jakby nic się nie stało. Wszyscy z nim rozmawiają". Przygotowywał raport „Putin. Wojna". Nie dokończył go. Były wicepremier Rosji w rządach Czernomyrdina i Kirijenki został zamordowany o rzut kamieniem od gabinetu Putina na Kremlu, na moście wiodącym na plac Czerwony w lutym 2015 roku. Zabito go w jednym z najlepiej strzeżonych miejsc na świecie.

▶ „Zadzwoniłem do mojego zabójcy. Wszystko wyznał"

To miała być spektakularna śmierć. Aleksiej Nawalny wracał 20 sierpnia 2020 roku z Tomska do Moskwy. Stracił przytomność podczas lotu. Jak wykażą potem niemieccy naukowcy, próbowano go otruć bojowym środkiem trującym z grupy nowiczoków. Tym samym, którego agenci GRU użyli wobec Skripala i jego córki na terenie Wielkiej Brytanii w 2018 roku. Fakt, iż zakazana konwencją międzynarodową broń chemiczna została użyta do ataku na wrogów Rosji, ujawnia, że FR posiada nadal taki arsenał i dalej nad nim pracuje. Jest też dowodem na to, iż autoryzacja użycia nowiczoka musiała pochodzić z samego Kremla. Dziennikarze śledczy z Bellingcatu, witryny założonej w 2014 roku przez Brytyjczyka Eliota Higginsa, pomogli Nawalnemu w odkryciu, która sekcja FSB wykonała zadanie. Okazało się, że FSB śledziła Nawalnego już od 2017 roku po tym, jak ogłosił on zamiar startu w wyborach prezydenckich. Bellingcat ujawnił też zapis telefonicznej rozmowy, jaką przeprowadził Nawalny z członkiem oddziału FSB oddelegowanego do jego otrucia. W jej trakcie Konstantin Kudriawcew, agent FSB oraz specjalista do spraw broni chemicznej, nieświadomie wyjawił Nawalnemu szczegóły planu jego zabicia. Według oceny zabójcy nie udało się zamordować wroga Putina, bo za wcześnie rozpoczęła się akcja ratownicza. Agenci FSB podjęli wówczas drugą próbę jego zabicia. Po dojściu w Niemczech do zdrowia, Nawalny 17 stycznia 2021 roku wrócił do Rosji razem z żoną Julią i swoim bratem. Rzucił otwarte wyzwanie człowiekowi, za rządów którego w FR zostało zamordowanych kilkudziesięciu przeciwników politycznych Kremla. Został natychmiast aresztowany i skazany w fikcyjnym procesie na więzienie. Trafił do obozu. Do dziś świat śledzi porażająco nierówny pojedynek tchórzliwego bandyty-prezydenta z opozycjonistą.

▶ Putinowskie imperium korupcji

Dla Putina równie ważne było zbudowanie imperium korupcji. Samantha Karas na łamach „International Business Times" w 2017 roku oceniała zagarnięte przez niego kapitały na 200 mld dolarów. Każdy, kogo dopuści do wąskiego kręgu władzy i jest oddanym i lojalnym człowiekiem służb, ma zielone światło na dorobienie się nielegalnie własnej fortuny. Putin uporządkował system korupcyjny w Rosji i spowodował, że jest on w pełni kontrolowany przez najważniejsze struktury siłowe w państwie. W każdej większej firmie prywatnej musi być zatrudniony człowiek służb, który pilnuje interesów nowych władców Rosji. Służby też sfinansowały lub wykupiły aktywa setek firm na Zachodzie, a także mediów, instytucji naukowych, klubów piłkarskich. Dzięki starym zasobom agenturalnym, pozyskano też współpracę z wieloma politykami na Zachodzie, którzy mieli w swoim życiu epizod pracy dla sowieckiego wywiadu. Putinizm wypracował potężny zestaw narzędzi wywierania

eprasa.pl 05def14ee0

wpływu za granicą. Według badania przeprowadzonego przez The Jamestown Foundation, narzędzia te obejmują „przechwytywanie ważnych sektorów lokalnych gospodarek, niszczenie wrażliwych systemów politycznych, korumpowanie przywódców krajowych, penetrowanie kluczowych instytucji bezpieczeństwa, podważanie jedności narodowej i terytorialnej, przeprowadzanie ofensyw propagandowych za pośrednictwem spektrum mediów i społecznych organizacji".

Putinowski świat i Polska

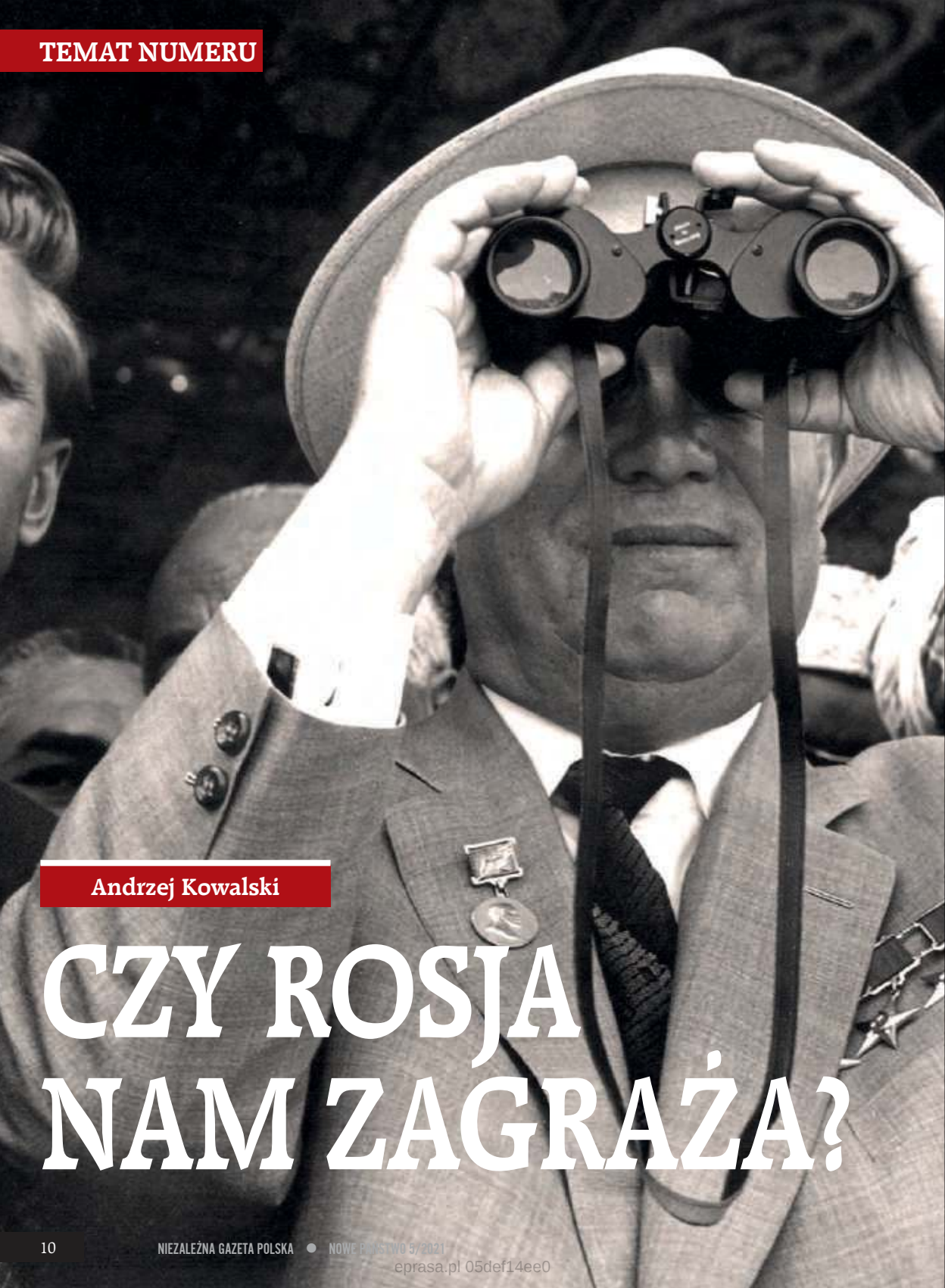
Putinowska Rosja systemowo stosuje narzędzia destabilizacji całych regionów świata. Dla władcy Kremla istniejący porządek to przejaw degeneracji świata, bowiem najwyższą, niemal świętą formą ustroju jest imperium. Rosja musi dokonać swej misji przywrócenia swej potęgi, a dokona tego, niszcząc od środka stabilność państw Europy Środkowej. W neoimperialnej wizji Putina Polska to serce strefy buforowej pomiędzy Unią Europejską a Rosją, która gwarantuje ład wschodnich peryferii Europy. Jest głównym satelitą sił atlantyckich na kontynencie eurazjatyckim. Usamodzielnienie się tej przestrzeni geopolitycznej może ostatecznie rozbić plany stworzenia osi Berlin –Moskwa. Dlatego maksymalne osłabienie Polski winno być fundamentem stosunków rosyjsko-niemieckich. To niemieckie ambicje geopolityczne i realizacja Nord Stream 1 otworzyły drogę Rosji do agresji na Ukrainę. Ale rozwiązanie, które budowało strategiczny sojusz energetyczny Moskwy i Berlina, miało oczywiste, długofalowe, geopolityczne korzyści zarówno dla FRN, jak i dla FR. Stało się też zagrożeniem dla całego regionu. George Friedman w 2011 roku pisał: „Jeśli Niemcy i Rosja będą dalej zmierzać w stronę sojuszu, kraje pomiędzy Morzem Bałtyckim a Morzem Czarnym – tak zwane kraje Międzymorza – staną się nieodzowne dla polityki Stanów Zjednoczonych. Najbardziej wrażliwym z nich i najkorzystniej strategicznie położonym jest Polska. Ma najwięcej do stracenia i doskonale o tym wie. Polacy znaleźli się w Unii Europejskiej, ale tkwią, jak tkwili, między Niemcami a Rosją. Co się stanie, jeśli te dwa kraje się sprzymierzą? Polska, jak i inne kraje Europy Wschodniej, jest przerażona możliwością ponownego wciągnięcia w strefę wpływów jednego lub obu historycznych wrogów".

Zamiast zakończenia

Richard Pipes, analizując rosyjską myśl strategiczną w artykule „Sowiecka strategia globalna", stwierdził, iż „Ze wszystkich europejskich krajów Rosja ma nie tylko najstarszą i najtrwalszą tradycję imperialnej ekspansji, lecz także odznacza się największą konsekwencją w utrzymywaniu raz zdobytych terytoriów". Wskazał też na metodę stosowaną przez Rosję: „Każde nowe terytorium staje się natychmiast częścią niezbywalnego »patrymonium« i zostaje prędzej czy później wcielone do »ojczyzny«. Każde wymaga nowego buforu, który chroniłby je od rzeczywistego czy wyimaginowanego wroga, dopóki ów bufor także nie zostanie w końcu wcielony do »ojczyzny« – a wtedy znów wymaga nowego buforu...". Wadi Kara-Murza, wybitny rosyjski opozycjonista, stwierdza: „Kiedy Władimir Putin doszedł do władzy [...], początkowo starał się postępować bardzo ostrożnie. Testował [...] reakcję zachodnich przywódców na to, co robił. I nie było żadnej reakcji". Stawał się coraz bardziej zuchwały. Admirał James Stavridis, naczelny dowódca sił NATO w Europie, podczas agresji Rosji na Ukrainę w 2014 roku, w oparciu o to doświadczenie, przekazuje nam czytelne ostrzeżenie: „widziałem, jak wygląda rosyjska agresja. Jestem pewien, że spośród wszystkich zagrożeń drugiego dziesięciolecia dwudziestego pierwszego wieku największym jest właśnie Rosja, kierowana przez Władimira Putina". ■

> Putin uporządkował system korupcyjny w Rosji i spowodował, że jest on w pełni kontrolowany przez najważniejsze struktury siłowe w państwie. W każdej większej firmie prywatnej musi być zatrudniony człowiek służb, który pilnuje interesów nowych władców Rosji.

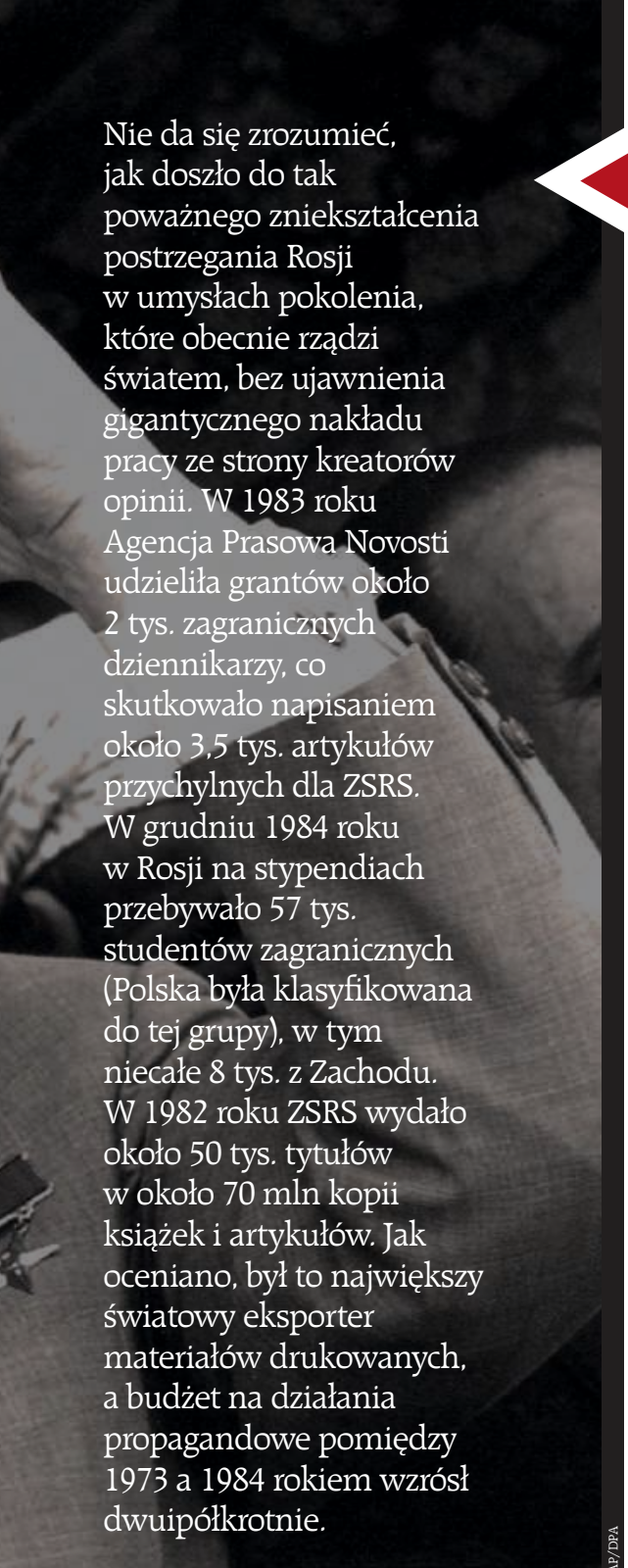
eprasa.pl 05def14ee0



Andrzej Kowalski

CZY ROSJA NAM ZAGRAŻA?

eprasa.pl 05def14ee0



Nie da się zrozumieć, jak doszło do tak poważnego zniekształcenia postrzegania Rosji w umysłach pokolenia, które obecnie rządzi światem, bez ujawnienia gigantycznego nakładu pracy ze strony kreatorów opinii. W 1983 roku Agencja Prasowa Novosti udzieliła grantów około 2 tys. zagranicznych dziennikarzy, co skutkowało napisaniem około 3,5 tys. artykułów przychylnych dla ZSRS. W grudniu 1984 roku w Rosji na stypendiach przebywało 57 tys. studentów zagranicznych (Polska była klasyfikowana do tej grupy), w tym niecałe 8 tys. z Zachodu. W 1982 roku ZSRS wydało około 50 tys. tytułów w około 70 mln kopii książek i artykułów. Jak oceniano, był to największy światowy eksporter materiałów drukowanych, a budżet na działania propagandowe pomiędzy 1973 a 1984 rokiem wzrósł dwuipółkrotnie.

fot. PAP/DPA

Troska o dobre relacje z Rosją, która zablokowała dojście do prawdy o przebiegu katastrofy w Smoleńsku, jest dla mnie niezrozumiała. Fakty przemawiają z jednoznaczną siłą: jesteśmy obiektem rosyjskiej agresji od XVII wieku. Niezależnie od tego, jak bardzo próbowano by zniekształcić historię, to i tak nie uda się udowodnić, że to Polacy zagrażali Rosji. Wystarczy tylko spojrzeć na potencjał polityczny, gospodarczy i demograficzny obu państw, aby wiedzieć, że nasze możliwości sięgają co najwyżej skutecznej obrony niepodległości (na przykład wojna 1920 roku). Jak to jest możliwe, że po wielkiej daninie krwi, którą Polacy płacą od tamtego czasu (tylko w XX wieku były to setki tysięcy Polaków zamordowanych na rozkaz z Moskwy) ciągle jest tak silny sentyment do Rosji? Tym bardziej że ostatnie sto lat Rosji zostało opisane w niezliczonej ilości książek, artykułów i opracowań. Wiemy o Rosji bardzo wiele, może nawet wszystko. Dlaczego więc ciągle nie dowierzamy temu, co już jest opowiedziane?

Krwawe dziedzictwo

Upiorne oblicze Rosji, gotowej do wymordowania wszystkich, którzy jej się sprzeciwiają, obserwujemy od co najmniej stu lat. Przykład pierwszy z brzegu: władca bolszewickiej Rosji Władimir Lenin wydał do regionalnych struktur bezpieczeństwa w sierpniu 1918 roku rozkaz: „Bunt kułaków w pięciu okręgach należy bezlitośnie stłumić. Wymagają tego interesy całej rewolucji, ponieważ właśnie teraz wszędzie toczy się ostatnia decydująca bitwa z kułakami. [...] Należy powiesić (na oczach ludzi) nie mniej niż stu znanych kułaków, bogaczy wiejskich". Gdy dla utrzymania władzy we wrześniu tegoż roku Lenin rozpętał „czerwony terror", czekiści bez żadnych ograniczeń mogli mordować, więc tylko w Piotrogrodzie i Moskwie, w ciągu jednej nocy, zabito ponad 2200 osób. Kryzys żywnościowy na początku lat 20., który spowodowały rządy bolszewickie, przyczynił się do śmierci co najmniej 5,2 mln ludzi. Krew pomordowanych i zamęczonych niewinnych ludzi zdaje się ciążyć strasznym przekleństwem nad ruską ziemią, odbierając możliwość spojrzenia na świat innymi oczyma. Niestety podpowiada też kolejnym pokoleniom rządzących, że przelewanie krwi jest skuteczną metodą zastraszania własnego społeczeństwa (przekonali się o tym mieszkańcy bloków wysadzonych w powietrze przed pierwszą wojną czeczeńską w 1999 roku), sąsiadujących narodów (na przykład Czeczeńców, Gruzinów czy Białorusinów) oraz skutecznego budowania pozycji międzynarodowej (na przykład Syria czy obecnie Ukraina). Nie można tak-

Egzemplarz prywatny def14ee0

że pominąć stosowanej z wyraźnym okrucieństwem i wielką przemyślnością metody skrytobójstw do eliminowania osób, które reżim uznał za niebezpieczne dla siebie (lista nazwisk jest wyjątkowo długa, a Europa reaguje słabo i rzadko na przykład w sprawie A. Litwinienki, A. Nawalnego, E. Gebrewa).

Kłamstwo jako metoda

Podobnie długa jest tradycja karmienia Rosjan mitem zagranicznego zagrożenia dla usprawiedliwienia zbrodni na własnym społeczeństwie lub agresji wobec niewinnych narodów. Lenin stworzył mit zagranicznej interwencji przeciw rewolucji, dzięki czemu mógł stosować „nadzwyczajne" środki walki z kontrrewolucją. Jego posłuszny uczeń Józef Stalin w grudniu 1927 roku oświadczył, że imperialiści przygotowują się do kolejnej wojny. Przeciwstawienie się temu zmyślonemu zagrożeniu skutkowało uchwaleniem kolejnych planów pięcioletnich rozbudowujących przemysł zbrojeniowy (podpisując pokój brzeski w 1918 roku Lenin wiedział, że musi doprowadzić do wojny z Niemcami, tak więc Stalin tylko kontynuował tę politykę). Nacisk położono na produkcję stali, wydobycie węgla i ropy, budowę ciężkich maszyn. Niespotykana była skala wzrostu produkcji i liczby osób zatrudnionych w przemyśle, ale także niewyobrażalne było zubożenie społeczeństwa. Alec Nove, wybitny znawca sowieckiej problematyki ekonomicznej, pisał o roku 1933 jako momencie największego spadku poziomu życia w historii ludzkości. Jednocześnie rozpoczęto masowe szkolenia paramilitarne, medyczne przy wzroście nacisku propagandowego na nieustanne zagrożenie ze strony międzynarodowego kapitału. W szkołach uruchomiono programy podkreślające ideę miłości do ojczyzny. Tymczasem wymuszona kolektywizacja wsi (1932–1933) spowodowała kolejną falę głodu, którego ofiarą padło ponad 5 mln ludzi. Czystki obejmujące członków partii, funkcjonariuszy służb, duchownych i wojskowych dały kolejny milion ofiar, a obozy koncentracyjne wypełniły się blisko 2 mln więźniów. II wojna światowa kosztowała Rosję kolejne 20 mln istnień ludzkich. Chociaż historiografia w różny sposób traktowała te rzeczy, to niewątpliwie największy znawca historii Rosji Richard Pipes napisał, że była to w pełni rozwinięta kontynuacja leninizmu. Dzisiaj słyszymy o zagrożeniu ze strony Zachodu wobec Białorusi, a absurdalność narracji o przygotowaniu zamachu na prezydenta Aleksandra Łukaszenkę nie przeszkadza prezydentowi Władimirowi Putinowi opowiadać o tym w dorocznym orędziu przed Zgromadzeniem Federalnym. Czy jest to przygotowanie uzasadnienia dla przyszłej zbrodni?

Ucieczka do przodu

Nie da się zrozumieć, jak doszło do tak poważnego zniekształcenia postrzegania Rosji w umysłach pokolenia, które obecnie rządzi światem, bez ujawnienia gigantycznego nakładu pracy ze strony kreatorów opinii. Po śmierci Stalina (rządził ZSRS od 1925 do 1953) musieli zmierzyć się z tragiczną spuścizną. Potrzebny był ogromny wysiłek propagandowy, aby słynny „tajny" referat wygłoszony przez Nikitę Chruszczowa na XX Zjeździe Komunistycznej Partii ZSRS w 1956 roku nie doprowadził do kompromitacji na arenie międzynarodowej. Z jednej strony cele wewnętrznej walki politycznej podpowiadały, że poprzednią ekipę trzeba szybko usunąć. Z drugiej strony nie można było dopuścić do osłabienia pozycji „wspólnoty socjalistycznej". Największym wyzwaniem, przed którym stanął Chruszczow, było wypracowanie całkowicie nowej koncepcji politycznej, dzięki której Rosja zagwarantuje sobie zwycięstwo w strategicznym wyścigu z USA. Rządy Stalina nie dawały jednak dogodnego punktu podparcia dla nowego otwarcia, gdyż przełom lat 40. i 50. XX wieku w perspektywie militarnej zdominowało wyprodukowanie pierwszej sowieckiej bomby atomowej w 1949 roku. Był to efekt długofalowej operacji wywiadowczej KGB i GRU oraz wytężonej pracy ośrodków naukowych, które wykradzione materiały amerykańskie starały się skutecznie spożytkować (według Aleksieja Aleksandrowa, jednego z głównych naukowców sowieckich pracujących nad programem jądrowym, Ławrientij Beria w 1945 roku zakazał prac nad pokojowym wykorzystaniem energii atomowej, wręcz miał powiedzieć, że „najpierw bomba, wszystko inne później"). USA na tyle dobrze zrozumiało wybuch na poligonie w Semipałatyńsku, że rozpoczęło bardzo dynamicznie produkcję środków przenoszenia ładunków jądrowych, co było pierwszym poważnym wyścigiem zbrojeń między Rosją i USA. Wyścig ten był dla Rosji bardzo niekorzystny. Ekipa na Kremlu zrozumiała, że w ten sposób doprowadzi swoje państwo do całkowitej zapaści gospodarczej, gdyż nie dysponuje ono zapleczem, które pozwoli dotrzymać tempa narzuconego przez Zachód.

Nowe kłamstwa

W 1957 roku Chruszczow zdecydował o rozpoczęciu nowej ery polityki ZSRS. Najważniejszym założeniem było przekonanie Zachodu, że moskiewski komunizm przestał być tak agresywny (rozpoczęła się natomiast ekspansja maoistowska na państwa azjatyckie), jest słaby i rozbity (pogarszające się relacje z Chinami) odideologizowany, gotów do prowadzenia pragmatycznych

eprasa.pl 05def14ee0

relacji i z pewnością nie stanowi zagrożenia dla wolnego świata. Niektóre źródła podają, że w 1958 roku utworzono w KC KPZS Wydział Polityki Zagranicznej i Działań Aktywnych. W grudniu 1958 roku na szefa KGB powołano Aleksandra Szelepina (to on skierował do Chruszczowa wniosek o zniszczenie teczek więźniów zamordowanych w Katyniu). W KGB w Pierwszym Zarządzie Głównym (wywiad) nadano nowy impet działalności Służbie „A", która była odpowiedzialna za prowadzenie wszystkich operacji dezinformacyjnych wymierzonych w świat Zachodu. Podobno ojcem „działań aktywnych" był szef leningradzkiego KGB, przyjaciel Leonida Breżniewa, Nikołaj Mironow, zafascynowany operacją „Trust", która przez kilka lat (1921–1927) zwodziła służby wywiadowcze państw zachodnich, podsuwając im kuszący obraz silnego związku monarchistycznego w bolszewickiej Rosji, gotowego na wywołanie przewrotu państwowego i pozbawienie bolszewików władzy. Chruszczow, Breżniew, Szelepin i Mironow doszli do wniosku, że możliwe jest, aby KGB zaczęło pełnić nową rolę, podmiotu efektywnie wspierającego politykę partii komunistycznej. Bardzo trafnie ujął to Szelepin, krytykując swojego poprzednika i wytykając mu, że policja potrafi kontrolować obywateli, ale nie jest w stanie wpływać na pojawienie się poglądów korzystnych dla władzy i zapobiegać wzrostowi nieprzychylnych dla niej nastrojów w kraju i za granicą.

Aparat propagandy

Rozpoczął się proces budowania niewyobrażalnej machiny propagandowej, której finansowanie było o wiele mniejsze niż środki przeznaczane każdego roku na zbrojenia, a długofalowa efektywność niewyobrażalnie szkodliwa dla Zachodu. W starych raportach CIA możemy odnaleźć liczby, które nawet dzisiaj budzą podziw nad skalą przedsięwzięcia oraz grozę, gdy pomyślimy o skutkach tamtych działań. W 1983 roku Agencja Prasowa Novosti udzieliła grantów około 2 tys. zagranicznych dziennikarzy, co skutkowało napisaniem około 3,5 tys. artykułów przychylnych dla ZSRS. Agencja TASS miała biura w 126 krajach świata (wśród około 400 pracowników często ukrywano oficerów wywiadu). Poprzez radio w 1985 roku nadawano tygodniowo 2215 godzin audycji w 82 językach. Program wymiany kulturalnej podpisany był ze 120 krajami (według ZSRS „relacje kulturalne" obejmowały naukę, edukację, literaturę, muzykę, sport i turystykę). W grudniu 1984 roku w Rosji na stypendiach przebywało 57 tys. studentów zagranicznych (Polska była klasyfikowana do tej grupy), w tym niecałe 8 tys. z Zachodu. W 1982 roku ZSRS wydało około 50 tys. tytułów w około 70 mln kopii książek i artykułów. Jak oceniano, był to największy światowy eksporter materiałów drukowanych, a budżet na działania propagandowe pomiędzy rokiem 1973 a 1984 wzrósł 2,5-krotnie. CIA oceniała, że w związku z łączeniem przez Wiktora Czebrikowa funkcji szefa KGB i członka Komitetu Centralnego Partii Komunistycznej (w latach 1985–1989 także Biura Politycznego) służba w pełni uczestniczyła w działaniach aparatu propagandowego ZSRS. I chociaż cały proces strategicznej dezinformacji rozpoczął Chruszczow, to przecież następni sekretarze generalni L. Breżniew, J. Andropow, K. Czernienko i M. Gorbaczow działali całkowicie zgodnie z tamtą linią, czego najlepszym dowodem jest nieprzerwane istnienie struktur KGB odpowiedzialnych za środki aktywne (na przykład dezinformacja).

Nowa Rosja?

Czy to wszystko mogło odejść w zapomnienie w roku 1999, gdy funkcjonariusze KGB stali się trzonem Federacji Rosyjskiej? Można powiedzieć, że tak komfortowej sytuacji nie mieli nigdy w ZSRS. Teraz oni przechwycili państwo, teraz oni założyli partie polityczne, teraz oni zapełnili całą fasadę administracji ludźmi przez nich wybranymi. Na tak wielką skalę nie było jeszcze państwa rządzonego przez służby specjalne. Kolejne zmiany ustawy o Federalnej Służbie Bezpieczeństwa (sukcesor KGB) oddawały w ręce służby coraz więcej kompetencji i obecnie można powiedzieć, że prezydent FR rządzi państwem dzięki istniejącej równolegle do oficjalnej struktury administracyjnej pół-utajnionej struktury FSB. Warto jeszcze dodać, że owe 57 tys. studentów, którzy w 1984 roku przekroczyli wiek dwudziestu lat, obecnie jest w pełni rozwoju zawodowego z maksymalnymi możliwościami kształtowania otaczającej ich rzeczywistości.

Nie tylko ideologia

Od 2007 roku Rosja podjęła twardą walkę z Zachodem. Celem jest powrót Rosji do stołu, przy którym dzieli się władzą nad światem. Niestety zasób działań dostępnych, wypracowanych i skutecznych jest ograniczony. Po części zdeterminowane jest to stanem umysłu (kształtowanym na przytoczonych powyżej reprezentatywnych faktach) i pełnym przekonaniem, że przy pomocy trucizny, sztyletu i zastraszania można osiągnąć w polityce światowej bardzo wiele (całe szczęście nie wszystko). Gdy dołożymy do tego setki milionów umysłów we wszystkich państwach Zachodu zatrutych marksistowską wizją walki (nie musi być to walka klas, może być to jakakolwiek płaszczyzna podziału w społeczeństwie, rzeczywista lub urojona, lecz skutecznie oddziałująca na emocje, postawy

eprasa.pl 05def14ee0

i wybory polityczne), to mamy kolejny element arsenału działań rosyjskich. Do tego dołożyć musimy jeszcze jeden, wypracowany po agresji na Gruzję w 2008 roku, tzn. odnowioną armię, która nie stanowi tak wielkiej siły jak opowiedział nam Putin w swoim ostatnim wystąpieniu, ale jest wystarczająco sprawna, aby stanowić poważne zagrożenie dla każdego państwa, które przylega do Rosji i przez Kreml uznawane jest jako rosyjska strefa wpływów. Oficjalnie w ciągu dekady wpompowano w sektor obrony ponad 600 mld dolarów (niemożliwa jest do określenia rzeczywista skala wydatków na obronność, gdyż część sum jest ukryta w budżetach innych resortów) i teraz ta inwestycja musi się zwrócić.

Pytania bez odpowiedzi

Rosyjscy stratedzy wiedzą doskonale, że wojny wygrywa się wolą walki, a nie ilością sprzętu i liczebnością armii. Czy patrząc na tzw. kolektywny Zachód (jako najważniejsze podmioty tej wspólnoty należy wymienić NATO i UE) rosyjscy politycy i generałowie widzą objawy atrofii, czy zwierania szeregów? Czy licząc wyrzuconych oficerów wywiadu, widzą w tym histeryczną reakcję czy skoordynowany opór dyktowany niezgodą na rajdy „szwadronu śmierci GRU" po Europie? Czy słysząc o „czerwonej linii" wybuchają pustym śmiechem, przeglądając szuflady z materiałami kompromitującymi (planują odpowiedni wyciek przez jakąś stronę internetową), czy uwzględniają, że doszli do nieprzekraczalnej granicy? Czy słuchając zapewnień o solidarności z Ukrainą, przygotowują bojówki Ukraińców, którzy na przykład zaatakują polski konsulat w Charkowie, czy płacą za podbijanie „banderowskiego" argumentu za pozostawieniem Ukrainy samej sobie? Nie można lekceważyć przejęzyczenia Putina, któremu 21 kwietnia 2021 roku wymsknął się „Układ Warszawski" wśród organizacji poszerzających wpływ Rosji na sytuację międzynarodową. Czy to tylko freudian slip, bezwładność umysłu, który nie zauważył, że zmieniła się rzeczywistość? Czy mamy do czynienia z objawem postępującej choroby? A może jest to sygnał dla najtajniejszego sojusznika, dawnych oficerów, którzy złożyli przysięgę wierności sojuszom ze Związkiem Radzieckim? Politycy powinni to przemyśleć, a kontrwywiady rozważyć, czy tego rodzaju zasoby jeszcze są czynne na terytorium państw NATO. Zatrzymanie w Bułgarii siatki szpiegowskiej pracującej dla Rosjan, przynajmniej w części, zdaje się to potwierdzać.

O co walczy Putin?

Uff, jaką ulgę poczuł Zachód, po kilku tygodniach napięcia wokół Ukrainy, gdy rosyjski minister obrony Sergiej Szojgu ogłosił, że rozpoczyna się wycofanie wojsk z terenów przygranicznych. Czy jednak usłyszano w jego wypowiedzi tę część, w której mówi, że Rosja zrealizowała zamierzone cele? Tym razem celem nie było uderzenie na Ukrainę. Scenariusz postawienia połowy Europy pod ścianą został skutecznie zrealizowany. Jak długo jeszcze takie zagrania będą skuteczne? A co się stanie, gdy Putin dojdzie do wniosku, że może tej metody użyć ostatni raz? Czy wtedy znowu będziemy zaskoczeni? Perspektywa rosyjska jest wbrew pozorom prosta. Wszelkie zasoby tego państwa się kończą, więc pozycję międzynarodową mogą wywalczyć dostępnymi metodami, ale pozostało jeszcze tylko kilka lat. W przemówieniu z 2019 roku Szefa Sztabu rosyjskich sił zbrojnych generała Walerija Gierasimowa wyraźnie zostało zapowiedziane, że czynnik militarny zostanie włączony w realizację celów polityki rosyjskiej i nie chodzi tylko o „zielone ludziki", chodzi o całą armię. W najbliższych latach ten nowy „argument" będzie używany na obszarach ważnych także dla Polski, a będą to: Białoruś, Ukraina, Mołdawia, Morze Czarne, Kaukaz i Arktyka. Jakiekolwiek przemieszczenia wojsk w tych rejonach wpływają na siły zbrojne RP, w najlepszym przypadku tylko ze względu na zobowiązania sojusznicze. Należy pamiętać, że realizacja celów w polityce rosyjskiej nie jest związana z trzymaniem się jakichkolwiek zasad, ważna jest tylko skuteczność. Tym bardziej że Putin nie tylko zna kanony myślenia Zachodu, ale dysponuje całą rzeszą milczących popleczników, którzy będą nas przekonywać swoim „niezależnym" głosem, że 2 razy 2 nie musi być 4.

Na koniec jeszcze jedno przypomnienie: w rosyjskiej polityce bardzo często sukces polityczny ważniejszy był od skutków ekonomicznych, więc niech nas nie uspokaja argument: Rosji to się nie opłaca. Jesteśmy na osi naturalnego kierunku ekspansji rosyjskiej, to się nie zmieni, dopóki nie zmieni się paradygmat rosyjskiej polityki, a tego w najbliższym czasie nie można się spodziewać. Warto zauważyć, że po 2000 roku przywrócono melodię hymnu ZSRS, uznano wkład Stalina w zwycięstwo w II wojnie światowej, a symbole komunistyczne mają się świetnie. A Putin? Cóż, chce być dalej prezydentem, do rekordu Stalina jeszcze parę lat mu brakuje. ■

Gen. bryg. Andrzej Kowalski – szef Służby Wywiadu Wojskowego w latach 2015–2020. W latach 2006–2011 w Służbie Kontrwywiadu Wojskowego m.in. na stanowisku zastępcy szefa oraz p.o. szefa.

eprasa.pl 05def14ee0



Ryszard Czarnecki

Rosja i cztery paradoksy

„Czy Putin zagraża Europie"? Tak, zagraża mimo że Rosja słabnie. Tak, zagraża, mimo że władza samego Putina w Rosji słabnie. Tak, zagraża, mimo że rosyjskie społeczeństwo jest dziś najbardziej krytyczne wobec własnej władzy od dwóch dekad, przynajmniej od czasów Jelcyna.

Pierwszy rosyjski paradoks wynika z historii tego kraju. Od wieków było tak, że im bardziej Rosja „biała", a później „czerwona" słabła gospodarczo, im miała większe problemy wewnętrzne, tym bardziej była agresywna w swojej polityce zagranicznej. To klasyczna próba ucieczki „do przodu" w kierunku polityki imperialnej, mocarstwowej. To samo dzieje się teraz. Federacja Rosyjska słabnie ekonomicznie, traci wpływy w swoich tradycyjnych strefach oddziaływania choćby w Azji Środkowej czy szerzej: w obszarze postsowieckim, ale napina polityczno-militarne bicepsy na Bliskim Wschodzie. Ten teatr jest dość skuteczny, bo licytując ponad to, co ma w politycznych kartach, Moskwa wymusza, aby Zachód liczył się z nią bardziej niż powinien to czynić w oparciu o jej realną siłę.

Drugi paradoks polega na tym, że Rosja, która przez wieki dbała o to, aby Zachód dzielić, aby państwa Zachodu skłócać, aby rozbijać zachodnią wspólnotę cywilizacyjną przez faworyzowanie gospodarczo-polityczne niektórych krajów – w ostatnich latach jednocześnie robi wszystko, aby... Zachód zjednoczyć. Inwestuje w relacje dwustronne na przykład z Niemcami, Francją, Włochami czy Holandią – jednocześnie swoimi działaniami (zamordowanie Litwinienki, otrucie Skripala, sprawa Nawalnego czy wzmożenie działalności agenturalnej w krajach członkowskich UE lub państwach kandydujących do wstąpienia do Unii), chcąc, nie chcąc, zmusza Zachód do scementowania i zajmowania jednolitego stanowiska. Charakterystyczne, że zaczęło się to zmieniać po akcesie państw naszego regionu, zwłaszcza Polski i krajów bałtyckich do UE w 2004 roku. W latach wcześniejszych gra Rosji była dla niej lżejsza, łatwiejsza i przyjemniejsza. Oczywiście Nord Stream to z kolei gra Niemiec ponad głowami Unii z Rosją, ale w tym samym czasie państwa, uważane historycznie rzecz biorąc za „prorosyjskie", systematycznie, co pół roku głosują za przedłużeniem sankcji ekonomicznych wobec Moskwy! A to z kolei ma wpływ na pogarszanie się sytuacji gospodarczej FR.

Trzeci paradoks to fakt, że Rosja, cofając się i tracąc strefy wpływów (Ukraina, Bałkany – nawet pomimo zwycięstwa opcji prorosyjskiej w wyborach w Czarnogórze – Gruzja, dawne sowieckie republiki w Azji Centralnej) nie zmienia swojej polityki zagranicznej ani o jotę. Moskwa przypomina kierowcę samochodu, który jeździ tak samo ostro jak wcześniej, mimo że co chwila powoduje wypadki i kolizje drogowe, a jego samochód jest coraz mniej warty – choć dalej jedzie. Być może wynika to z rosyjskiej tożsamości i uprawiania polityki w tradycyjny sposób, jak dekadę czy wieki temu. Być może KGB-owska elita władzy na Kremlu zmienić tej polityki nie umie, a może też nie chce, bo z kolei zagroziłoby to jej pozycji. Faktem jest jednak, że kurczenie się rosyjskich wpływów i systematyczne „odkrajanie" od Moskwy przez Zachód państw czy regionów uważanych za jej najbardziej podstawową strefę wpływów (byłe republiki ZSRS) zupełnie nie zmieniło ani istoty międzynarodowej polityki Kremla, ani nawet jej formy.

Przedstawiłem te trzy paradoksy, aby spuentować je odpowiedzią twierdzącą na pytanie: „czy Putin zagraża Europie"?

Tak, zagraża mimo że Rosja słabnie. Tak, zagraża, mimo że władza samego Putina w Rosji słabnie. Tak, zagraża, mimo że rosyjskie społeczeństwo jest dziś najbardziej krytyczne wobec własnej władzy od dwóch dekad, przynajmniej od czasów Jelcyna. Charakterystyczne są protesty czysto ekonomiczne, które co prawda nie przekładają się na poparcie dla rachitycznej opozycji, lecz pokazują erozję strachu wobec władzy nawet na rosyjskiej prowincji, przez wieki odległej od podważania „samodzierżawia" carskiego czy sowieckiego.

Tak, Rosja jest groźna, choć słabsza. Tak, Rosja jest zawsze silniejsza słabością Zachodu i brakiem jego jedności. Rzecz jednak w tym – i to jest czwarty paradoks – że Zachód od końca zimnej wojny nie był tak zjednoczony jak teraz. Jednak ta jedność Zachodu wcale nie oznacza, że zagrożenie ze strony Rosji samo z siebie wyparuje... ■

eprasa.pl 05def14ee0



Przemysław Żurawski vel Grajewski



GRA WOKÓŁ UKRAINY – tło i wnioski z kryzysu

Doszło do konsolidacji wschodniej flanki NATO oraz USA, Wielkiej Brytanii i Kanady w poparciu dla Ukrainy, którego równolegle udzieliła także skłócona z Waszyngtonem, lecz współpracująca z Polską i Rumunią Turcja. Paraliż rosyjskiej agentury, spowodowany masowymi wydaleniami rosyjskich dyplomatów w Europie Środkowej, dodatkowo utrudnił operacje Kremla. Zwraca uwagę marginalizacja w tej grze Niemiec i Francji, które nie odegrały w niej żadnej istotnej roli.

eprasa.pl 05def14ee0

Wzrost napięcia, grożący eskalacją ciągnącego się od 2014 roku zbrojnego konfliktu rosyjsko-ukraińskiego, który po 2015 roku wszedł w fazę działań o niskiej intensywności bojowej, i jego spadek w ostatnich dniach to wdzięczny materiał do analizy stanu relacji międzynarodowych w naszym regionie. Pozwala nam przyjrzeć się zarówno polityce Rosji i Ukrainy, jak i reakcjom UE (Niemiec i Francji) oraz wyciągnąć wnioski z pierwszego poważnego testu nowej administracji prezydenckiej USA Joego Bidena, a także zdiagnozować sytuację w naszym regionie.

Budowanie napięcia

Najnowsza odsłona konfliktu rosyjsko-ukraińskiego rozpoczęła się na imprezie o wiele mówiącej nazwie Forum Integracyjne Rosyjski Donbas pod koniec stycznia od publicznych dywagacji szefowej podległej Kremlowi stacji telewizyjnej RT (Russia Today) Margarity Simonyan, o konieczności aneksji Doniecka i Ługańska przez Rosję. W doktrynie „rosyjskiego Donbasu" zadeklarowano: „Wyjście tych regionów ze składu Ukrainy oraz likwidacja państwa ukraińskiego w jego dzisiejszym kształcie, utworzenie rosyjskiego państwa – spadkobiercy Ukrainy, znacząco polepszyłoby perspektywy Donbasu". W ślad za tym prezydent Wołodymyr Zełenski 2 lutego 2021 roku zatwierdził decyzję Rady Bezpieczeństwa Narodowego i Obrony Ukrainy o sankcjach wymierzonych w rosyjską agenturę nad Dnieprem, w tym o zamknięciu trzech kanałów TV nadających rosyjską propagandę. Rosja odpowiedziała wzmożonym atakiem propagandowym na Ukrainę, gromadzeniem sił na wschodnich rubieżach tego państwa, a potem na Krymie, i ruchami wojsk w kontrolowanym przez siebie Naddniestrzu i blokadą portów ukraińskich nad Morzem Azowskim – zamknięciem dla ruchu morskiego Cieśniny Kerczeńskiej i sąsiadujących z nią akwenów oraz manewrami rosyjskiej Floty Czarnomorskiej w tym rejonie.

Realia wojskowe

Skala rosyjskiej koncentracji wojskowej na wschodzie i jej natura świadczyły raczej o woli przeprowadzenia demonstracji zbrojnej, a nie inwazji, lecz sposób rozwinięcia wojsk na Krymie (rozbudowa szpitali wojskowych, gromadzenie paliwa, amunicji itp. – niezanotowane na wschodzie) podniósł prawdopodobieństwo wybuchu intensywnych walk na wyższy poziom, choć przeczyła temu z kolei geografia. Prowadzenie ofensywy z Krymu na północ przez wąski przesmyk Perekopu nie pozwala na szybkie rozwinięcie operacyjne skoncentrowanych wojsk i wyzyskanie naturalnej przewagi agresora, mającego swobodę koncentracji sił na wybranych kierunkach przełamania, w celu uzyskania na nich przewagi gwarantującej powodzenie. Na Perekopie nie ma się gdzie rozwinąć. Wielkie desanty morskie są zaś zawsze skomplikowaną operacją logistyczną, a armia rosyjska nie słynie z perfekcyjnej logistyki. Wizja koncentrycznego natarcia ze wschodu na osi Mariupol–Krym, z południa – z Krymu i przez desant morski na Odessę oraz z Naddniestrza na południowy wschód także ku Odessie, z zamiarem odcięcia Ukrainy od Morza, mogła zatem stać się wdzięcznym tematem spekulacji prasowych, lecz słabo odpowiadała realiom wojskowym. Rosja na wszystkich tych kierunkach zgromadziła 150–180 tys. żołnierzy (wraz z formacjami „separatystów"). Armia ukraińska liczy obecnie ponad 200 tys. żołnierzy, a w okresie intensywnych walk lat 2014–2015 status frontowca uzyskało około 250 tys. rezerwistów. Ukraina dysponuje zatem nie tylko liczną armią czynną, lecz także ostrzelanymi w boju rezerwami. USA dostarczyły jej rozmaitego sprzętu i ekwipunku, od radarów artyleryjskich, pozwalających namierzać cele, po pociski przeciwpancerne Javelin, Turcja zaś drony bojowe, świeżo okryte sławą skuteczności w wojnie ormiańsko-azerskiej. W doposażaniu Armii Ukraińskiej swój udział ma także Polska, będąc w kategoriach finansowych trzecim po USA i Kanadzie dostarczycielem materiałów wojennych (głównie suchych racji żywnościowych i dronów płytkiego rozpoznania). Próba zaboru znacznych połaci ukraińskiego terytorium przy użyciu zgromadzonych przez Rosję sił byłaby zatem nierealistyczna. Rosja jednak od lat trenuje przerzut wielkich ilości wojsk na duże odległości. Gromadzenie sił wokół granic Ukrainy pozwoliło zaś na wykonanie znacznej części pracy logistycznej w zakresie zaopatrzenia wojsk inwazyjnych w niezbędne materiały (amunicję, paliwo itd.). Samo dosłanie ludzi i sprzętu byłoby więc już znacznie prostsze. Zagrożenie zatem, jakkolwiek nie osiągnęło poziomu krytycznego, było realne i nie pozwalało wykluczyć scenariusza gwałtownego uzupełnienia sił i uderzenia. Taki rozwój wydarzeń nadal jest możliwy. Okręty rosyjskiej Floty Czarnomorskiej wciąż operują na wodach oblewających wybrzeża Ukrainy, zgromadzone zapasy zostały, a żołnierzy szybko można przerzucić z powrotem na podstawy wyjściowe do ataku.

Tło wewnątrzrosyjskie

Rosja jest państwem rządzonym przez klan „siłowików" – oficerów sowieckich/rosyjskich służb specjalnych. Jego jedynym celem strategicznym jest utrzymanie się u władzy. Inne cele, w tym imperialne, mają charakter instrumentalny – służą realizacji owego celu pierwotnego. Pamiętając o tym, nietrudno wskazać okoliczności skłaniające Putina do odegrania teatru imperialnego „cara jednoczyciela ziem ruskich", z zamiarem podbudowania słabnącego prestiżu jego reżimu. Rosja przeżywa bowiem wielopłaszczyznowy kryzys, drastycznie pogłębiony w minionym roku. Od 2013 roku dochody przeciętnego Rosjanina spadły o 12 proc., ale z tego aż 5 proc. to skutek zeszło-

fot. RUSSIAN DEFENCE MINISTRY HANDOUT/PAP/EPA

eprasa.pl 05def14ee0

rocznego załamania cen ropy naftowej i kryzysu gospodarczego związanego z epidemią koronawirusa. W 2020 roku inwestorzy zagraniczni zainwestowali w Rosji 1,4 mld dolarów wobec 28,9 mld dolarów jeszcze rok wcześniej. To największy spadek od 26 lat. Nie widać żadnych perspektyw odwrócenia spadkowego trendu gospodarki rosyjskiej. Ceny gazu i ropy nie wrócą do tych sprzed dekady, innych hitów eksportowych Rosja zaś nie posiada.

Skandal z pałacem Putina i Nawalnym dodatkowo obniżył prestiż osobisty Putina i wywołał falę protestów. Nie mają one szansy obalić reżimu, lecz uderzają w jego stabilność, a panująca na Kremlu psychoza „inspirowanych przez Zachód kolorowych rewolucji" skłania reżim do nerwowych reakcji i przeceniania skali zagrożenia. Protesty na sąsiedniej Białorusi i spadek rosyjskich wpływów w Mołdawii dopełniają obrazu „oblężonej twierdzy". Pamięć o wpływie zaboru Krymu w 2014 roku na wewnątrzrosyjską scenę polityczną (gwałtowny wzrost popularności Putina pod hasłem „Krym nasz!") rodzi pokusę powtórzenia operacji podreperowania wizerunku reżimu sukcesem imperialnym tak miłym rosyjskiej duszy. Scenariusz aneksji opanowanych części Donbasu jest więc wciąż realny, mimo jego nonsensu gospodarczego. Tak odegrany teatr imperialny byłby początkowo stosunkowo tani politycznie. Anektowany obszar nie musiałby być wszak zdobywany wojskowo. Rosja zmieniłaby jedynie jednostronnie jego status, tak jak zrobiła to z Krymem, lecz powiększenie go o choćby symboliczne dodatkowe terytoria znakomicie podbudowywałoby ów „sukces" propagandowo. Wojsk do przeprowadzenia tego typu ograniczonej operacji zgromadzono zaś dostatecznie dużo.

Zachód widziany z Kremla, czyli jeśli nie teraz, to kiedy?

Polityczna potrzeba Kremla podbudowania chwiejącego się prestiżu Putina zbiegła się czasowo z wysyłanymi przez Zachód sygnałami słabości, które ośmielały Moskwę, stwarzając wrażenie wyjątkowej okazji do stosunkowo bezkarnego przeprowadzenia kolejnej akcji imperialnej. Kryzysowa natura przekazania prezydentury w USA, pośpiech Niemiec, by zanim Amerykanie sami ze sobą dojdą do ładu i będą mogli zareagować, podpisać porozumienie UE–Chiny – co musiało być odczytane w Rosji jako dowód trwałości i głębokości podziałów w łonie NATO, wynikający z tychże samych motywów pośpiech Niemiec i Francji z wysłaniem Josepa Borrella do Moskwy i będąca skutkiem tej decyzji katastrofa dyplomatyczna UE, stałe niemieckie poparcie dla Nord Stream 2 i francuskie wezwania do „nowego otwarcia w relacjach z Rosją", a także deklaracja prezydenta USA Joego Bidena o poszukiwaniu pól współpracy z Kremlem (kontrola zbrojeń strategicznych – przedłużenie układu New START na rosyjskich warunkach, kwestie klimatyczne, anty-COVID-owe i antyterrorystyczne) – wszystko to mogło stwarzać wrażenie, że zachodnie potępienie dla rosyjskich akcji imperialnych ma charakter rytualny, a w rzeczywistości Niemcy i Francja gotowe są do pogłębienia współpracy z Rosją, w tym w zakresie redukcji dominacji amerykańskiej w Europie, Stany Zjednoczone poszukują zaś sposobu na oderwanie Rosji od Chin i wskazują Moskwie możliwe obszary współpracy. Chłód w relacjach amerykańsko-tureckich i chaos informacyjny co do notyfikowania Turcji przez USA zamiaru wprowadzenia okrętów US Navy na Morze Czarne, a potem rezygnacja z tego kroku niewątpliwie pogłębiały w Moskwie wrażenie słabości i niezdecydowania Zachodu. Znane od czasów Gerharda Schrödera i potwierdzone ostatnio przykładem byłej minister spraw zagranicznych Austrii Karin Kneissl rosyjskie zdolności do korumpowania elit politycznych UE niewątpliwie dają dodatkowe poczucie zabezpieczenia interesów Kremla w relacjach z Europą. Wszystko to mogło w dynamiczny sposób oddziaływać na plany Rosji związane z koncentracją wojsk wokół Ukrainy.

Co było celem Rosji?

Demonstracyjny charakter rosyjskiej koncentracji wojsk wokół Ukrainy, oznaczający rezygnację z czynnika zaskoczenia, jej zakres niedostateczny do podjęcia realnych działań na wielką skalę i szczególnie na wschodzie brak przygotowań logistycznych, mogą świadczyć, że pierwotnym celem Rosji była demonstracja zbrojna – pokaz siły, przed którym miałaby się ugiąć „osamotniona Ukraina". Dodatkową nagrodą za „łaskawą rezygnację" Rosji z uderzenia mogłaby być zgoda USA (i działającej pod wpływem Niemiec, ale poszukującej pretekstu do kapitulacji UE) na dokończenie Nord Stream 2. Eskalacja napięcia miała zatem służyć politycznemu sprzedaniu późniejszej deeskalacji i wzięciu za to słonej zapłaty. Wspomniane i narastające sygnały słabości Zachodu mogły jednak rozzuchwalać Moskwę i skłaniać ją do rozważenia scenariusza inwazji. Na rzecz tej tezy może świadczyć wspomniane rozwinięcie zaplecza logistycznego na Krymie, nieobecne we wcześniejszym etapie operacji na wschodzie. Podobny błąd Rosja popełniła już w 2014 roku, gdy sukces wojskowego przejęcia Krymu zaburzył jej zdolność do oceny realiów. W rezultacie – planowana jako bliźniacza do krymskiej – demonstracja zbrojna w Donbasie, wiodąca w wyobraźni strategów z Kremla do aneksji rzekomo „czekających z utęsknieniem na powrót do macierzy terenów Noworosji", zamieniła się w krwawą wojnę, w ramach której Moskwa nie była w stanie osiągnąć swoich celów politycznych.

Reakcja w regionie i nowe sygnały z USA

Kijów, jak się okazało, nie jest, wbrew nadziejom Moskwy, osamotniony. 8 kwietnia odbyło się spotkanie mini-

eprasa.pl 05def14ee0

strów obrony USA, Wielkiej Brytanii, Kanady, Polski i Litwy na temat wsparcia dla Ukrainy. 10 kwietnia prezydent Wołodymyr Zełenski udał się do Ankary, gdzie uzyskał jednoznaczne poparcie Turcji od dawna zaopatrującej Ukrainę w broń. Po zamknięciu Cieśniny Kerczeńskiej pierwszym ministrem spraw zagranicznych, który z wyrazami poparcia w trybie pilnym złożył wizytę w Kijowie, był szef dyplomacji polskiej minister Zbigniew Rau (8.04.2021), kilka dni później (15.04) z wyrazami solidarności z Ukrainą pośpieszyli ministrowie państw bałtyckich. 15 kwietnia zmieniły się też sygnały płynące z Waszyngtonu. Prezydent Joe Biden podpisał rozporządzenie wykonawcze, nakładając dodatkowe sankcje na Rosję w związku z jej ingerencją w amerykańskie wybory i dokonane przez nią ataki hakerskie. Sankcjami objęto rosyjskie obligacje rządowe i wydalono 10 rosyjskich dyplomatów „podejrzanych o szpiegostwo". Tak rozpoczęła się „wojna dyplomatyczna". Polska w geście solidarności z USA wydaliła trzech dyplomatów rosyjskich, na co Rosja odpowiedziała wydaleniem pięciu polskich. Przełomem było ogłoszenie przez rząd czeski informacji o wysadzeniu składów amunicji (przygotowanej do wysyłki dla walczącej z rosyjskim najazdem Ukrainy) we Vrbieticach na terytorium Czech w 2014 roku przez tych samych rosyjskich agentów (Aleksandra Pietrowa i Rusłana Boszirowa), którzy próbowali otruć Siergieja Skripala i jego córkę w Wielkiej Brytanii w 2018 roku. W wyniku eksplozji zginęło dwóch obywateli czeskich. Moskwa odrzuciła oskarżenia i „dając wyraz swemu oburzeniu" wydaliła 20 dyplomatów czeskich oraz 18 pracowników technicznych z ambasady Czech w Moskwie. Praga, działając w porozumieniu z Waszyngtonem i jako państwo członkowskie NATO, odpowiedziała postawieniem Moskwie ultimatum – albo Rosja cofnie swą decyzję o wydaleniu dyplomatów czeskich, albo personel ambasady rosyjskiej w Pradze zostanie zredukowany do poziomu personelu ambasady czeskiej w Moskwie. Po wydaleniu 20 dyplomatów czeskich z Moskwy w ambasadzie pozostały 24 osoby w tym pięć ze statusem dyplomatycznym. Personel rosyjskiej placówki w Pradze liczył 135 osób, w tym 43 ze statusem dyplomatycznym, choć oficjalnie jest to 27 dyplomatów i 67 pracowników technicznych. Kreml stanął zatem przed perspektywą wyrzucenia z Czech co najmniej 60 pracowników swej ambasady (media czeskie mówią o 22 dyplomatach i 48 pozostałych pracownikach). Rosja nie ma jak eskalować wydaleń. Czechów jest bowiem znacznie mniej w Moskwie niż Rosjan w Pradze. Ultimatum czeskie nie zostało spełnione i Czechy podjęły ekspulsję rosyjskiego personelu dyplomatycznego, w czym poparła je Słowacja i państwa bałtyckie, także usuwając po kilku rosyjskich dyplomatów ze swych stolic. Ambasada rosyjska w Pradze z licznym personelem (dla porównania w Warszawie to 57 osób) była centrum działań wywiadowczych Rosji na cały region. Decyzja Czech jest więc ciężkim ciosem w prace rosyjskich służb w Europie Środkowej. Ich gwałtowne załamanie znakomicie utrudnia prowadzenie ewentualnych wielkich operacji wojskowych w bezpośrednim sąsiedztwie. Moskwa utraciła inicjatywę i poniosła dotkliwą porażkę wizerunkową. Przegrała eskalację z niewielkimi Czechami, a na dodatek nie była propagandowo przygotowana na konfrontację z nimi. Polskę czy Bałtów od dawna propaganda rosyjska oskarża o „historycznie motywowaną rusofobię", takiego obrazu Czech nie wypracowała, a próba jego zbudowania, właśnie z uwagi na historię, byłaby mało wiarygodna dla adresata tego przekazu, czyli Zachodu. Obrazu sytuacji dopełnia fakt przylotu do Polski 19 kwietnia kilkudziesięciu amerykańskich samolotów bojowych, które rozpoczęły zaplanowany wcześniej trening wsparcia wojsk lądowych.

W dniach 22–23 kwietnia w Bukareszcie spotkali się ministrowie spraw zagranicznych Polski, Rumunii i Turcji, demonstrując m.in. wspólnotę poglądów na temat integralności terytorialnej Ukrainy i wolę wsparcia nie tylko Kijowa, lecz także Tbilisi w ich drodze do NATO oraz zapraszając do współpracy również Mołdawię. Na dodatek rozmowy Putina z Łukaszenką, wbrew środkowoeuropejskim obawom, nie przyniosły decyzji o rozmieszczeniu rosyjskich zgrupowań bojowych na Białorusi, a przynajmniej nic o tym nie wiadomo.

Wnioski

Zakończył się obecny etap gry wokół Ukrainy, co nie oznacza, że zakończyła się cała gra. Żadne rozstrzygnięcia nie zapadły. Warunki spotkania z Zełenskim przedstawione przez Putina (podjęcie rozmów z marionetkami Moskwy z Doniecka i Ługańska) są dla Ukrainy nie do przyjęcia. Konflikt będzie więc trwał. Wycofanie wojsk rosyjskich jest odwracalne, a skutki logistyczne ich wcześniejszej koncentracji trwają, podobnie jak blokada portów ukraińskich na Morzu Azowskim. Seria wysyłanych przez Zachód sygnałów słabości została jednak odwrócona. Doszło do konsolidacji wschodniej flanki NATO oraz USA, Wielkiej Brytanii i Kanady w poparciu dla Ukrainy, którego równolegle udzieliła także skłócona z Waszyngtonem, lecz współpracująca z Polską i Rumunią Turcja. Paraliż rosyjskiej agentury, spowodowany masowymi wydaleniami rosyjskich dyplomatów w Europie Środkowej, dodatkowo utrudnił operacje Kremla. Zwraca uwagę marginalizacja w tej grze Niemiec i Francji, które nie odegrały w niej żadnej istotnej roli, trzymając się celów przyjętych przed wybuchem obecnego kryzysu – dokończenia Nord Stream 2 (Berlin) i ocieplenia relacji z Rosją (Berlin i Paryż), tracąc przy tym wizerunkowo na Ukrainie na rzecz mocarstw anglosaskich oraz Turcji i Polski. Nie zmieniła się też sytuacja Białorusi. Osiągnięty rezultat nie pozwala zatem na uznanie, że doszło do wykształcenia się jakiegokolwiek stabilnego rozwiązania. Gra zatem będzie toczyć się dalej. ■

eprasa.pl 05def14ee0

Grzegorz Wszołek



Rosyjskie „wrzutki” i manipulacje po katastrofie smoleńskiej



FOT. YURI KOCHETKOV/PAP/EPA

Pijany generał Błasik, presja „najważniejszego pasażera”, zrzucanie całkowitej odpowiedzialności za katastrofę na pilotów, słowa ze stenogramów, które nie padły, „profesjonalni” kontrolerzy – lista rosyjskich kłamstw po katastrofie smoleńskiej jest długa. I choć komisja Jerzego Millera z niektórymi polemizowała w raporcie końcowym, to jednak również przyczyniła się do utrwalenia narracji MAK i Tatiany Anodiny. Wracające po latach zdjęcia Ewy Kopacz z moskiewskiego prosektorium – ramię w ramię z uśmiechniętym technikiem tuż obok worka ze zwłokami – przypomniały dobitnie o podtrzymywanej wbrew podstawowym faktom wersji rosyjskiej.

press.pl 05def14ee0

Jeszcze ciała ofiar największej katastrofy lotniczej w dziejach powojennej Polski nie ostygły i nie zidentyfikowano wszystkich pasażerów Tu-154 M, a Międzynarodowy Komitet Lotniczy już wiedział. W pierwszych komunikatach, jeszcze przed wydobyciem czarnych skrzynek i analizą tego, co działo się w wieży kontroli lotów, to Polacy zostali obarczeni odpowiedzialnością. Cytaty takie jak „błąd pilotów" i „zbyt niskie zejście w fatalnych warunkach" przewijały się od 10 kwietnia 2010 roku aż po każdą konferencję z udziałem Tatiany Anodiny i prokuratury na usługach Kremla. Czas pokazał, że były to najłagodniejsze oskarżenia – im bardziej podnosiła się temperatura sporu o zatrzymanie wszystkich kluczowych dowodów w rękach Rosjan, tym gospodarze śledztwa mocniej atakowali.

Zbezczeszczenie pamięci gen. Błasika

Jednym z najbardziej ordynarnych przykładów prymitywnej dezinformacji było sponiewieranie pamięci po gen. Andrzeju Błasiku. Dowódca Sił Powietrznych stał się z dnia na dzień „czarnym charakterem" w czasie tragicznego lotu – co gorsza, absurdalne zarzuty płynęły nie tylko ze szczególnie zainteresowanej odsunięciem odpowiedzialności od Federacji Rosyjskiej komisji MAK, lecz także z polskich mediów i członków komisji Macieja Laska. MAK wybrała doskonały moment na wskazanie palcem na Błasika – w styczniu 2011 roku, gdy Donald Tusk szusował na nartach w Dolomitach, groźnie wyglądająca Anodina stwierdziła z całym przekonaniem: gen. Błasik był pod wpływem alkoholu i wywierał presję na załogę. Było to oczywistym barbarzyństwem: chodziło o napiętnowanie wysokiego rangą wojskowego, który nie mógł się obronić, i upokorzenie Polski na arenie międzynarodowej. Skoro dowódca nie usiadł za sterami tupolewa – a to z kolei sugerowano wielokrotnie w polskich mediach – i nie odkryto jakiegokolwiek zapisu z kabiny samolotu, z którego wynikałby rozkaz Błasika wydany załodze o przymusie lądowania w fatalnych warunkach atmosferycznych, podawanie informacji o 0,6 promila we krwi zmarłego nie wnosiło nic do śledztwa. Niestety – na odpowiedź polskiej strony czekaliśmy zbyt długo. Komisja Millera rozkładała ręce, bowiem nie dysponowała rosyjskimi protokołami, a Instytut Ekspertyz Sądowych podważył wersję MAK na podstawie własnych badań dopiero w 2014 roku.

Mało znana jest relacja dziennikarza śledczego Przemysława Wojciechowskiego, który dostał się na miejsce katastrofy wraz z ekipą telewizyjną. Słyszał na własne uszy to, co przekazywali obecni w okolicach wraku Tu-154M rosyjscy technicy polskiej stronie w obecności tłumaczy. „Rosjanin odczytał tekst mówiący o tym, że z oględzin, których dokonano na miejscu katastrofy, wynikało jasno, że w kabinie pilotów nie było osób trzecich. Nie potrafię powiedzieć, skąd Rosjanin miał te informacje. [...] Po drugie: ten sam Rosjanin odczytał fragment dotyczący obecności alkoholu we krwi ofiar katastrofy. Jasno wynikało z niego, że żadna z osób będących w kabinie pilotów nie piła alkoholu w dniu katastrofy. Nikt nie był także pod wpływem substancji odurzających. Nikt, to znaczy, że generał Błasik także" – przedstawiał wspomnienia z tamtych kwietniowych dni na blogu były reporter TVN i TVP.

Generałowa Ewa Błasik nadal żyje z piętnem brutalnej i niezasłużonej nagonki na swojego męża. Nigdy nie usłyszała od polityków słowa „przepraszam". Podobnie jak rodziny pilotów, z których MAK próbował robić nieodpowiedzialnych samobójców. Rzekomo nie znali rosyjskiego, choć nawet pobieżna lektura stenogramów z czarnych skrzynek wskazuje na coś zupełnie przeciwnego. Rzekomo trzy razy podchodzili do lądowania, choć tak naprawdę nigdy nie wykonywali tego manewru nad Smoleńskiem, a na 22 sekundy przed tragedią Arkadiusz Protasiuk wydał komendę „odchodzimy". Nikt do tej pory nie wyjaśnił, jak to się stało, że załoga nie odeszła na drugi krąg, znajdując się około 100 metrów nad powierzchnią. Sami eksperci komisji Millera na jednej z konferencji prasowych przyznawali, że maszyna powinna wzbić się niczym rakieta. Próbowano nawet dowieść, że gen. Błasik pokłócił się z kapitanem załogi przed wylotem z Okęcia – posiłkowano się w tym celu relacjami pracowników warszawskiego lotniska, mającymi dostęp do materiałów z kamer na Okęciu. Pogłoski o domniemanej awanturze przed podróżą się nie potwierdziły. Nikt nie przeprosił ani też nie przedstawił dowodów na potwierdzenie tej hipotezy. Oskarżenie zostało skutecznie „przylepione".

Masa kłamstw bez stanowczej odpowiedzi

– W związku z obecnością w kabinie wysoko postawionych osób – dyrektora protokołu dyplomatycznego i szefa sił powietrznych RP – i w obawie przed negatywną reakcją głównego pasażera samolotu, zgodnie z ekspertyzą ekspertów lotniczych i psychologów, wywierali oni presję psychiczną na załogę i wpłynęli na podjęcie decyzji o kontynuowaniu lądowania – twierdziła Anodina podczas prezentacji raportu MAK. Jako do-

eprasa.pl 05def14ee0

wód odczytano fragment stenogramu z frazą „wkurzy się, jeśli jeszcze...", którą rzekomo wypowiedział jeden z pilotów. Rosjanie przekonywali, że załoga jasno wskazywała na prezydenta Lecha Kaczyńskiego. Tymczasem już nawet komisja Millera nie miała wątpliwości: taka wypowiedź w kabinie nie padła. „Powiedz, że jeszcze jedna mila od osi została" – miało brzmieć to kluczowe, świadczące o naciskach zdanie. Wplatanie słów konkretnym osobom dla potwierdzenia najpierw postawionej tezy jest powtarzającym się elementem propagandowej układanki Rosjan.

Nieprzekonująco brzmiała też strategia ochronna smoleńskich kontrolerów. Błędnie naprowadzali pilotów tupolewa, cały czas utrzymując, iż znajdują się „na kursie i na ścieżce". Anodina w samych superlatywach opowiadała o profesjonalizmie pracowników lotniska Siewiernyj i dotrzymanych standardach przyjmowania statków powietrznych. Wieża kontrolna przypominała jednak rozpadającą się budę, a odpowiadający za właściwie naprowadzanie załogi znajdowali się prawdopodobnie pod wpływem alkoholu. Cały czas konsultowali się z wysoko postawionymi przełożonymi z samej stolicy Rosji, a na dowód dochowanych standardów warto przypomnieć, iż jeden z naprowadzających tupolewa nigdy wcześniej nie pracował na feralnym lotnisku. Mimo starań polskiej prokuratury, postawionych zarzutów kontrolerom, Moskwa nie odpowiada na wnioski o pomoc prawną i nie zamierza kiedykolwiek zgodzić się na aresztowanie swoich ludzi. Wbrew zdrowemu rozsądkowi i zdjęciom, które każdy mógł zobaczyć po katastrofie samolotu, opowiadano o znakomitym przygotowaniu lotniska w Smoleńsku: od pasa startowego po oświetlenie i radiolatarnie. Wszystko okazało się kłamstwem, niewytrzymującym podstawowej krytyki: obiekt nie powinien przyjmować jakichkolwiek samolotów, radiolokator nie działał, podobnie jak lampy i tak podstawowy sprzęt jak radiolatarnia. Według powtarzających slogany jak mantrę Rosjan, załoga Tu-154M dysponowała na bieżąco podawanymi danymi o warunkach atmosferycznych i celowo je zignorowała, byle tylko na czas dotrzeć do Smoleńska. To było kolejne kłamstwo: polscy lotnicy byli wprowadzani w błąd od początku do końca przez kontrolerów, również w kwestii pogody. W dodatku – sugerowali spece od dezinformacji – piloci nie skorzystali z lotnisk zapasowych w Mińsku i Witebsku – tyle że przecież to pierwsze nie zostało przygotowane na przyjęcie oficjeli, a drugie nie funkcjonowało w sobotę. Furorę na blogach kilka miesięcy po katastrofie wywołała teoria o tzw. maskirowce, czyli mistyfikacji. Polegała ona mniej więcej na tym, że tak naprawdę lot z Okęcia do Smoleńska się nie odbył, a 96 osób na pokładzie tupolewa zostało porwanych i zabitych w tajemniczych okolicznościach albo przetrzymywanych w celu szantażu. Brylował w suflowaniu tak niedorzecznej teorii popularny internauta Free Your Mind. Co ciekawe, wyznawcą spiskowej narracji był rosyjski bloger Mieszczanin z Barnaułu – to on zamieścił na swojej stronie zdjęcia ofiar, wskazując wprost na rany postrzałowe na szczątkach. Słuch o nim zaginął, do dzisiaj nie wiemy, skąd wszedł w posiadanie drastycznych fotografii ze smoleńskiego błota oraz kostnicy. Próba skompromitowania śledztwa, wywołania fermentu i publikacja wizerunku zmarłego Lecha Kaczyńskiego nie były dziełem przypadku.

▶ Ewa Kopacz ramię w ramię w prosektorium

Do grona polityków rządzących i wprowadzających wszystkich w błąd dołączyła 11 lat temu również Ewa Kopacz, której nieznane dotąd zdjęcia z Moskwy upubliczniła Ewa Stankiewicz w dokumencie „Stan zagrożenia". Na jednej z bulwersujących fotografii ówczesna minister zdrowia objęła wytatuowanego i wyraźnie uradowanego rosyjskiego pracownika prosektorium. Obok nich na podeście leżał worek ze zwłokami. Była premier wielokrotnie zapewniała polskich obywateli, że nasza strona „ramię w ramę" współpracowała z patomorfologami, a ziemię smoleńską przekopano na metr w głąb. Taka postawa nie wzięła się znikąd – rząd dążył do rozprężenia w stosunkach z Kremlem i „nowego otwarcia", które zresztą nastąpiło po śmierci pasażerów tupolewa. Efekty?

Podmienione ciała w trumnach, znajdowane szczątki i rzeczy osobiste ofiar wiele miesięcy po 10 kwietnia, niszczenie wraku i wylewany beton w miejscu tragedii – to efekt tej współpracy. Politycy Platformy Obywatelskiej ponieśli odpowiedzialność polityczną pięć lat po katastrofie smoleńskiej, ale z zupełnie innych przyczyn. Poza byłym szefem Kancelarii Premiera Donalda Tuska – Tomaszem Arabskim – nikt z najważniejszych decydentów nie został osądzony karnie. Rosjanie – mistrzowie manipulacji i wewnętrznych gier w obcych państwach – nadal nie przekazali Polsce wraku i oryginalnych dowodów. Świat się nie upomina o sprawiedliwość, bo przyjął za dobrą monetę wersję MAK. Rosyjskie kłamstwa kolejny raz stały się skutecznym narzędziem uprawiania polityki. ■

eprasa.pl 05def14ee0



Piotr Nisztor



Nowakgate: Gdzie prowadzą ślady korupcji?

Za rządów PO-PSL był jedną z najbardziej wpływowych osób w kraju. Dziś Sławomir Nowak jest podejrzany o przyjęcie łapówek o wartości 7,5 mln zł. Pieniądze miał przyjmować głównie jako prezes Ukrawtodoru, ukraińskiej agencji budującej drogi.

eprasa.pl 05def14ee0

Ta historia to gotowy scenariusz na thriller polityczny w stylu kultowego „House of Cards". Sławomir Nowak, były polityk Platformy Obywatelskiej, eksminister transportu, za rządów PO-PSL niegdyś jeden z najbardziej wpływowych ludzi w kraju, jest dziś bohaterem największego dotychczas politycznego skandalu korupcyjnego. Prokuratura Okręgowa w Warszawie postawiła mu zarzuty przyjęcia łapówek na łączną kwotę 7,5 mln zł. Pieniądze miał przyjmować głównie w latach 2016–2019, gdy kierował Ukrawtodorem, ukraińską agencją odpowiedzialną za budowę dróg w tym kraju (odpowiednik polskiej Głównej Dyrekcji Dróg Krajowych i Autostrad). W zamian miał zlecać kontrakty i przymykać oko na opóźnienia w harmonogramach inwestycji. Na trop afery trafiły Centralne Biuro Antykorupcyjne (CBA) i Narodowe Biuro Antykorupcyjne Ukrainy (NABU). Od listopada 2019 roku rozpracowanie Nowaka prowadzi międzynarodowy, polsko-ukraiński zespół śledczy, koordynowany przez unijną agencję Eurojust. Akta polskiego śledztwa liczą ponad 120 tomów, z tego połowa jest niejawna. To materiał z inwigilacji Nowaka. Sprawa jest wielowątkowa i zahacza również o czasy, gdy premierem był Donald Tusk, patron polityczny podejrzanego o korupcję byłego polityka.

Polityczny syn Tuska

Jesienią 2007 roku Platforma Obywatelska wygrała wybory parlamentarne. Na czele koalicyjnego rządu PO-PSL stanął lider ugrupowania Donald Tusk. Nie było tajemnicą, że na falę wchodził wówczas także jego protegowany – Sławomir Nowak, który objął stanowisko szefa gabinetu premiera. W kuluarach wskazywano, że to właśnie ten były szef Młodych Demokratów, młodzieżówki PO, miał być jednym z głównych kadrowców w spółkach Skarbu Państwa. Szczytem politycznej kariery Nowaka była teka ministra transportu. Stanowisko to piastował od listopada 2011 do listopada 2013 roku. Odszedł w atmosferze skandalu, gdy okazało się, że prokuratura chce mu postawić zarzuty związane z nieprawidłowościami w oświadczeniu majątkowym. Chodziło o zatajenie faktu posiadania luksusowego zegarka marki Ulysse Nardin. To był początek końca politycznej kariery Nowaka, który ostatecznie zrezygnował nawet z mandatu posła. Postawił na biznes. Zaczął świadczyć usługi doradcze, a w październiku 2016 roku został mianowany prezesem Ukrawtodoru, który szybko otrzymał zastrzyk środków z Europejskiego Banku Odbudowy i Rozwoju (EBOR) i Unii Europejskiej (UE). W tym czasie jego polityczny patron Donald Tusk był przewodniczącym Rady Europejskiej, czyli nieformalnym prezydentem całej Unii.

Pierwsze lipcowe zatrzymania

Nowak na czele ukraińskiej agencji stał blisko trzy lata. We wrześniu 2019 roku odszedł z Ukrawtodoru, przeżywając ... deja vu. Powodem były – podobnie jak wcześniej, gdy opuszczał fotel ministra transportu – niejasności w jego oświadczeniach majątkowych. Już wówczas znajdował się pod lupą CBA i NABU, które tuż po jego odwołaniu połączyły siły. W efekcie w lipcu 2020 roku doszło do pierwszych zatrzymań zarówno w Polsce, jak i na Ukrainie. W ręce agentów CBA wpadł nie tylko Nowak, lecz także płk Dariusz Z., były dowódca elitarnej jednostki GROM, a także Jacek P., trójmiejski biznesmen. Były polityk miał według śledczych przyjąć 1,3 mln zł łapówek od firm, które zdobywały potem w Ukrawtodorze kontrakty budowlane. Pieniądze miały być wypłacane pod płaszczykiem umów doradczych zawieranych z powiązanymi z Nowakiem spółkami z Polski i Cypru. Pułkownik Z. i Jacek P. mieli pomagać w organizacji procederu. Dwa tygodnie później agenci CBA zatrzymali Aleksandra D., byłego szefa firmy działającej w branży budowlanej. Miał on obiecać Nowakowi ponad 700 tys. zł łapówki w zamian za zlecenie jego firmie przez Ukrawtador intratnego kontraktu. Do realizacji obietnicy jednak nie doszło.

„GO Highway" przeżarte korupcją?

To był jednak dopiero wierzchołek góry lodowej. Dzięki zeznaniom Jacka P. śledczy odnaleźli gotówkę w różnych walutach o równowartości około 4 mln zł. Pieniądze – mające należeć do Nowaka – były ukryte w specjalnych skrytkach znajdujących się w dwóch mieszkaniach na Pomorzu. Według śledczych tylko od Aleksandra T., ukraińskiego oligarchy, właściciela grupy Altkom, były polityk PO miał przyjąć 575 tys. dolarów i 70 tys. euro. Pieniądze miały być wypłacane w formie abonamentu. W zamian Altkom, budujący drogi na Ukrainie, mógł liczyć nie tylko na kontrakty z Ukrawtodoru, lecz także na przesunięcia w harmonogramie oddania inwestycji do użytku. Chodziło o odcinek Odessa–Kijów, będący częścią projektu „GO Highway", czyli polsko-ukraińskiej autostrady Odessa–Gdańsk. Ta priorytetowa inwestycja jest finansowa z kredytu EBOR. Według śledczych dzięki przesunięciu terminów firma T. uniknęła konieczności zapłacenia kar opiewających na 6 mln euro. Nowak miał przyjmować łapówki także od tureckiej firmy drogowej Onur. Dzięki temu ukraińskie przedstawicielstwo koncernu w maju 2018 roku podpisało kontrakt na budowę trasy Kijów–Charków–Dołżański (przejście graniczne). Jego wartość opiewa na 175,6 mln dolarów. Ukraińscy śledczy zarzuty korumpowania Nowaka postawili Aleksandrowi T. oraz kilku innym menedżerom drogowych przedsiębiorstw. Zgodnie z umową zawartą w listopadzie 2019 roku przez pro-

fot. Krzysztof Sitkowski/Gazeta Polska

eprasa.pl 05def14ee0

kuratorów generalnych Polski i Ukrainy będą oni sądzeni na Ukrainie. Z kolei polscy obywatele, w tym Nowak, staną przed sądem w Polsce.

Lewe zwolnienia z WIM

W sumie wartość mienia zabezpieczonego przez prowadzącą śledztwo w sprawie Nowaka Prokuraturę Okręgową w Warszawie opiewa na blisko 3,9 mln zł. Dodatkowo dowodami w sprawie są: auto marki Land Rover, mające należeć faktycznie do Nowaka, a także gotówka w wysokości 506,2 tys. dolarów, 530,2 tys. euro i 30 tys. zł. Były polityk PO usłyszał zarzuty przyjęcia łapówek na łączną kwotę ponad 7,5 mln zł. Taką informację przekazała „Gazecie Polskiej" pod koniec kwietnia Aleksandra Skrzyniarz, rzecznik prasowa warszawskiej Prokuratury Okręgowej. Na koniec 2020 r. ta suma wynosiła ok. 5,4 mln zł (plus 700 tys. zł, jakich Nowak miał żądać). Czego więc dotyczą uzupełnione mu zarzuty w okresie od stycznia do kwietnia br.? Prokurator Skrzyniarz nie chciała ujawnić szczegółów, zasłaniając się tajemnicą śledztwa. Wiadomo jednak, że Nowak jest podejrzany nie tylko o przyjmowanie łapówek, lecz także o... korzystanie z fałszywych zwolnień wystawianych przez jednego z lekarzy Wojskowego Instytutu Medycznego w Warszawie. Były one przedkładane na Ukrainie, uzasadniając nieobecność byłego polityka w Ukrawtodorze. W styczniu 2021 roku Prokuratura Okręgowa w Warszawie zarzut poświadczenia nieprawdy w dokumentach postawiła także Monice N., żonie Nowaka (grozi za to do 5 lat więzienia). Według śledczych kobieta miała pomagać mężowi w ukrywaniu pochodzącego z korupcji majątku. O Monice N., okrzykniętej przez trójmiejskie media „boginią w ciele dentystki", głośno zrobiło się w połowie 2014 roku po ujawnieniu przez „Wprost" nagrania rozmowy, jaką w restauracji „Sowa i Przyjaciele" odbyli Sławomir Nowak, płk Dariusz Z. i Andrzej Parafianowicz, były już wówczas wiceminister finansów. Jeden z poruszanych wątków dotyczył kontroli skarbowej rozpoczętej u żony byłego ministra. „I chcą ją trzepać. Cały 2012 rok. Chcą najpierw wziąć rachunek bankowy [...]. Mam nadzieję, że to dotyczy tylko jej działalności, a nie będą chcieli crossować tego z moim rachunkiem. [...] Bo ona jedzie od paru lat na stracie, potężnej" – opowiadał Nowak. Wówczas Parafianowicz rzucił: „Zablokowałem to...". Po ujawnieniu nagrania śledztwo w tej sprawie wszczęła Prokuratura Okręgowa Warszawa-Praga. Badała m.in., czy Parafianowicz powoływał się na wpływy w aparacie skarbowym. Po pół roku śledztwo zostało jednak umorzone.

Ile kosztują stanowiska w SSP?

Nowak miał się też powoływać na wpływy w ukraińskim rządzie i tamtejszej administracji. Według śledczych miał wspierać świadczącą usługi z zakresu inżynierii, architektury i geoinformacji tarnowską firmę MGGP w walce o kontrakt na obsługę autostrady w obwodzie lwowskim. W zamian miał otrzymać 77 tys. zł. Pieniądze zostały przelane na konto spółki Europe Partners (EP), którą kierował Łukasz Z., były doradca kolejnych premierów z PO – Donalda Tuska i Ewy Kopacz. Oficjalnie było to wynagrodzenie za usługi doradcze. Z KRS wynika, że spółka EP powstała 31 października 2016 roku (taką datę nosi akt notarialny, formalnie spółka została zarejestrowana w KRS 14 marca 2017 roku), niespełna dwa tygodnie po powołaniu Nowaka na szefa Ukrawtodoru. Były polityk PO posiadał w niej 99 proc. udziałów. Zarzuty w tym wątku usłyszał Paweł G., wiceprezes MGGP, prywatnie syn Aleksandra Grada, ministra skarbu w rządzie Donalda Tuska. W trakcie śledztwa prokuratura i CBA ustaliły, że Nowak miał brać łapówki także za rządów PO-PSL. W zamian miał załatwiać stanowiska w spółkach kontrolowanych przez Skarb Państwa. Pieniądze mieli mu wręczać: Jacek K., były prezes PKN Orlen, i Wojciech T., były wiceprezes Energii i PGE.

Tajne akta i nazwiska polityków PO

Tuż po zatrzymaniu Nowak trafił do aresztu tymczasowego. Spędził tam w sumie dziewięć miesięcy. Donald Tusk przekonywał w TVN24, że jego dawny współpracownik jest „więźniem politycznym". Trzy dni później – 12 kwietnia 2021 roku – Sąd Okręgowy w Warszawie zdecydował się wypuścić byłego ministra na wolność, jednocześnie zobowiązując go do wpłacenia miliona złotych kaucji. Decyzja ta wzbudziła wiele kontrowersji. Zbigniew Ziobro, minister sprawiedliwości i prokurator generalny, zapowiedział, że jeśli polityk nie wróci do aresztu, wówczas ujawni materiał znajdujący się w niejawnej części śledztwa. To ponad 60 tomów akt zawierających materiały z inwigilacji byłego polityka PO oraz osób zamieszanych w proceder. „Gazeta Polska" ujawniła, że znajdują się tam m.in. podsłuchane rozmowy oraz treść SMS-ów, e-maili i zapisy z komunikatorów (głównie WhatsApp). Pochodzą one z okresu, gdy były polityk kierował Ukrawtodorem. Śledczy mają dysponować nagraniami jego rozmów i SMS-ami wymienianymi z czołowymi politykami PO, m.in. Donaldem Tuskiem i Ewą Kopacz, a także Rafałem Trzaskowskim, prezydentem Warszawy, i Cezarym Grabarczykiem, posłem PO, byłym ministrem infrastruktury. W śledztwie pojawia się jednak więcej nazwisk polityków Platformy. Minister Ziobro ujawnił, że w sprawie ma zeznawać Adam Szejnfeld, były wiceminister gospodarki. Jednak mimo wezwań już dwukrotnie nie stawił się na przesłuchanie. ■

eprasa.pl 05def14ee0

MATERIAŁ
MARKETINGOWY



Ufam najlepszym, **gram z PZU**

Sprawdź na **pzu.pl**

eprasa.pl 05def14ee0



Kambodżańska dżungla pełna niebezpiecznych węży? Nie, to tylko podwyszkowskie bagna pełne rodzimych żmij

O puszczańskim żywocie pewnego streetworkera



Stefan Czerniecki
czerniecki.net

eprasa.pl 05def14ee0





Wyprawy na podwyszkowskie bagna z Andrzejem Grajczykiem to murowana przygoda



Na przełomie kwietnia i maja żmije mają na bagnach swój okres godowy. Warto wówczas wzmóc czujność



Z roku na rok wśród wyszkowskiej młodzieży chętnych na wyprawy z Andrzejem Grajczykiem jest coraz więcej

Zawsze chciałeś pojechać do amazońskiej dżungli? Od dzieciństwa marzyłeś o kolumbijskich bagnach pełnych węży i krokodyli? A gdy już zebrałeś się na odwagę, by wyruszyć, to akurat przyszła pandemia? Może zatem warto spróbować realizować swoje marzenia nieco bliżej? Tym bardziej że są tacy, którzy chętnie pomogą.

fot. Roman Korlaga(1), Stefan Czerniecki (3)

eprasa.pl 05de14ee0

Zazwyczaj Andrzej wstaje bardzo wcześnie. Zostało mu tak jeszcze po wojsku. Szybkie śniadanie, całus z żoną i biegiem na zajęcia. Założona przez niego sekcja karate to dziś świetnie prosperujący wyszkowski klub. Andrzej nauczy każdego. Jest wprawdzie trenerem wymagającym, lecz przy tym niezwykle cierpliwym. O jego ojcowskiej wręcz wrażliwości chodzą w mieście legendy.

„Nigdy nie miałam jakiejkolwiek złej myśli, że Stasiowi może zdarzyć się jakakolwiek krzywda, gdy jest pod jego opieką" – zadbana kobieta w średnim wieku właśnie przyszła odprowadzić syna na zajęcia do Andrzeja. Mężczyźni przybijają piątki na powitanie. Za kilka chwil Andrzej będzie zadawał chłopcu skuteczną rozgrzewkę. Sam jest już na tyle rozgrzany i rozciągnięty, że rozmawia ze Stasiem z pozycji szpagatu.

– Tego też nauczyłem się w wojsku – wspomina. – W ogóle armia wiele mi dała. Samodzielność. Pewien zmysł, czujność.

– Nie bardzo rozumiem... – przerywam na chwilę Andrzejowi.

– Widzisz... – uśmiecha się dobrotliwie. – Pewnie nie wpadłbyś na pomysł, że idea nocnego łażenia po lasach czy bagnach, wtedy, gdy nie ma już świateł, wzięła się właśnie z wojska. Do dziś pamiętam, jakie wrażenie zrobiły na mnie pierwsze w życiu nocne ćwiczenia. Byłem doprawdy zafascynowany tym, jak w nocy zupełnie inaczej wygląda świat. Niebo, gwiazdy, odgłosy... Po wyjściu z wojska zacząłem sporo wędrować. Czy to po naszych górach, czy to po lasach. I wiadomo, jak to podczas wycieczek, nie zawsze udawało się dojść do schroniska o planowanym czasie. Właśnie wtedy, gdy trzeba było te ostatnie pół godzinki pójść jeszcze w zapadających ciemnościach, raz jeszcze uzmysławiałem sobie, jaka ta pora jest piękna.

Dziś Andrzej Grajczyk kilka razy w roku organizuje dla wyszkowskiej młodzieży nocne maratony. Idą przez puszcze, brodzą przez bagna, forsują rzeki. Andrzej zakazuje zapalania latarek, zabiera podopiecznym telefony. Mają być bardziej za pan brat z naturą. Lepiej ją poznać. Zrozumieć. Do tej pory jeszcze żaden z młodych adeptów popularnego wyszkowskiego streetworkera nie narzekał. Wprost przeciwnie. Andrzej coraz częściej musi odprawiać kolejnych chętnych. Na jeden wypad nie może wziąć zbyt wielu osób. Za każde z tych dzieci jest przecież odpowiedzialny.

▶ Nocna przeprawa

Jest początek listopada. Późny wieczór. Słońce już od dawna głęboko pod horyzontem. Ciemne kontury drzew zlewają się z mroczną połacią nieba. Póki co nie widać jeszcze gwiazd. I nie bardzo wiadomo, czy będzie je widać. Od kilku już dni nad całą Polską wisi potężny niż. Chmury szczelnie pokrywają nieboskłon. O tej porze to może nawet lepiej. Ogrzana za dnia ziemia nie zdoła dzięki temu tak szybko oddać zgromadzonego ciepła. Nic nie wskazuje też na to, aby pogoda miała nagle się załamać. Póki co temperatura nadal powyżej zera.

– Gotowi? Macie karimaty i folie?

– Tak jest, proszę pana – sześciu kilkunastoletnich chłopaków jest gotowych do wymarszu. Do lasu pod miejscowością Budziska przyjechali ostatnim kursującym tego dnia autobusem. Andrzej był tu już wcześniej. Siedząc na wielkim plecaku, czekał na chłopaków ponad pół godziny. Gdy zobaczył zbliżające się cienie, szybko wstał. Woli, by nie widzieli, jak odpoczywa. Przecież ma być dla nich wzorem. Inspiracją do naśladowania. Opiekunem. A taki nie powinien okazywać żadnych śladów zmęczenia. – Zatem ruszamy! Pamiętajcie tylko: żadnego włączania latarek. Zaraz wejdziemy w głęboki las. W pierwszej chwili będziecie mieli lekki dyskomfort, ale z czasem wzrok będzie się przyzwyczajał. Pójdę pierwszy. Pan Artur będzie zamykał grupę. Trzymamy się blisko siebie.

Przez kilkaset pierwszych metrów wędrówki chłopcy jeszcze raźno rozmawiają. Wspominają ostatnio wygrany mecz w koszykówkę. Są rozentuzjazmowani. Pochłonięci swoim towarzystwem. Gdy Andrzej skręca nagle pomiędzy gęste szuwary, torując reszcie drogę, wesołe rozmowy w grupie milkną. Po kilku minutach w ich miejsce słychać już tylko głęboki oddech. Młodzieńcze sapanie. Idą po kolana w gęstym i zimnym błocie.

– Panie Andrzeju, a to nie mogliśmy iść dalej tamtą ścieżką? – pyta jeden z podopiecznych.

– Nie, bo tam leśnicy szykują obławę. Tak się bowiem składa, że nie wolno nam dziś chodzić po lesie – Andrzej wymyśla na poczekaniu historię. To kolejny charakterystyczny element organizowanych przez niego nocnych maratonów. Jakieś zmyślone wydarzenie, mające podkręcić atmosferę w drużynie. Zasiać delikatną niepewność.

– O kurczę! Obławę? A dlaczego?

– Nie wiem. Mówili o jakichś ćwiczeniach – zmyśla dalej Andrzej. Usiłując ze wszystkich sił zachować poważną minę.

Zaczyna nieco mocniej wiać. Podmuchy poruszają wreszcie zastygłą masę chmur. Nie mija kilkanaście minut, gdy na niebie pojawia się jasna tarcza księżyca. W lesie momentalnie robi się jaśniej. Z pojawieniem się księżyca wiąże się jednak jeden szczegół.

– Panie Andrzeju, ręce mi grabieją... – odzywa się idący zaraz za streetworkerem chłopiec.

– Możliwe. Mnie też. Ochłodziło się. I to tak na poważnie – martwi się głośno mężczyzna.

eprasa.pl 05def14ee0

Na trawie bardzo szybko zaczyna pojawiać się szron. Maszerujący mają wrażenie, że oto uczestniczą w czymś nadzwyczaj dyskretnym i intymnym. Oto jedna z tajemnic lasu, której efekt człowiek ogląda zazwyczaj dopiero nad ranem. Gdy już się wydarzy. Z każdą upływającą minutą kolejne gałęzie robią się białe. Przyrodnicza mistyka w pełnej krasie. W dodatku podświetlona pełnią księżyca.

– Doszliśmy. Oto i on – idący na przedzie kolumny Andrzej wskazuje ciemne koryto rzeki Liwiec.

– Nieźle... W nocy wygląda jakoś tak... – wykrzykuje z wrażenia jeden z chłopców.

– Inaczej, prawda? – podpowiada Andrzej.

– No, zjawiskowo!

– Dobra, chłopaki, nie mamy czasu. Przechodzimy.

– Szefie, żartujesz, prawda?

– Nie... – żeby dodać otuchy pozostałym, Andrzej pierwszy ostrożnie wchodzi do zimnej wody. Zna ten odcinek Liwca. Bywał tu wiele razy. Ostatni raz kilka dni temu, gdy wraz ze swoim przyjacielem Arturem robili wspólny rekonesans trasy. Idzie więc bardzo pewnie.

– Ty, on serio przechodzi na drugą stronę rzeki... – szepcze jeden ze stojących z tyłu chłopców.

– Na to wygląda – odpowiada drugi.

– Panowie, ściągamy spodnie i do wody! – przerywa dialog stojący już w połowie nurtu rzeki Andrzej. – Sam tu marznąć nie będę.

Piłka zamiast kamieni

– Najbardziej lubię to ich zaskoczenie – kiedy Andrzej przywołuje szczegóły organizowanych przez siebie wypraw dla wyszkowskiej młodzieży, można odnieść wrażenie, że świecą mu się oczy. – Gdy idziemy już jakiś czas. Gdy młodzież jest już naprawdę podekscytowana. I pewna, że to koniec atrakcji na dziś. I wtedy dochodzimy do rzeki. Dla części, która już ze mną maszerowała, to oczywiście żadne zaskoczenie. Mają jednak zakaz informowana pozostałych. I właśnie ci wszyscy, którzy idą pierwszy raz, są wtedy naprawdę zszokowani. Nie wierzą, że mówię serio.

Wystarczy kilka chwil przebywania w obecności Andrzeja, aby zrozumieć, że ta praca to prawie całe jego życie. Zaczynał jako twórca jednej z pierwszych sekcji karate w mieście. O jego pozazawodowej pasji znikania w rodzimej głuszy dość szybko zrobiło się głośno na ulicach Wyszkowa. Prędzej czy później wieść o „szalonym miłośniku survivalu" dotarła także do Artura. To on pierwszy zaproponował Andrzejowi pracę w charakterze streetworkera.

– Nie miałem pojęcia, co to w ogóle jest – wspomina dziś Andrzej. – I szczerze powiedziawszy, jakoś się w tym nie widziałem. Broniłem się rękami i nogami.

Dopiero gdy dał się namówić na spotkanie z Tomaszem Szczepańskim, jednym z twórców warszawsko-praskiego streetworkingu, dowiedział się, że tak naprawdę jest streetworkerem od dawna. Tylko nie wiedział, że tak to właśnie się nazywa.

Na pierwszym spotkaniu Szczepański wspominał Andrzejowi swoje pierwsze kroki. Gdy w 1996 roku trafił na praską ulicę Stalową. Akurat trafiła mu się grupa dzieciaków rzucająca kamieniami w okna pustostanu. Zdziwili się, że ktoś się nimi zainteresował. Że nie wyjął im kamieni z rąk, tylko zaproponował, żeby... jutro wspólnie zagrali w piłkę. Następnego dnia dzieci zdziwiły się jeszcze bardziej. Bo oto Szczepański rzeczywiście się pojawił. Z piłką pod pachą.

Andrzejowi nie trzeba było dwa razy tłumaczyć. Doskonale wiedział, że ta praca jest dla niego. Wkrótce rozpoczął oficjalny kurs streetworkingu. By po jego ukończeniu rozpocząć pracę jako pedagog ulicy w Wyszkowskim Ośrodku Kultury.

Streetworkerzy

W Polsce to wciąż względnie młode zjawisko. Pomimo to podobnych Andrzejowi jest z każdym rokiem coraz więcej. W większości to jednak dość młodzi ludzie. Część po studiach związanych z pedagogiką bądź socjologią. Choć i tutaj nie ma żadnej reguły. W streetworkingu nie liczy się bowiem wykształcenie. Liczą się chęci, zapał. I dobre serce.

Część ze streetworkerów przeczesuje każdego dnia opuszczone ogródki działkowe, miejskie śmietniki, pustostany. Wszystko dla tych, którym w życiu akurat podwinęła się noga. Którzy finalnie skończyli na ulicy. Streetworkerzy namawiają ich na schroniska. Oferują pomoc. Andrzej z racji młodzieńczej pasji zamiast bezdomnymi zajmuje się młodzieżą. Bardzo często tą pochodzącą z trudnych domów. Z rozbitych rodzin. Dzieci, dla których ulica stała się lustrem, w którym odbija się obraz ich codzienności. Ich nowa rzeczywistość.

– Tych bardziej konfliktowych na wyprawy nie biorę – tłumaczy Andrzej. – Chodzi o ochronę dla reszty moich podopiecznych. I o dobrą atmosferę. Być może także dzięki temu podopieczni aż garną się na kolejne nocne wypady.

– Andrzej, dlaczego właściwie robisz to wszystko? – dopytuję.

– Dlaczego? – zamyśla się. – Chyba dla tych dzieciaków. Bo kto inny im to pokaże? Kto im udowodni, że poza podwórkiem też jest coś ciekawego? Że jest inaczej.

– Jesteś więc ideowcem – podsumowuję.

– Bez przesady – odpowiada skromnie Andrzej. – Ja im tylko pokazuję kawałek innego świata. Próbuję rozwinąć ich pasję.

eprasa.pl 05def14ee0

W tym roku jesienią, o ile pozwoli pandemia, znów zamierza zabrać podopiecznych. Jak zawsze, czyli w okolicach 11 listopada. Żeby przy okazji pokazać dzieciom nieco historii. W czasie nocnych marszów przez las „przypadkiem" odnajdą kilka zapomnianych grobów powstańców. Będzie okazja, by opowiedzieć nieco o najnowszej historii ojczyzny. By raz jeszcze spróbować zarazić podopiecznych – tym razem poza pasją do aktywnego trybu życia także czymś jeszcze.

▶ Meksyk pod Wyszkowem

– Pamiętam, jak któregoś razu pokazałem pewnej pani zdjęcia z naszej bagiennej eskapady. Ależ był zachwyt, ależ pianie! „Tak pięknie! Taka egzotyka! Gdzieście byli?". Ja jej na to, żartując, że w Meksyku...

– A, jak rozumiem, byliście tutaj, pod Wyszkowem? – zgaduje puentę opowiadanej historii.

– Oczywiście że pod Wyszkowem. Ale ta pani na serio uwierzyła. „No, tak. Tam to jest dopiero pięknie. Szkoda tylko, że tak daleko. Ale za to jaka zieleń, jakie kolory! Ależ ja panu zazdroszczę". Po chwili już nie wytrzymałem i tłumaczę jej, że tak naprawdę to tutaj, półtora kilometra za miastem. W pozostałościach po Puszczy Kamienieckiej. Dziś nazywanych lasami łochowskimi.

– I...? – przerywam, wyczekując finału opowieści.

– Nie uwierzyła. Do dziś nie wierzy.

Zresztą ja też nie do końca wierzę w to, co widzę w tej chwili. I w to, gdzie Andrzej zaczyna mnie właśnie prowadzić. Kilka dni temu zgodziłem się wziąć udział w jednej z jego leśnych eskapad. Tym razem prowadzonych za dnia. Przez podwyszkowskie bagna.

Do tej pory szliśmy mało uczęszczaną, choć jednak w miarę ubitą leśną ścieżką. Teraz Andrzej jak gdyby nigdy nic odbija w prawo. Między szuwary i gęste trawy sięgające głowy.

– Zapraszam! Zaczynamy przygodę! – woła pogodnie.

Niejednokrotnie w mojej „karierze wędrowca" zadawano mi pytania o to, jak najtaniej dojechać do dżungli. Jakimi liniami. Co zrobić z transportem, jak rozmawiać z indiańskimi przewodnikami itd. Dziś wreszcie znam odpowiedź. Bezsprzecznie najtaniej wyjdzie nam, jak kupimy bilet do Wyszkowa i zanurzymy się w pobliskie torfowiska i bagna. Polska Amazonia naprawdę w niczym nie ustępuje oryginałowi. No, może w tym, że zamiast palm ma olszyny.

Andrzej idzie pierwszy. W tej chwili widzę jedynie czubek jego głowy. Obaj jesteśmy praktycznie w całości schowani pod ponaddwumetrowymi trawami. Słychać tylko szum wyginanych łodyg i szelest liści. W rękach długie kije. Pomagają nam zachować równowagę. Za chwilę staną się jeszcze bardziej nieocenione.

– Pamiętam, jak przyjechali tutaj państwo z telewizji – gawędziarz Andrzej zaczyna kolejną historię. – Chcieli nagrać program o bagnach. Gdy zobaczyli, którędy mają iść, pani wróciła do samochodu, a pan operator oznajmił mi, że „chyba sobie żartuję". A ja się pytam: „Jak nagrać bagna bez wchodzenia na nie?".

Trzciny nieco ustępują terenu. Wchodzimy w łęgi. Zaczyna się robić wilgotno. Co rusz jednemu z nas noga grzęźnie w jakiejś podmokłości. To torfy próbują zabrać nam buty. Dobrze, że obuwie jest wiązane ponad kostką. Podobnie jak nieocenione okazują się rękawiczki, długie spodnie oraz rękawy. Ostre niczym brzytwa trzciny już nieraz pocięłyby nas do krwi. O atakujących nas wściekle komarach i muchach nawet nie wspominając.

– Dziś i tak jest ich mało. Mamy szczęście! – cieszy się Andrzej.

> Wchodzimy w łęgi. Zaczyna się robić wilgotno. Co rusz jednemu z nas noga grzęźnie w jakiejś podmokłości. To torfy próbują zabrać nam buty.

Wreszcie nadchodzi tak długo wyczekiwana próba. Zaczynają się podmokłości. Pora zacisnąć zęby i wejść w bagno. Wpierw po łydki, potem po uda, wreszcie zaś po same piersi. Czuję nawet dziwną ulgę, nie spodziewałem się. Wszystko przez gorąc dnia i bardzo uporczywie gryzące owady. W wodzie ich nie będzie. A przy tym bagno przyjemnie ostudzi ciało. Najtrudniej wejść po raz pierwszy. Potem jest już tylko zabawniej.

„Survivalowy off-road" z wyszkowską młodzieżą pod dowództwem Andrzeja powoli dobiega końca. Wszyscy ciężko oddychamy. Polska dżungla wyciągnęła z nas swoje. Czołganie wśród traw pod zwalonymi konarami, walka z bujnymi trawami, wreszcie zaś brodzenie po pierś w czarnych bagnach – wszystko to kosztuje trochę zdrowia. Patrzymy jednak na siebie z zadowoleniem. Podobało się. Chyba wszystkim.

To prawda. Z racji pandemii zdążyłem się już stęsknić się za egzotyką. Ciemnym lasem deszczowym czy podmokłościami Orinoko. Dziś jednak nie myślałem o tych miejscach ani przez chwilę. Nie musiałem. Miałem je przecież przed sobą. Aha, i coś jeszcze. Po powrocie do domu na pewno nie będę nikomu mówił, że byłem w Meksyku. Powiem prawdę. I pewnie mi też nikt nie uwierzy. ■

eprasa.pl 05def14ee0



Praktyczny poradnik finansowy

– czyli jak zadbać o swoje pieniądze?

dowiesz się
w **Gazecie Polskiej Codziennie**
i na **gpcodziennie.pl**

NBP Narodowy Bank Polski

Projekt realizowany
z Narodowym Bankiem Polskim
w ramach programu edukacji ekonomicznej

eprasa.pl 05def14ee0



Jakub Augustyn Maciejewski

POMNIKI – ważniejsze niż myślisz

eprasa.pl 05def14ee0

Ostatnie trzy dekady nowoczesności to subtelna walka z pomnikami z trwałym, kamiennym upamiętnieniem tradycyjnych wartości i bohaterów. Dlaczego kawał kamienia tak bardzo przeszkadza wpływowym lewicowcom?



Fot. NAC

Z jakichś powodów potężnemu polskiemu królowi Władysławowi IV Wazie idea postawienia pomnika swojego ojca spędzała sen z powiek. Panował już 10 lat, miał za sobą spektakularne pobicie Rosjan pod Smoleńskiem, dekadę pokoju i rozkwitu gospodarki Rzeczypospolitej i właśnie w tym czasie powstała idea wzniesienia prostej kolumny naprzeciw królewskiego zamku, a na samym szczycie umieszczenia figury jego ojca, Zygmunta III Wazy. Dziś tzw. Kolumna Zygmunta stoi przy warszawskiej Starówce jako symbol dawnych czasów, choć oryginalna kolumna leży obok murów zamku, kilkadziesiąt metrów dalej.

Monument(alna) historia

Kolumna Zygmunta jest dziełem przełomowym – wcześniejszy tego typu monument był wzniesiony 1200 lat (!) wcześniej, w starożytnym Rzymie. Najsłynniejsza była Kolumna Trajana, wybitnego cesarza (98–117), który rozciągnął granice imperium do największego rozmiaru w dziejach. Kolumna stała się pierwszym świeckim pomnikiem w Polsce i pierwszą kolumną w nowożytnej Europie aż do 1810 roku, gdy podobną postawili u siebie Francuzi. W Warszawie stoi więc na piedestale okryty płaszczem Zygmunt III Waza, w jednej ręce dzierżący polską szablę, w drugiej – katolicki krzyż. Choć historia przykryła króla Zygmunta wieloma niepochlebnymi opiniami, to gdy ów monarcha umierał w 1632 roku, cała Rzeczpospolita uznała, że był to jej najwybitniejszy władca. Obszar państwa wynosił milion kilometrów kwadratowych, a samo panowanie trwało 46 lat! W dowód uznania dla monarchy szlachta jednogłośnie, jak nigdy w dziejach, wybrała na następnego króla jego pierworodnego syna – Władysława. To on właśnie zdecydował się w najważniejszym miejscu w stolicy wznieść niesłychanie nowatorski i tradycyjny zarazem monument.

I tak oto 22-metrowa kolumna i postać króla Zygmunta opowiada, będąc jedynie kamiennym posągiem, całą potęgę Rzeczpospolitej – jej wielkość geograficzną, jej wierność katolicyzmowi (krzyż), jej specyfikę wojskową (szabla), jej odwagę w nawiązywaniu do tradycji łacińskiej (kolumna), jej napis, inskrypcja łacińska, opowiada o zwycięstwie nad Moskwą, Turcją, o dumie i braku kompleksów naszych przodków. Kolumna Zygmunta, jeden punkcik na mapie Polski, świadczy o półwieczu zwycięstw, odwagi i rozmachu naszego narodu.

A przecież to historia jedynie jednego pomnika – są w naszym kraju nie mniej potężne opowieści.

eprasa.pl 0def14ee0

Niepozorne krzyże

To, czego zwykli turyści nie mogą zrozumieć, to fakt, że podziwiamy nie tylko kamienne posągi, lecz także mamy szansę poznać dzieje ich powstania. Bo oto monument może być duży, mały, nowoczesny lub tradycyjny, ale wgłębiając się w kulisy jego budowania, okazuje się, że stoi za tym złożony kontekst polityczno-historyczny. Przecież pomnik Poległych Stoczniowców 1970, ot, trzy 43-metrowe krzyże o wadze 36 ton każdy, nie stanowią arcydzieła artystycznego. A jednak – odsłonięcie ich w 1980 roku było niesłychanym zwycięstwem nad komunistycznym totalitaryzmem – w dobie Breżniewowskiej potęgi upamiętniały one zabijanie trójmiejskich robotników na ulicach w grudniu 1970 roku. Prosta suwnicowa Anna Walentynowicz potrafiła uprzeć się i postawić na swoim – wzniesienie trzech krzyży pod presją stoczniowców odbyło się na przekór PRL-owskiemu reżimowi. Władze musiały się zgodzić. Można więc spojrzeć na te trzy krzyże jako na monumentalną pamiątkę, a można też odczytać w nich niezłomność polskiego ducha, który w czasach rządów zbrodniarzy upamiętnia ofiary tych zbrodniarzy. Czyż nie jest to demonstracja siły narodowego ducha?

Ważny więc w postrzeganiu pomników jest nie tylko ich końcowy efekt, lecz także historia ich powstania. Zwykli śmiertelnicy mogą spoglądać na dzieło twórcy, zaś wnikliwi obserwatorzy – dociekać genezy, historii powstawania, rozumieć kontekst i poczuć coś więcej niż tylko obejrzenie kamiennej konstrukcji. W pomnikach to nie tylko one same, lecz właśnie ich geneza, są dodatkowym zapisem w kronice narodowych dziejów. Nie tylko Kolumna Zygmunta, pomnik Poległych Stoczniowców, lecz także tysiące innych kamiennych monumentów świadczą o tym z całą mocą.

Grunwald powraca

I tak oto w 1910 roku odsłaniano na krakowskim placu Jana Matejki pomnik Grunwaldzki – stoi do dziś. Można oglądać go jako króla Jagiełłę wśród jeńców krzyżackich oraz dumnych wojów swojej armii, tych rycerzy, którzy pobili krzyżacką, germańską potęgę. Można przejść obok, zrobić zdjęcie, skierować się dalej w stronę Barbakanu i Starego Miasta. Ale gdy wrócimy do opisów odsłonięcia monumentu, zobaczymy łzy, muzykę i tłumy – wielotysięczne rzesze ludzi, robotników, młodzieży, chłopów z okolicznych wsi, którzy szczelnie wypełnili plac i planty, by być świadkami odsłonięcia pomnika Grunwaldzkiego. 150 tysięcy ludzi w tamtych czasach! Skąd te tłumy?

Rok 1910 to nadal czas zaborów – Polski nie ma na mapie i nic nie zapowiada jej powrotu. Zaborcy silni, uzbrojeni, Niemcy agresywne jak nigdy dotąd. I oto w podległym Wiedniowi Krakowie wznosi się pamiątkę pogromu niemieckich Krzyżaków? Te tłumy na otwarciu, tłumy tak często niepiśmienne, czuły więc w tym coś więcej niż tylko kamienną bryłę – dawały swoją obecnością świadectwo, że czują się mocniejsze niż niemieckojęzyczni urzędnicy, którzy je otaczali. Ale ten pomnik ma historię jeszcze bardziej złożoną.

Jego głównym fundatorem był pianista Ignacy Paderewski. Gdy stawał na drewnianej scenie, by przeciąć wstęgę przed pomnikiem, nikt nie mógł wiedzieć, że kompozytor będzie za kilka lat oczarowywał prezydenta USA Woodrowa Wilsona swoimi utworami, by w przerwie na bankiet mamić go wizją romantycznej Rzeczpospolitej. Chłopi z Bronowic, Mogiły i Racławic, gdy wiwatowali na widok potarganego muzyka, nie wiedzieli, że będzie on szeptał amerykańskiemu politykowi, by do swoich postulatów zakończenia wojny wpisał niepodległą Polskę. Jeden z krakowskich dziennikarzy, Adam Grzymała-Siedlecki, podszedł podczas uroczystości do samego Paderewskiego i zapytał:

„– Kiedy w panu powstała myśl ofiarowania Polsce tego milionowego daru?

– A ile pan ma lat? - odpowiedział pytaniem na pytanie Paderewski.

– Trzydzieści cztery!

– No więc nie było pana jeszcze na świecie, kiedy już o tym zamarzyłem" – odrzekł rozmarzony pianista. Jego życzenie spełniało się z rozmachem – krakowskie tłumy, dostojny pomnik, wielka narodowa uroczystość. Paderewski więc, urodzony w 1860 roku, był skromnym dzieckiem Podola, gdy w jego okolicy wybuchły walki powstania styczniowego. Jako że jego rodzice umarli wcześnie, wychowawcą późniejszego kompozytora został akurat powstaniec listopadowy, Michał Babiński. Legenda Kamieńca Podolskiego, gawędy sąsiadów o powstaniu styczniowym, nauczyciela o powstaniu listopadowym, pierwsze wizyty w średniowiecznie wyglądającym Krakowie – w głowie nastolatka pojawiła się wizja upamiętnienia wielkiego zwycięstwa nad tymi, którzy później zniszczyli Polskę. Paderewski czytał o swoim Podolu w „Panu Wołodyjowskim" Sienkiewicza, a o Grunwaldzie – w „Krzyżakach". Znał on polską aktorkę wszech czasów Helenę Modrzejewską, ojca polskiego nacjonalizmu – Romana Dmowskiego oraz ojca Legionów – Józefa Piłsudskiego. Gdy chęć wzniesienia pomnika grunwaldzkiego wzrasta-

eprasa.pl 05def14ee0

ła, Paderewski poświęcił pół miliona austriackich koron, by opłacić wileńskiego rzeźbiarza i wielu wykonawców. Tylko nieliczni świadkowie widzieli, że 15 lipca 1910 roku, a więc 500 lat po Grunwaldzie, Paderewski ocierał łzę, przecinając wstęgę przed dostojnym kamiennym Jagiełłą. Można więc przejść obok tego monumentu jak przed ciekawą konstrukcją, a można poczuć dramatyzm zaborów, tęsknoty za wielkością i niesłychany upór podolskiego pianisty. Polskość wszak, nieważne skąd pochodzi, może zawitać na światowe salony i poruszyć świadomość najsilniejszych tego świata.

Narodziny pomnikowej pasji

I tutaj warto zapamiętać, że właśnie wiek XIX przyniósł masowe i trwałe wznoszenie pomników, zwłaszcza świeckich. Figury Chrystusa w kościołach czy Matki Bożej na ulicach były znane od średniowiecza, lecz pomniki świeckich zrodziły się w Polsce w XVII wieku. Z premedytacją kazał je projektować Jan Sobieski – najlepszy wśród polskich monarchów propagandysta. Stanisław August Poniatowski kazał wznieść pomnik Sobieskiego w 1788 roku, udając, że chodzi mu o setną, choć o pięć lat spóźnioną, rocznicę wspaniałej Odsieczy Wiedeńskiej. Tak naprawdę król chciał jedynie zachęcić poddanych do pójścia na wojnę z Turcją, w sojuszu z Rosją. Gdy jednak odsłonięto konny pomnik króla Jana III, ktoś rozrzucił po ulicach złośliwy wierszyk: „Sto tysięcy karuzel [dukatów – red.] ja bym trzykroć łożył, by Stanisław skamieniał, a Jan III ożył". Przechodząc obok tego monumentu, który dziś podziwiany jest przez wchodzących przez północną bramę do Parku Łazienkowskiego, pamiętajmy, że pod nim właśnie umówili się powstańcy ze Sprzysiężenia Podchorążych, którzy rozpoczęli w 1830 roku zryw listopadowy. 60 lat po wybuchu powstania scenę spod pomnika uwieczni na jednym z obrazów malarz Wojciech Kossak. I tak oto jeden pomnik łączy dziesiątki wątków – megalomanię Sobieskiego, niespełnione ambicje króla Poniatowskiego, złośliwość jego poddanych, powstanie listopadowe i malarstwo polskie.

Choć powierzchowni turyści mogą obejrzeć tylko dumnego pogromcę Turków taranującego przerażonych muzułmanów, to nam wypada spojrzeć głębiej, szerzej – bo oto kamienny sarmata przewodził narodowemu entuzjazmowi dziesiątki lat po swojej śmierci.

Sam Sobieski, zmarły w 1696 roku, w chwili, gdy Rzeczpospolita nosiła jeszcze znamiona potęgi, służył w pamięci potomnych 200 lat później – gdy Polski nie było na mapie. To właśnie 200. rocznica Odsieczy Wiedeńskiej była pierwszym pomnikowym zrywem w historii polskiego narodu. Kraków oszalał na punkcie bitwy wiedeńskiej – wydawano książki i książeczki, malowano obrazy (sam Matejko chwycił za pędzel) i obrazki, zorganizowano pierwsze wystawy pamiątek po Janie III. Ogłoszono zresztą w gazetach, że każdy może nadesłać coś ze swojego domu, co pamięta czasy pogromcy Turków lub coś, co przypomina o polskim zwycięzcy. W połowie czerwca 1883 roku zgłosili się pierwsi uczestnicy – hr. Bniński obiecał dostarczyć wyroby hafciarskie i płócienne z epoki, Seweryna z hr. Szembeków Czajkowska zadeklarowała dostarczenie szkatuły wyklejanej ręką Marii Kazimiery, a hr. Jerzy Moszyński miał dać zbroje z czasów staropolskich. Widocznie komitet organizacyjny doszedł do wniosku, że sprawę pamiątek należy uporządkować, bowiem 10 maja 1883 roku ogłosił w „Czasie" zapowiedź dalszych przygotowań i wyznaczył ostateczny termin nadsyłania przedmiotów do 10 sierpnia. Jak to zwykle bywa, w rzeczywistości termin ten przesunął się aż do 5 września. Hrabia Lanckoroński z Rozdołu dostarczył komplet dwóch namiotów tureckich, Bolesław Kruszewski wzbogacił wystawę o dwie karabele, hr. Adam Krasiński o złoty zegarek po kanclerzu Ossolińskim, Maria Wielopolska zaś obdarowała wystawę medalionem z kości słoniowej z wizerunkiem siostry królowej Marii Kazimiery. Ważne było więc nie tylko upamiętnienie, lecz także samo przygotowanie do niego.

Kościół Mariacki, arcydzieło polskiej architektury, zawierające genialny ołtarz Wita Stwosza, stał się także areną pomnikowych emocji. Na jednej ze ścian dokonano odsłonięcia tablicy z płaskorzeźbą przedstawiającą triumf polskiego króla nad Turkami, której autorem był Paweł Weloński. Już w październiku, czyli po oficjalnych obchodach, ukazał się na łamach „Czasu" artykuł subtelnie krytykujący dzieło. Autor tekstu co prawda usprawiedliwia twórcę, że miał niewiele czasu na wykonanie, że mimo wszystko kompozycja jest udana, król pełen jest energii, zaś Turek chłodu i przygnębienia, „że tylko noga konia jest krzywą", a twarz samego monarchy do niego samego niepodobna. Czyli dziś turyści mogą przechodzić obojętnie obok wizerunku Sobieskiego na fasadzie Kościoła Mariackiego, może niektórzy zauważą, że widnieje tam polski monarcha na koniu, ale któż wie, ile emocji na łamach XIX-wiecznej prasy wywołało to jedno końskie kopyto?

Pomniki jako zarządzanie przestrzenią

Kontekst tworzenia upamiętnienia jest bogaty w treści i emocje, ma nie tylko kształtować tożsamość, lecz także wynika z tożsamości – z doświad-

eprasa.pl 05def14ee0

czeń fundatora, twórcy i artysty, następnie z uczestników uroczystości odsłonięcia, których akurat ten pomnik wyciągnął z domów, oderwał od codziennych zajęć. Ale pomniki w swojej materialności i osadzeniu w przestrzeni to równie ważny czynnik. Wokół pomnika organizuje się uroczystości nie tylko na odsłonięcie, lecz także na rocznice, wydarzenia polityczne i społeczne. To dlatego po 1956 roku Polacy dbali o to, by lokalne osiągnięcia Armii Krajowej były upamiętniane choćby przez głaz z napisem, inskrypcją, krzyżem. To w takich miejscach, a nie tych oficjalnych i partyjnych upamiętnieniach Armii Ludowej, składano kwiaty, odbywały się spotkania i przemówienia – to tu towarzysze broni mogli niejako porozmawiać ze swoimi poległymi przyjaciółmi, których nieznane miejsca pochówku są rozsypane po polskich lasach. Przydrożne kapliczki nakazują się przeżegnać, przydrożne kamienie pamiątkowe – przypomnieć sobie polskie bohaterstwo – tutaj nie tyle wielkość i wymiar artystyczny (często po prostu żaden wymiar artystyczny) mają znaczenie, ile liczba tych monumentów, które świadczą o masowości udziału w Polskim Państwie Podziemnym. Nawet mnogość pomników papieża, tak często wyśmiewanych przez lewicowych komentatorów, także jest znakiem czasów – jak wiele osób, nawet nie mając do tego zasobów, pieniędzy, umiejętności, pragnie mieć „swojego" Jana Pawła II.

Pomniki są też znaczeniem terenu. Nieprzypadkowo jeszcze w grudniu 1991 roku fabryki pomników Lenina w Związku Sowieckim szły pełną parą. Póki istniało komunistyczne imperium, póki nie wydało ostatniego tchu, robotnicy ciosali sylwetki Włodzimierza Ilicza, który stał we wszystkich miejscowościach sowieckiego państwa. Często zresztą na centralnym placu czy wręcz placyku, przed głównym urzędem, zwanym Domem Sowietów. Tam, gdzie te pomniki stoją do dziś – tam w parlamentach siedzą prorosyjscy politycy; tam, gdzie je obalono – społeczeństwo wybija się na mentalną suwerenność.

Gdy społeczeństwo jest podzielone – to i pomniki walczą ze sobą o przestrzeń. Niesłychanie ostentacyjnym przykładem jest pomnik konny generała Grigorija Kotowskiego w stolicy Mołdawii – Kiszyniowie. Stojący przy jednej z głównych dróg, naprzeciw dumy tamtejszej architektury, sowieckiego hotelu Kosmos, przedstawia postawnego jeźdźca na maszerującym koniu, stojącym z kolei na prawie trzymetrowym cokole. Kotowski był bolszewikiem, rewolucjonistą, bandytą, przez połowę mieszkańców Republiki Mołdawii uznawany za bohatera, przez drugą połowę – za złodzieja. Póki stoi – póty widać, że kraj jest rozdarty na pół.

Ale to nie koniec historii Kotowskiego – 200 metrów od niego, właściwie tak jakby bolszewik patrzył w to miejsce – stoi pomnik ofiar komunizmu. Monument przedstawia stłoczonych w kolejce bezbronnych i wtulonych w siebie ludzi, którzy wznoszą się ku nieznanej przestrzeni, którzy – po prostu – są deportowani przez sowieckie władze. Mołdawianie przeżyli dwie takie fale wywózek – wiosną 1940 roku, a następnie od roku 1944. Jednak paradoksalnie ten podniesiony na cokole pyszny bolszewik, patrzący wyniośle na bezbronne ofiary, pokazuje, jak i dzisiaj gwałci się pamięć historyczną. Jak można żyć w kraju, w którym kat i ofiara mają pomniki obok siebie?

Niebanalna edukacja

Nawet najbardziej mdłe i sztampowe przemówienia – a Polacy są w nich, niestety, specjalistami – stawiają słuszną tezę, że oto pomniki służą edukacji. Kiedyś zresztą owa edukacja była prowadzona zaskakująco skutecznie. W 1938 roku w Modliborzycach na Lubelszczyźnie odsłonięto niewielki obelisk z wizerunkiem Józefa Piłsudskiego. Na uroczystości otwarcia przybyli mieszkańcy miasteczka i okolicznych wsi. Wśród przemawiających był nawet... pięciolatek, który wyrecytował z przejęciem prosty patriotyczny wierszyk: „Wie to każde polskie dziecię, Kto to jest na tym portrecie, Kto to jest ten Pan w mundurze, Czyje brwi i wąsy duże, Czyj ten uśmiech niesurowy, Gdy patrzy na dziatek głowy". Po 75 latach blisko 90-letni Marian Maciejewski z łatwością odtworzył ten wierszyk, wpisując go do swoich wspomnień. Co więcej, odwiedziwszy rodzinną miejscowość sześć dekad po wojnie, zobaczył, że przy monumencie wmurowana jest tablica z nazwiskami poległych w czasie II wojny światowej mieszkańców okolicy – w tym wielu jego sąsiadów i starszych kolegów ze szkoły. Wróciła pamięć – tak dosłownie, jak o pomnikach mówimy, że są „miejscami pamięci". Przeglądając dziś stare fotografie, na których młodzież przy pomniku pozuje do zdjęcia, można odnotować, jak wielu z nich zginęło w czasie zmagań z Niemcami i Rosjanami. Na ile na ich postawę wpłynęły miejsca pamięci, wola ich postawienia, uroczystości otwarcia, przestrzeń wokół nich? Dokładnie tego nie zmierzymy, lecz w naturze ludzkiej kryje się tajemnica przywiązania także do tych materialnych wyrazów tradycyjnych wartości.

Nieprzypadkowo archeologowie tak wiele potrafią powiedzieć o społeczności sprzed 4 tysięcy lat, gdy odkopią pomnik z miast dawnych imperiów – co powiedzą za 4 tysiące lat o narodzie znad Wisły? Tę historię piszemy dziś także miejscami pamięci. ■

eprasa.pl 05def14ee0

Agnieszka Kowalczyk

„GAZETA POLSKA" W LATACH 1929–1939

Laur niepodległości

GAZETA POLSKA



JUŻ WKRÓTCE
DO KUPIENIA NA STRONIE

sklep.gazetapolska.pl

PARTNERZY

KGHM POLSKA MIEDŹ

PWPW POLSKA WYTWÓRNIA PAPIERÓW WARTOŚCIOWYCH

TOTALIZATOR SPORTOWY

65 LAT TOTALIZATORA SPORTOWEGO

PROJEKT REALIZOWANY W RAMACH OBCHODÓW STULECIA ODZYSKANIA NIEPODLEGŁOŚCI ORAZ ODBUDOWY POLSKIEJ PAŃSTWOWOŚCI

niepodległa

eprasa.pl 05def14ee0

Małgorzata Matuszak



Nowe sposoby nie-świętowania

Społeczeństwa Zachodu laicyzują się – to niezaprzeczalny fakt. Zjawisko to zaobserwować możemy także w Polsce. Chrzest, I Komunia Święta, bierzmowanie, ślub kościelny, katolicki pogrzeb były sakramentami, które w istotny sposób podkreślały wejście człowieka w kolejne etapy życia, były jego częścią i definiowały jego całość. Dziś coraz częściej przyjmowane są w sposób bezwiedny, niesięgający ich istoty, a nawet spotkać się można z próbami zastępowania ich przez tzw. obrzędy humanistyczne.



eprasa.pl 05def14ee0

Niektórym kręgom bardzo zależy na tym, by wyeliminować religię z życia Polaków, proponują więc, by katolickie sakramenty zastąpić ich świeckimi odpowiednikami.

Co zamiast?

Słyszeliśmy to podczas odbywającego się tzw. strajku kobiet. Zaproponowano, by sakramenty świętowane przez katolików zastąpić ich świeckimi odpowiednikami. Tak oto chrzest, czyli pierwszy z sakramentów chrześcijańskich, będący obrzędem nawrócenia i obmycia z grzechu pierworodnego, miałby być zastąpiony choćby „hucznymi pierwszymi urodzinami". Jeden z działaczy powiedział podczas wystąpienia: „Skoro dla wielu osób istnieje naturalna potrzebna celebracji i zaznaczenia jakimś rytuałem, że w rodzinie i społeczności pojawił się ktoś nowy, warto zdawać sobie sprawę, że istnieją inne niż katolicki chrzest możliwości, żeby to urzeczywistnić". Alternatywą dla chrztu mogłaby być humanistyczna ceremonia przywitania dziecka na świecie, czyli tzw. ceremonia nadania imienia z udziałem celebranta lub celebrantki ceremonii humanistycznej. Podczas niej nadaje się uroczyście dziecku imię, a „rodzice zobowiązują się wobec siebie i bliskich do wychowywania dziecka w duchu prawdy, szczerości wobec siebie i innych, do rozwijania krytycznego myślenia, wzmacniania szacunku do siebie i innych, rozwijania w dziecku odwagi do pokonywania zła, wychowania w duchu pokoju i miłości, do rozwijania optymistycznego poglądu na świat, wychowywania w duchu troski, współczucia i hojności". Zamiast rodziców chrzestnych można w ceremonii tej ustanowić „rodziców honorowych".

Zaproponowano także świecki odpowiednik I Komunii Świętej – „przyjęcie świętujące". Mówca przekonywał, że dla dzieci w tym dniu i tak liczą się prezenty, które z okazji I Komunii Świętej otrzymują, tak więc zamiast I Komunii można „zorganizować niezapomnianą wycieczkę, wspólnie stworzyć nowy wystrój pokoju lub przygotować przyjęcie świętujące wkroczenie w nowy etap". Dodał również, że „przy okazji dziecko może dostać prezenty, dzięki czemu nie będzie czuło się poszkodowane w porównaniu do komunijnych rówieśników". Jeśli zaś „przyjecie świętujące" okaże się niewystarczające, można zorganizować bardziej znaczącą ceremonię – tzw. ceremonię rozkwitu.

Istnieje również zamiennik sakramentu małżeństwa – ślub humanistyczny. (Na ten temat pisałam w nr 03/2020 „Nowego Państwa"). Wśród jego zalet wymieniano krótki czas oczekiwania i niski koszt, a także indywidualne podejście do ceremonii – para ma w tym przypadku pełną kontrolę nad przebiegiem ceremonii, może sama układać słowa przysięgi małżeńskiej i decydować o tym, jakie rytuały mają towarzyszyć temu wydarzeniu.

Humanistyczne świętowanie

Humanizm to, jak czytamy na stronie Towarzystwa Humanistycznego, „demokratyczny, nieteistyczny i etyczny światopogląd, ruch społeczny i intelektualny oparty na przekonaniu, że człowiek w pełni samodzielnie kształtuje swój obraz świata, system wartości i swoje życie oraz samodzielnie nadaje mu sens". Dla humanistów, na co zresztą zwraca uwagę sam termin, najważniejszy jest człowiek. Ten zaś, z istoty bycia człowiekiem, odczuwa potrzebę celebracji ważnych, doniosłych i przełomowych momentów swojego życia. Humaniści wychodzą więc naprzeciw.

Humaniści to ludzie afirmujący człowieka, jego potencjał twórczy i stwórczy, tak więc i ceremonie humanistyczne w swym centrum stawiają ludzi, którzy są ich podmiotami. To również decyduje o wyjątkowości takiego wydarzenia – skoro każdy człowiek jest jednym jedynym, wyjątkowym, to i wydarzenie musi tę wyjątkowość wydobyć. Ceremonię humanistyczną cechuje więc personalizacja i dostosowanie do osobowości uczestników. Mają one na celu wydobycie piękna oraz wzmacnianie więzów międzyludzkich, honorując zaś najważniejsze momenty w życiu, pokazują równocześnie wyobraźnię, fantazję i światopogląd osób, których wydarzenie to dotyczy. Nie istnieje zatem jeden „ryt humanistyczny", lecz jest ich tyle, ilu istnieje humanistów. Ceremonia humanistyczna jest zatem dostosowana do indywidualnego człowieka, nie zaś – jak w przypadku chrześcijańskich sakramentów – człowiek do ceremonii i rytuału.

Jednak i w humanistycznych ceremoniach ważny jest rytuał. W ceremonii nadania imienia na przykład, choć sam jej przebieg zależy od rodziców, trzy jej punkty są obowiązkowe: (1) uroczyste nadanie imienia, niesie ono bowiem z sobą znaczenie, które rodzice zobowiązani są wytłumaczyć i wyjaśnić innym, dlaczego je właśnie nadają swojemu dziecku i czego w związku z tym jemu życzą; (2) przysięga rodziców o bezwarunkowej miłości oraz zobowiązanie do troski i szacunku do jego indywidualności; (3) przysięga rodziców honorowych, których wybierają rodzice, że będą czuwali nad dobrem dziecka i byli jego przyjaciółmi wtedy, gdy biologicznych rodziców zabraknie. Zwyczajowo też rodzice zapalają między dwoma świeca-

FOT. ADOBE STOCK

eprasa.pl 05def14ee0

mi trzecią, symbolizującą życie dane dziecku przez rodziców.

Zamiast I Komunii Świętej

W miejsce I Komunii Świętej humaniści oferują tzw. ceremonię rozkwitu. Jest ona ich zdaniem odpowiednia dla dzieci w wieku od 11 do 13 lat. Ma ona na celu podkreślenie zmian zachodzącym w młodym człowieku i pomagającym mu w budowaniu swej tożsamości i niezależności. Podczas ceremonii on i jego rodzice składają przysięgi – młody człowiek zobowiązuje się do wzięcia odpowiedzialności za swoje słowa i zachowanie i deklaruje, że rozumie to, iż wraz z przywilejami wiążą się również obowiązki, rodzice zaś zobowiązują się do respektowania faktu, że ich dziecko zaczyna wkraczać w dorosłość, w związku z czym jego głos będzie traktowany poważnie, a ono samo otrzymywać będzie na swej drodze ku dorosłości ich wsparcie i uznanie. Ceremonii tej winna towarzyszyć także symboliczna „próba dorosłości", podczas której młody człowiek będzie miał okazję się wykazać, czyli na przykład zasadzenie drzewa albo spędzenie kilku dni na żaglach czy łodzi. Chodzi w niej o to, by młody człowiek zyskał nowe umiejętności i sprawdził się w nowej sytuacji, poczuł dumę i wzmacniał poczucie własnej wartości, to zaś, jaka będzie to próba, zależy od jego usposobienia i pomysłowości rodziców. Ceremonia rozkwitu ma wpływać pozytywnie na relację rodziców z dzieckiem, zacieśniać ich więzy i kształtować charakter młodego człowieka.

Pojawiły się również inne odpowiedniki I Komunii Świętej, bazujące na tradycji dawnych Słowian – postrzyżyn dla chłopców, czyli pierwszym obcięciem włosów, wiążącym się z nadaniem męskiego imienia i przejściem spod opieki matki pod opiekę ojca, i zaplecin dla dziewczynek, czyli spleceniem pierwszego warkocza, zapoczątkowującym przygotowania do roli przyszłej żony i matki. Ceremonie takie odbywają się od kilku lat w Gdańsku i cieszą się coraz większą popularnością. „To piękny rytuał przejścia, podkreślenie faktu, że nasze dziecko staje się coraz bardziej samodzielne", stwierdziła jedna z matek dziecka biorącego w nim udział.

Rites de passage

Humaniści uznają swoje ceremonie za rites de passage, czyli rytuały przejścia. Twórcą tego terminu i pierwszym ich badaczem był francuski etnolog Arnold van Gennep, który w 1909 roku w dziele „Obrzędy przejścia" przedstawił powszechnie dziś przyjęte trójfazowe postrzeganie schematu rytuału przejścia. Dostrzegł on, że życie każdej jednostki albo grupy, w jakimkolwiek społeczeństwie, jest serią przejść z jednej społeczności do następnej, obrzędy przejścia zaś to rytuały, które w symboliczny sposób to przejście wyrażają. Obrzędy są symbolicznym komunikowaniem tego przejścia, zmiany jakiejś właściwości poddawanego im człowieka. Służą one właśnie podkreślaniu przełomowych momentów życia ludzkiego, takich jak narodziny, wejście w okres dojrzałości płciowej, małżeństwo, inicjacja kapłańska, ciąża i poród czy śmierć.

Obrzędy przejścia można wskazać i opisać w każdej tradycji religijnej. Chrześcijańskie rytuały przejścia mają ogromne znaczenie dla życia wewnętrznego każdego ucznia Chrystusa, służą stopniowemu wprowadzaniu w tajemnice wiary i pogłębianiu życia duchowego. Temu służą sakramenty, czyli „skuteczne znaki łaski ustanowione przez Chrystusa", dzięki którym udzielane jest życie Boże. Obrzędy widzialne oznaczają urzeczywistnienie łaski i przynoszą owoc w tych, którzy je przyjmują z odpowiednim nastawieniem (KKK 1131). Wydarzenie obrzędowe towarzyszące katolickim sakramentom, posiadające aspekt widzialny i słyszalny, pozwala ów „aspekt łaski" identyfikować. Tak też chrzest jest zapoczątkowaniem życia w Bożej wspólnocie, które pozwala na dalsze w niej uczestnictwo, I Komunia Święta oznacza udział w życiu duchowym, a bierzmowanie to udział w męczeństwie Chrystusa poprzez stanie się świadkiem wiary.

Ceremonie humanistyczne mają zupełnie inny wydźwięk. Nie mogą być więc czymś „w zamian". Sakramentów niczym zastąpić nie można.

Postępująca sekularyzacja?

Etymologia terminu „sekularyzacja" wywodzi się od łacińskiego „saeculum", czyli „z danego wieku", co oznacza odniesienie do tego, co czasowe, doczesne, przeciwstawiane temu, co wieczne, duchowe. Na stronie ceremonie.racjonalista.pl czytamy: „W erze globalizmu i pluralizmu różne tradycje nie są od siebie izolowane, lecz współegzystują obok siebie. Naiwne jest oczekiwanie konserwatystów, iż Polska będzie tutaj jakimś wyjątkiem, oazą skostniałego tradycjonalizmu, ślepego na zmieniającą się rzeczywistość i ludzkie potrzeby. Jeśli społeczeństwa przyszłości będą kultywować indywidualizm i wolność, to ceremonie humanistyczne z pewnością będą odpowiadały na najgłębsze społeczne oczekiwania". Czy jednak ceremonie humanistyczne naprawdę odpowiadają na najgłębsze społeczne oczekiwania? Czy odpowiadają na najgłębsze oczekiwania człowieka jako człowieka właśnie? Czy człowiek może istnieć bez tego (Tego), co (kto) w najgłębszy sposób go definiuje? ■

eprasa.pl 05def14ee0

Małgorzata Matuszak

Czym jest... przeznaczenie

Według „Słownika Języka Polskiego" słowo „przeznaczenie" możemy rozumieć trojako. W pierwszym znaczeniu określa ono „praktyczny cel, do którego coś jest przeznaczone, zakwalifikowane, któremu dana rzecz służy" – jeśli zatem coś posiada określone przeznaczenie, to ma również pewne praktyczne zastosowanie, służy realizacji określonej funkcji [jak w zwrocie „używać czegoś (nie)zgodnie z przeznaczeniem"]. W drugim znaczeniu oznacza cel życia, powołanie, posłannictwo, to, dla czego ktoś żyje, przeznacza swoje życie. Po trzecie, jest „nieuniknioną przyszłością, nieuchronną koniecznością nadejścia, stania się czegoś", „zaprogramowaną" przez siły wyższe od człowieka, nazywaną też losem, dolą czy fatum.

Stanisław Jerzy Lec w jednym ze swych aforyzmów na pytanie, jakie jest przeznaczenie dla człowieka, odpowiada niezmiernie krótko: być nim. Istotnie, powołaniem człowieka jest bycie człowiekiem, w całym tego słowa znaczeniu. Cóż jednak oznacza „bycie na swoją miarę"? Kto nią nas mierzy?

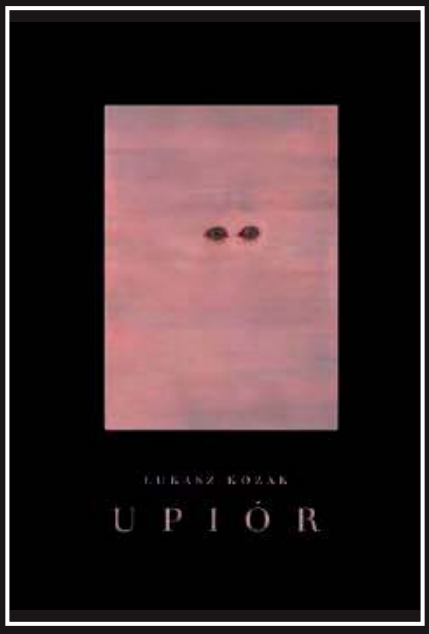
Dla Arystotelesa przeznaczenie w pierwszym znaczeniu staje się punktem wyjścia do rozważań nad istotą człowieka i celem jego życia. Wszak w przypadku wszystkich rzeczy, które pełnią jakąś funkcję, dobre spełnienie tej funkcji jest dobrem tej rzeczy. Na tej podstawie możemy nazwać rzecz dobrą lub złą w zależności od tego, czy dobrze lub źle spełnia swoją funkcję – to, co do niej należy. Jako że i ludzie nie mogą być bezczynni i, jak pisze Stagiryta, „stworzeni do próżniactwa", także im przypadać musi w udziale pewna funkcja. Dobre zaś jej spełnianie sprawia, że również życie człowieka staje się dobre. Co jest jednak funkcją, tj. naturą człowieka? Odpowiada Arystoteles: działania zgodne z rozumem lub nie bez rozumu. Ten, kto robi to pięknie, spełni cel życia człowieka – osiągnie szczęście, najwyższe powołanie człowieka. Przeznaczeniem człowieka jest zatem spełnianie człowieczeństwa poprzez stawanie się dobrym człowiekiem, tworzenie doskonałości dzięki realizowaniu zawartych w nim możliwości twórczych.

O przeznaczenie w trzecim znaczeniu tego słowa toczy się odwieczny spór. Jedni uważają, że ich los jest odgórnie zaplanowany i że nie mają wpływu na swoje przeznaczenie, inni zaś przekonani są o tym, że ich wolna wola pozwala im na pełną kontrolę nad swoją egzystencją. Prawda leży pośrodku. Jako chrześcijanie przekonani jesteśmy o tym, że Bóg prowadzi nas przez życie, ma względem nas pewien plan. Niekiedy, zwłaszcza w obliczu zdarzeń dla nas niewytłumaczalnych, zaskakujących, często bolesnych, stwierdzamy: „tak miało być" czy też „Bóg tak chciał". Nie możemy jednak postrzegać siebie jako bezwolne marionetki w rękach Boga. On stworzył nas na swój obraz i podobieństwo, czyli zdolnych do miłości i wyboru. Bez zdolności wyboru nie byłaby wszak możliwa miłość, a bez miłości nie byłoby możliwe Boże podobieństwo w człowieku. Dlatego jeśli w trzeciej prośbie Modlitwy Pańskiej wypowiadamy słowa „Bądź wola Twoja, jako w niebie tak i na ziemi", wierzymy z jednej strony w to, że Bóg ma pomysł na nasze szczęśliwe życie, z drugiej jednak musimy być świadomi tego, że Bóg oczekuje naszego wysiłku, by Jego plan się ziścił.

> Pytając o człowieka, kim jest i dokąd zmierza, nie można nie pytać jednocześnie o Boga. Bez Boga człowiek nie potrafi w pełni zrozumieć tego, kim jest i jakie jest jego przeznaczenie.

W Boży plan wobec nas wpisana jest współpraca z człowiekiem. Bóg stworzył nas jako istoty dialogiczne. Obdarzył nas duchową duszą i wolną wolą. Jak pisze Józef Ratzinger, czyli papież Benedykt XVI: „Mieć duchową duszę znaczy bowiem właśnie być istotą, którą Bóg chciał stworzyć, którą zna i kocha. Mieć duszę duchową znaczy być istotą powołaną przez Boga do wiecznego dialogu i dlatego zdolną ze swej strony Boga poznać i dać Mu odpowiedź. Mieć duszę, jak to nazywamy w czysto substancjalistycznym języku, określimy w ujęciu raczej historycznym, w mowie potocznej: być partnerem w dialogu z Bogiem". Dlatego pytając o człowieka, kim jest i dokąd zmierza, nie można nie pytać jednocześnie o Boga. Bez Boga człowiek nie potrafi w pełni zrozumieć tego, kim jest i jakie jest jego przeznaczenie. ■

eprasa.pl 05def14ee0



„Upiór. Historia naturalna", Łukasz Kozak, Fundacja Evivva L'arte, Warszawa 2021

Krzysztof Wołodźko



HORROR METAFIZYCZNY. SŁOWIAŃSKI UPIÓR I NEOROMANTYZM

„Upiór. Historia naturalna" Łukasza Kozaka nie jest wyłącznie znakomicie ilustrowanym zbiorem makabresek z przednowoczesnych czasów. To esej o archetypach ludowego świata.

eprasa.pl 05def14ee0

Upiór. Historia naturalna" to opowieść o długich wiekach ludzkości, w trakcie których grozę morowego powietrza, głodu, ognia i wojny próbowano obłaskawić wiarą, magią i rytuałami (niekiedy pełnymi przemocy – tak wobec żywych, jak i martwych). To przypomnienie, że nowoczesne struktury społecznych zabezpieczeń są dziejowym ewenementem. Wreszcie: to także erudycyjny szkic romantycznych i popkulturowych przetworzeń pradawnych wierzeń oraz dyskretnie przeprowadzona neoromantyczna dyskusja na temat historycznych wizji polskości.

„Trup, trup! Upiór, ladaco!"

Pierwsze książki mojego bardziej świadomego dzieciństwa to grube tomiszcze „Pana Tadeusza" Adama Mickiewicza (Książka i Wiedza, 1950) i pamiętny „Wybór pism" wieszcza z przedmową Bolesława Bieruta (KiW, 1952). Obie książki odziedziczyłem po babce, Sewerynie Wołodźko, polonistce. Matka mojego ojca pochodziła z małopolskiego Biecza, z asymilowanej rodziny żydowskiej. Jeszcze przed II wojną światową ukończyła studium nauczycielskie w Baranowiczach. Tam poznała swojego przyszłego męża, leśnika z Kresów. W latach 1945–1956 była dyrektorką szkoły podstawowej w Bierzwniku na Ziemiach Odzyskanych.

Jako dziecko nie myślałem wiele o historycznych kontekstach, które dziś są i jak skrzydła, i jak kamienie. Na początku najbardziej fascynowały mnie ilustracje zdobiące obie księgi. Ryciny na ogół cieszyły oko scenami walk, rodzajowymi obrazkami, nawiązaniami do historii I Rzeczypospolitej i sarmackich tradycji, zachowanych także po rozbiorach. Siła Mickiewicza znacznie wyrastała ponad to, z czym chciał go z pomocą kilku semantycznych nadużyć skojarzyć Jerzy Borejsza, „magnat prasowy" początków PRL. Mickiewicz z „Trybuny Ludów", którą zapełniał odezwami w duchu niepodległości narodów i socjalnych nadziei demokratyzującej się w bólach Europy, był dla dziecka znacznie mniej czytelny niż baśniowo-patriotyczny poeta, który wyrwał się ze szponów carskiej Rosji.

Jest w „Wyborze pism" naprawdę niepokojąca ilustracja autorstwa Czesława Jankowskiego. Patrzę na nią teraz. Mocny kontrast światła i mroku. Dwoje przestraszonych dzieci szuka schronienia u stóp starca w kapłańskiej sukni. Dziewczynka z długimi kosami tuli się doń w przestrachu. W rozwartych drzwiach staje młodzieniec o błędnych oczach, wpatrzony w zaświaty: w rzeczy, które wyłamują się naszej perspektywie. Bladość jego twarzy podkreśla światło bijące z izby. Za nim, w prostokącie drzwi – trumienna ciemność śmierci. Krótki opis pod zdjęciem: „Dziady, część IV". I cytat: „któż to jest na progu? / ktoś ty taki? ... po co? ... Na co? / Ach, trup, trup! Upiór, ladaco!". Gustaw, nieszczęsny kochanek, widmowa postać, jest tym, który w imieniu młodych romantyków, zmęczonych Oświeceniem, pismami klasycznymi i zachowawczością starszego pokolenia, pozostającego w służbie carskiej cenzury, woła do księdza: „przywróć nam Dziady".

Nie można wykluczyć, że „Upiór" Kozaka jest podobnym wołaniem. To książka być może myląca – wielu skupi się na ekscesach metafizycznego horroru, turpizmie kolejnych ludowych obrządków, na debatach teologów, rabinów, popów i pastorów, dotyczących upiorycznej materii. Miłośnicy grozy i folkloru nie będą zawiedzeni. A jednak kluczem do książki, wydanej przez Fundację Evviva L'arte, jest postać Adama Mickiewicza i romantyczna wizja polskości, ufundowana nie tylko na poezji młodych lat, lecz także jego emigracyjnej publicystyce. Rzecz nie w prostym opowiedzeniu ludowych mitów – raczej w sugestii, że istnieje, głęboko spleciona z chrześcijaństwem, ale też oddzielona od niego pierwotną obcością, jakaś niewykorzeniona, przedchrześcijańska część polskości, zbudowana na głęboko gnostyckim archetypie dwóch dusz i bliskim rzekomo także słowiańszczyźnie szamanizmie.

Wampir w Warszawie

Dla konsumentów współczesnej popkultury upiór jest mało odróżnialny od wampira. I nie kojarzy się z czymś typowym dla rodzimych ludowych mitów. Wyobrażenia zachodniej kultury masowej ukształtowali w pierwszych dekadach XIX wieku poeta i skandalista George Gordon Byron i nieszczęsny samobójca, hazardzista i melancholik John William Polidori. „Wampir" Polidoriego, początkowo ogłoszony drukiem jako dzieło Lorda Byrona, szybko zaczął podbijać angielskie i francuskie sceny teatralne. Angielscy młodzieńcy, artyści i miłośnicy życia, opowieści o wampirach zaczerpnęli z uczonych ksiąg poświęconych tego rodzaju zjawiskom na Bałkanach, Węgrzech, w Czechach i na Śląsku. Termin „wampir" zrobił później karierę w popkulturze najprawdopodobniej dzięki urzędnikom Habsburgów, którzy opowiedzieli zachodniemu światu o serbskich nieumarłych.

Ale trudno było zamknąć dziwaczną grozę z peryferiów Europy w suchych księgach księży, uczo-

eprasa.pl 05def14ee0

nych i urzędników – społeczeństwa Zachodu, społeczeństwa rewolucji metapolitycznych i przemysłowych, chciały opowieści z dreszczykiem. Wampir wreszcie dotarł i do nas – w kwietniu 1821 roku w warszawskim Teatrze Narodowym wystawiono „Upiora". Jak donosiła prasa: sztuka „napisana ze sławnego romansu dzisiejszego uwielbionego poety Lorda Byrona, roku zeszłego w Paryżu ciągle przez trzy miesiące dawaną była".

Warszawska publiczność, solidnie już mieszczańsko-oświeceniowa, ponoć bawiła się świetnie na spektaklu, który dziś porównalibyśmy z tanim kinem grozy. W XIX wieku pisane po polsku księgi z upiorów jawnie już kpiły. Kto widział „upiory" (wśród Kaszubów i Wielkopolsce zwane „wieszczymi"), kto twierdził, że z nimi przestaje lub padł ich ofiarą, kto wreszcie śmiał głosić, że sam jest upiorem – ten już często nie był traktowany nawet jako ofiara demonicznych wpływów – częściej podejrzewano wpływ gorzałki, urojeń wywołanych stanami chorobowymi i smutne świadectwo zachowanego wśród ludu zabobonu.

Prawdziwą ojczyzną upiorów zdają się być nie Bałkany, lecz rozległe obszary I Rzeczypospolitej, terytoria „ziemi na skraju", czyli Ukrainy. W połowie XVIII wieku papież Benedykt XIV w liście do lwowskiego biskupa greckokatolickiego Leona Szeptyckiego tak pisał: „niewątpliwie panuje w Polsce wielka wolność, która daje wam prawo chodzić po waszej śmierci. Tutaj – wyznaję wam – nasi zmarli są tak spokojnymi, jak cichymi". Ojciec Święty napominał, że „wampiry, które wy zwykle nazywacie upiorami", to zabobon. Jeśli księża nadto takimi sprawami wśród ludu się zajmują to znak, że najpewniej chcą zarobić na egzorcyzmach i mszach. I takich kapłanów – poucza papież – w ostateczności należałoby obłożyć interdyktem.

Dla wcześniejszych i późniejszych teologów rzecz nie była jednak tak oczywista – oficjalna teologia, dbająca o intelektualną czystość doktryny i spokój społeczny, próbowała w wierzeniach dotyczących upiorów widzieć dopust Boży – cień działalności diabła w świecie. Teologia ludowa, często uprawiana przez prostych duchownych, bliższych ludowi, czyniła przeróżne sztuki, by pogodzić wiarę maluczkich z pozorami ortodoksji. Wierzono chociażby, że ludzie miewają dwie dusze, z których jedna zbawiona zostaje przy chrzcie, a druga winna zostać oczyszczona przy sakramencie bierzmowania. Jeśli tak się nie stanie, w człowieku może objawić się natura upiora/strzygonia. Jeszcze w XIX-wiecznych opracowaniach Oskara Kolberga znajdują się zapisy ludowych wierzeń: Kościół ustanowił bierzmowanie, „aby strzygoni nie bywało, bo się niem drugi duch zły wypędza, jeżeli w jakim człowieku był utajony".

▶ Okrucieństwo i brzydota

„Historia naturalna" słowiańskiego upiora jest znacznie bogatsza i o wiele bardziej skomplikowana niźli popkulturowy wizerunek wampira. Upiorami/wieszczymi bywali nie tylko zmarli, lecz także ludzie żywi – nie zawsze czynili zło, niekiedy zapobiegali nieszczęściom. Skomplikowanie materii każe odesłać czytelników/czytelniczki wprost do książki – intrygujące są chociażby opowieści na temat badań Jana Louisa Perkowskiego wśród Kaszubów ze wsi Wilno w kanadyjskim Ontario. Wieszczy („słowo niezwykle archaiczne, wywodzone z prasłowiańskiego rdzenia"), kaszubski upiór, żył pośród ludzi w latach 60. XX wieku. Żył nie jako mit – jeden z mieszkańców wsi tak się przedstawił Perkowskiemu w trakcie nagranej na taśmowy magnetofon rozmowy.

Opowieść Łukasza Kozaka jest często okrutna, niekiedy obrzydliwa. To historie ludzi zamęczonych, palonych i ćwiartowanych żywcem – gdyż wiejska społeczność uznała w nich upiorów. To dziwaczne opowieści o spółkujących ze sobą małżonkach – choć jedno z nich spoczęło już na cmentarzu. To opowiadania o masowo wyciąganych z grobów ciałach, palonych i poddawanych dekapitacji zwłokach. Stronice tej książki wypełniają przykłady ludowych obyczajów, które dziś uspokajająco albo z fascynacją nazywamy folklorem – ale przez długie wieki, więcej jeszcze: przez tysiąclecia – stanowiły istotną część ludzkiego bycia w świecie.

To również historia picia krwi i licznych rytuałów, w których widać elementy medycyny ludowej, odkrywającej w przednowoczesnym świecie protoszczepionki – polecam podrozdział „Krew upiora", zaczynający się od XVII-wiecznej historii o prawosławnej Greczynce z Tesalii, która modliła się nad chorującą chrześcijańską biedotą. A równocześnie „umieszczała w ranach [chorujących] drobiny ropy wyciśnięte z krost ciał chorych na ospę".

Na ogół nie ma sensu szukać ponowoczesnych uzasadnień dla wierzeń i wydarzeń opisanych w „Upiorze". Metafizyczny, obyczajowy, kulturowy i religijny horror, jaki został w niej opisany, może być dla części czytelników i czytelniczek nie do przetrawienia. Niektórych, być może, zainspiruje w twórczej pracy nad blackmetalowymi albumami (niekiedy czytałem tę książkę, słuchając „Bal Lady" Varmii) i tym podobnymi popkulturowymi artefaktami. Ale rzecz sięga głębiej. Istnieją takie

eprasa.pl 05def14ee0

struktury rzeczywistości, powszechnie uznane w przednowoczesnym świecie, wobec których buntuje się pooświeceniowy umysł.

Zapomniana groza przednowoczesności

W opowieściach o upiorach często pojawia się wątek epidemii, chorób wyniszczających całe wsie i regiony Europy. Żyjemy w świecie, który stworzył instytucjonalne, infrastrukturalne, biotechnologiczne kordony sanitarne wokół choroby, umierania i śmierci. Ta ostatnia – by nawiązać do klasycznej pracy Philippe Ariès – została z naszego świata przegnana precz. A przynajmniej tak się nam jeszcze niedawno wydawało. Narodziny i śmierć człowieka, a także jego choroby i ułomności, między XVIII a XX wiekiem przestały być w Europie sprawą małych, zżytych ze sobą społeczności – albo carów, królów, książąt, magnatów, panów, którzy w czas zarazy mogli siebie i swoich poddanych co najwyżej polecić łasce Boga, miłosierdziu zakonów i logistyce słabych jeszcze instytucji.

Dziś narodziny i śmierć zostały schowane za parawanem – a groza tej ostatniej coraz częściej jest popkulturowym spektaklem. Ten proces przemiany dobrze widać w książce Łukasza Kozaka – upiór i pomór były przez wieki sąsiadami człowieka, zanim stały się w pooświeceniowym, miejskim i wielkomiejskim świecie jeszcze jedną rozrywką i sensacją. Ludzie mierzyli się z chorobą i śmiercią, ich strapieniami, cierpieniem i grozą o wiele częściej. Dziś mówimy: ludzie krócej kiedyś żyli. Ale kryje się za tym zupełnie inna rzeczywistość, zarówno głęboko egzystencjalnie, jak społecznie, religijnie i metapolitycznie. Pandemia koronawirusa najpewniej jest dla świata na nowo lekcją tamtej grozy – choć w innej skali, w innych dekoracjach.

Polskość pośród upiorów

A co z Adamem Mickiewiczem jako człowiekiem spoza porządku świata, czyli wieszczem/„wieszczym" i płanetnikiem, czyli tym, który u Boga wyjednuje ludziom łaskę pośród burz? Co z neoromantyzmem „Upiora"? Autor „Dziadów", choć walczył przeciw klasykom, epigonom oświeceniowych prądów, koncepcję upiora również zaczerpnął z Zachodu, lecz wplótł ją w ludowe, gminne opowieści z Litwy. Był to wampir Roberta Southeya, później przejęty przez Lorda Byrona i Polidoriego – wampir, który zarażał upioryzmem i pił krew. Najprawdopodobniej z tą wersją opowieści o upiorze/wampirze poeta zapoznał się w 1832 roku w Dreźnie.

Wtedy powstała III część „Dziadów", która „zmieniła całkowicie polską literaturę. Zmieniła też upiora. Stał się on polityczną metaforą – upiorem mogły być idee, wydarzenia i postacie historyczne, a wreszcie sama Polska". Nie jest to jednoznaczna figura. Polska jako upiór jest zagadką, grozą dla jej wrogów, ale też mrokiem i letargiem niewoli. Upiorami/wieszczymi stają się również Polacy. Były żołnierz napoleoński, uczestnik powstania listopadowego, Franciszek Grzymała, tak pisał na emigracji w Paryżu: „stanęliśmy więc u celu wędrówki [...] na wzór upiorów, co zdaniem gminu i poetów, wracając chwilowo na świat, pożeranemi są ciągle ogniem tychże namiętności, które ich do grobu wtrąciły. My, Upiory polityczne, po gwałtownym zgonie Ojczyzny, wynieśliśmy za grób jej życia, życiem naszem będącego – też te same gwałtowne uczucia – rozpacz, potrzebę zemsty – i zarody obudzonych namiętności".

Ale i sam Mickiewicz – jeśli przyjąć interpretację Kozaka, więzią historyczno-ideowych skojarzeń i znaczeń łączącą wieszcza i „wieszczych", był „upiorem" polskiej myśli i czynu – tym, który przeobrażał ludzi i świat. 3 maja 1842 roku poeta tak mówił na emigracyjnym posiedzeniu: „Nie nazywajcie mnie krytykiem, ale wieszczem [...]. Ale któż z nas nie jest wieszczem? Każdy, kto słowem, piórem, czynem, służył świętej sprawie, był wieszczem, był urzędnikiem w powołaniu narodowem, miał przeczucie tego co się stać powinno. [...] Do wieszczów należy przodkować braciom, wskazywać narodowi drogę; ale dziś nie dość na tem, trzeba przeczucie w czyn zamieniać, tak wyrobić swego ducha, żeby jego natchnienie było czynem". Tak pojmowany Mickiewicz jest tragiczny, bo polskość-upiór jest o wiele straszliwsza niż uładzona opowieść, położona wraz z wiązankami kwiatów pod pomnikami poety w święta narodowe. To już nie jest wieszcz ze szkolnych lektur, to człowiek Mickiewicz mroczny i trudny.

Jaki w Polsce kształt przybierze spór starych z młodymi? Czy będzie sporem postmetafizycznym? Książka Łukasza Kozaka w ten konflikt się wpisuje. Neoromantyczna polskość „Upiora" szuka dla siebie nowej, synkretycznej formy. Obecne w niej nawiązania do szamanizmu, katolickiej i prawosławnej heterodoksji, ludowych wierzeń, sięgających gnozy starszej niż średniowieczny bogomilizm i kataryzm, łączą się z szacunkiem dla chrześcijaństwa. Ale dość wyraźnie sugerują, że w nim się wizja polskości nie wyczerpuje. Tak jakby neoromantyczna Polska miała dwie dusze i wciąż dręczył ją niepokój, pełen grozy i niejasnych nadziei. ■

eprasa.pl 05def14ee0

Piotr Lisiewicz



Futbol, laski, kapelusze i propaganda polskości

Zdobył dla Wisły Kraków zwycięskiego gola w sensacyjnie wygranym meczu z Chelsea Londyn. Wykonywane przez niego z niezwykłym spokojem rzuty karne spowodowały, że zyskał przydomek „człowieka bez nerwów". Gdy pomocnik Antoni Łyko zadebiutował w reprezentacji Polski, wróżono mu światową karierę, ale wszystko przerwała wojna, podczas której jako żołnierz Związku Walki Zbrojnej trafił do Auschwitz. Zginął rozstrzelany przez tego samego esesmana, który wysłał na śmierć ojca Maksymiliana Marię Kolbego. Piłkarz do dziś nie ma swojego grobu. Przypomina o nim jedynie tabliczka umieszczona na nagrobku jego brata Andrzeja na cmentarzu Rakowickim w Krakowie.



FOT. NAC (2)

epasa.pl b5de14e0

Antoni Łyko urodził się 27 maja 1907 roku w podkrakowskich Rakowicach, które dziś są częścią tego miasta, a konkretnie dzielnic Prądnik Czerwony i Czyżyny. Pochodził z robotniczej rodziny, w szkole zdobył zawód tokarza.

Mały, szybki, zwinny

Jednak to piłka nożna miała być jego największą pasją. Był typem drobnego, bardzo szybkiego i zwinnego pomocnika, coś w stylu późniejszych Leszka Pisza czy Wiesława Wragi. Miał nieco ponad 170 cm wzrostu i zaledwie 68 kg wagi. Czasem grywał też w ataku. „Był mikry, braki fizyczne nadrabiał jednak szybkością i boiskowym sprytem. Nigdy nie brakowało mu także odwagi, co zresztą pokazywał nie tylko na boisku, ale i w życiu codziennym. Taki był właśnie Antoni Łyko – piłkarz Wisły, bohater walki konspiracyjnej" – czytamy w jego biogramie na stronie Wisły Kraków.

Pierwsze doświadczenia zdobywał w lokalnym klubie Rakowiczanka, będącym kuźnią kadr krakowskiej Wisły. „W Rakowicach działał prężny klub sportowy – Rakowiczanka. W różnych okresach grali w nim wyłącznie mieszkańcy Rakowic. Można tu wymienić dziesiątki nazwisk piłkarzy i działaczy z lat okupacji i okresu powojennego" – pisze historyk Bohdan Piętka w magazynie HistMag.

„W czasach jego młodości, która przypadała na dwudziestolecie międzywojenne, na Rakowicach powstawała dzielnica willowa. Młody Antoni i jego rodzina mieszkali w znacząco innych warunkach, sam Łyko wykształcił się na tokarza i wykonując ten zawód miał pracować na chleb dla siebie i bliskich" – czytamy z kolei w klubowym biogramie.

Grał też w Prądniczance Kraków. „W okresie międzywojennym sekcja piłkarska była – nie licząc wąskiej grupy szachistów – jedyną sekcją sportową Klubu. Z jej szeregów wyszedł m.in. późniejszy zawodnik Wisły, reprezentant kraju Antoni Łyko" – tak chwali się korzeniami reprezentanta Polski Prądniczanka.

„Osoba na czci nieposzlakowana"

Dzięki udanym meczom w słabszych zespołach trafił do krakowskiej Wisły, jednego z czołowych polskich klubów. Roman Wilczyński, zawodnik Wisły, tak wspominał jego początki: „Profesor II Wyższej Szkoły Realnej w Krakowie Tadeusz Łopuszański w roku 1906, a było to na wiosnę po zajęciach szkolnych, zatrzymał nas w klasie proponując utworzenie klubu sportowego... Opowiadał jak to w innych państwach rozwija się sport, więc i my Polacy musimy włączyć się w ten nurt. Na te słowa radość taka zapanowała, żeśmy zaczęli klaskać i niejednemu łza pokazała się w oku. Godziliśmy się na wszystko, że klub będzie nazywał się Wisła, i znowu oklaski i okrzyki »Polacy i Wisła to Polska«". Statut Wisły stwierdzał, że jej zawodnik to „osoba na czci nieposzlakowana", której obowiązkiem było „zachowywać się zawsze i wszędzie zgodnie z wymogami człowieka honorowego, dobrego Polaka i rzetelnego sportowca".

Bramki w derbach

Łyko nie od razu został gwiazdą Wisły. „Początki nie były łatwe. W pierwszych trzech sezonach (1930–1932) Łyko rozgrywał zaledwie po 2–3 mecze. Przełomowy okazał się rok 1933, z 17 spotkaniami i pierwszą bramką. Od następnego sezonu Łyko grał już regularnie i w każdym sezonie zaliczał po kilka trafień" – piszą Magdalena Stokłosa i Aleksandra Wójcik, autorki książki „Sportowcy dla Niepodległej".

Ważny dla niego był mecz z poznańską Wartą oraz debiut międzynarodowy w tymże 1933 roku. „18 czerwca Wisła grała na własnym stadionie z Wartą Poznań. Nasz bohater strzelił gola na 1–0 w 15 minucie pokonując bramkarza gości Mariana Fontowicza. Drużyna z Reymonta wygrała całe spotkanie 2–1, drugie trafienie dla Białej Gwiazdy padło po strzale Artura Woźniaka. Kilka tygodni wcześniej Łyko wystąpił w pierwszym meczu Wisły przy sztucznym oświetleniu. Wiślacy 17 maja w Brukseli przegrali z nieoficjalną reprezentacją Belgii 0–3. Ten mecz oglądało z trybun Heysel 35 tysięcy kibiców" – czytamy na stronie Wisły.

Łyko zdobywał też bramki w zawsze najważniejszych dla kibiców Krakowie derbowych meczach Cracovia–Wisła. 11 czerwca 1934 roku strzelił gola w derbach wygranych przez Cracovię 2–1. „Dopiero w 29 min. nieobstawiony Łyko wyzyskuje sytuację i z kilku kroków wyrównuje. Niepewność wyniku zaostrza grę" – relacjonowało pismo „Raz, Dwa, Trzy: Ilustrowany Kurier Sportowy". Ogółem w 109 ligowych meczach zdobył 30 bramek.

Pierwszy raz „przy świetle elektrycznem"

O wspomnianym wyjeździe piłkarzy Wisły do Belgii, w którym brał udział Łyko, tak pisał „Ilustrowany Kurier Codzienny": „Po raz pierwszy w dziejach piłkarstwa polskiego, reprezentacja państwa zachodnio-europejskiego wybrała drużynę klubową polską za przeciwnika. Jeśli chodzi o Belgję, to zaszczyt ten jest tem większy, iż Wisła jest jednocześnie pierwszą drużyną amatorską na świecie, z którą Belgowie się zmierzą. Dotychczas przeciwnikami klubowymi reprezentacji Belgji były jedynie najlepsze zawodowe kluby angielskie, czeskie, austriackie czy węgierskie. Po raz pierwszy również w dziejach piłkarstwa polskiego będziemy grać przy świetle elektrycznem, bowiem mecz w Bruk-

eprasa.pl 05def14ee0

seli odbędzie się na największym stadionie kontynentu Heysel w godzinach wieczornych".

„Ikac" relacjonował też, jak przyjazd Wisły odbiera prasa belgijska: „Pięćdziesiąt sześć belgijskich pism codziennych, wychodzących tu w języku francuskim i flamandzkim z największemi dziennikami »Le sodr« i »La derniere heure«, mającemi po ćwierć miljona nakładu, na czele, pisze o meczu Wisły z reprezentacją nieoficjalną Belgji oraz z Antwerpem. Największe pismo codzienne sportowe »Les sports« pt.: »Wspaniała drużyna polska przybywa na tournee do Belgji«, podaje co następuje [...]: »Doskonała drużyna polska »Wisła« z Krakowa odbędzie tournee po Belgji [...] Spieszymy zaznaczyć, iż drużyna polska jest bardzo silna. Zdobyła ona kilkakrotnie mistrzostwo Polski, oraz liczy w swych szeregach graczy, którzy zahartowani zostali w spotkaniach międzypaństwowych. Wisła, mówiąc obrazowo, jest »zbiornikiem«, z którego kapitan związkowy czerpał zawsze elementy do reprezentacji".

▶ Król Belgii i Wisła Kraków

W kolejnym numerze „Ikac" pisał o tym, jak ten podbój Europy odbierany jest przez polskich emigrantów: „P. Z. P. N. we Francji zawiadamia już, że w celu uniknięcia tłoku emigracja proszoną jest o zajmowanie miejsc już od godziny 2 po południu, mimo, iż początek meczu jest wyznaczony na 4-tą godzinę. W międzyczasie odbędą się zawody lekko-atletyczne. Jak prasa emigracyjna donosi, wycieczki do Billy Montigny na mecz z Wisłą organizują nie tylko kluby sportowe, lecz wszelkiego rodzaju stowarzyszenia, jak związki... śpiewacze. Zainteresowanie przekroczyło więc ramy zwykłych zawodów sportowych. P. Z. P. N. oczekuje przybycia 8.000 emigrantów".

Pomimo że mecze kończyły się porażkami, „Ikac" tak wyjaśniał, dlaczego wyjazd był sukcesem: „Wyjazd Wisły obudził żywo uczucie narodowe w masach polskich na emigracji, która z gry Wisły wyniosła jak najlepsze wrażenie [...] trudno nie doceniać tych korzyści, jakie w sumie ta wyprawa przyniosła i może przyćmić blade niekiedy rezultaty na boisku. Obecność licznych wpływowych osobistości Belgji i Francji na meczach polskiej drużyny, a nawet samego króla Belgji – to argumenty, które mówią same za siebie i każą pod innym także kątem oceniać mecze Wisły na Zachodzie, niż to czyni mało uświadomiona opinja. Propagandą polskości na Zachodzie wyjazd Wisły był w każdym razie".

▶ Chelsea na kolanach, laski i kapelusze fruwają w powietrzu

Największą sławę dała Antoniemu Łyko świetna gra i zwycięska bramka strzelona w meczu Wisła Kraków–Chelsea Londyn w 1936 roku. Angielskie drużyny były wówczas najlepsze na świecie, ale regularne rozgrywki klubowe jeszcze nie istniały. Drużyna Chelsea Londyn przyjechała do Krakowa z okazji jubileuszu 30-lecia Wisły i spodziewano się pogromu, tymczasem doszło do ogromnej sensacji. Zainteresowanie meczem było ogromne, na stadionie zjawiło się 15 tys. osób, a kibice siedzieli także na okolicznych drzewach, zdjęcia tej sytuacji zachowały się do dziś.

„Przegląd Sportowy" z 24 maja 1936 roku tak relacjonował przebieg wydarzeń: „Pod bramką Wisły zakotłowało się kilkakrotnie. Madejski wyjaśnił jednak sytuację. Wspaniały bieg Łyki zelektryzował znowu widownię, ale skończył się poślizgnięciem na polu karnym. Anglicy przestawiają swój atak, gdyż Wisła ujmuje inicjatywę i jest coraz częściej przy głosie. Habowski strzela ostro w róg, bramkarz angielski jest jednak na miejscu. Publiczność dopinguje gospodarzy, atakujących żywo. Prawy obrońca angielski rozbija sobie kolano i schodzi z boiska, by wrócić dopiero po przerwie. Anglicy podnieceni faulują coraz bardziej. Tracą dwa kornery i bronią się coraz goręcej przed atakami Wisły. Zbliża się 45 minuta i nadchodzi sensacja. Strzał Artura ląduje na ręce obrońcy angielskiego. Rzut karny. Wśród olbrzymiego napięcia Łyko strzela nieuchronnie. Zrywa się niebywała burza oklasków. Laski i kapelusze fruwają w powietrzu".

▶ Rydz-Śmigły oklaskuje

Dziennik „ABC" (nr 152/36) pisał o tym samym wydarzeniu: „Wisła coraz częściej przedziera się przez tyły Anglików, zwłaszcza lewą stroną, gdzie Łyko wprowadza zamieszanie i raz po raz groźnie centruje... 44-ta minuta przynosi rozstrzygnięcie. Sędzia dyktuje rzut karny za rękę obrońcy... Egzekutorem jest Łyko, który zdobywa zwycięski punkt dla Wisły wśród niebywałego entuzjazmu widzów. Wśród Anglików powstaje konsternacja. Publiczność żywo okazuje swoje zadowolenie i nie ucisza się w czasie przerwy". Wśród owej publiczności Antoniego Łykę oklaskuje z trybun generalny inspektor Sił Zbrojnych, Edward Rydz-Śmigły.

Zwycięstwo celebrowano przez wiele dni, w kolejnym numerze z 25 kwietnia „Przegląd Sportowy" zachwycał się: „Nawet najbardziej zagorzali antagoniści »czerwonych« byli dziś przy nich duszą. Tu nie szło już o wynik klubowy. Oklaski zbierał doskonały Madejski w bramce, zasłużył sobie w pełni na pochwałę Sitko, obrońca wielkiego formatu, jakiego Wisła nie miała już od paru lat. Ci dwaj, wespół z Łyką na lewym skrzydle stanowili rdzeń Wisły, walczącej skutecznie z renomowanym przeciwnikiem. Kotlarczykowie poświęcili się w zupełności akcjom defensywnym. Odbiło się to brakiem piłek w napadzie, ale zastopowało zupełnie atak

eprasa.pl 05def14ee0

angielski. Publiczność jest tak pod wrażeniem renomy gości, że pierwszy przebój Łyki i jego centra wywołują burzę oklasków".

Wzór dla dzieciaków i spodnie z bufiastymi nogawkami

Ten sukces zachęcił do treningów wielu młodych chłopaków. Bohdan Piętka, historyk z Centrum Badań Państwowego Muzeum Auschwitz-Birkenau, cytuje wypowiedź Leszka Snopkowskiego, wieloletniego piłkarza Wisły, który w 2013 roku wspominał: „Radość była ogromna. Miałem wtedy osiem lat, ale do dziś pamiętam, jak Antoni Łyko strzela bramkę z rzutu karnego. Wtedy marzyłem, aby kiedyś też zagrać na tym stadionie".

Zwycięstwa podnosiło też rangę piłkarzy Wisły w świecie... mody. Jak czytamy na blogu o historii klubu, „u Wiślaków w sezonie wiosenno-letnim 1933 królowały nienagannie skrojone marynarki. Dominowały wzory jednorzędowe, choć Marian Kiliński udowadniał, że garnitur dwurzędowy też znakomicie się prezentuje. Kolory ciemne – na jasne garnitury pozwolili sobie tylko młodsi zawodnicy: Artur Woźniak i Stefan Lubowiecki – i raczej gładkie (prążkowany garnitur nosi jedynie Karol Bajorek). Do marynarki dopasowane stylem i kolorem spodnie, w swobodniejszej zaś wersji dopuszczalne były pumpy, czyli spodnie z bufiastymi nogawkami kończącymi się za kolanem. Takie spodnie wybrali Antoni Łyko, Ferdynand Pachner, Jan Kotlarczyk i Mieczysław Jezierski dodając swojej nienagannej elegancji odrobinę luzu". Dodajmy, że oprócz futbolu Łyko uprawiał modne wówczas narciarstwo.

W 1936 roku odbył się kolejny międzynarodowy mecz Kraków–Belgrad. „Ikac" informował: „Nastąpiło potem doskonale i dowcipne przemówienie przedstawiciela Cracovii dra Zygmunta Nowakowskiego, poczem przemawiali delegaci Tow. Sport »Wisła« dyr. dr T. Orzelski. Górnośląskiego i Łódzkiego Związku Piłki Nożnej, delegat Garbarni p. Kuczalski, przedstawiciel Krakowskiego Związku Lekkoatletycznego prof. Lubaczewski i in. – Na zakończenie chór »IKC« odśpiewał okolicznościowe pieśni. Popołudniu odbył się na boisku Wisły mecz Kraków–Belgrad 2:2 (1:1), który zgromadził około 4.000 widzów:. Skład Krakowa: Madejski. Sitko, Szumilas, Kotlarczyk II, Kotlarczyk I, Lesiak, Habowski, Pamuła. Woźniak, Pazurek i Łyko".

Kontuzja i wojna

Dzięki tym sukcesom Łyko powołany został do reprezentacji Polski, gdzie wystąpił w dwóch meczach z Łotwą – w 1937 i 1938 roku. W jego debiucie Polska pokonała w Katowicach Łotyszy 2:1, a „Przegląd Sportowy" tak chwalił jego grę: „Gdyby dzisiaj obaj skrzydłowi byli odpowiednio wykorzystani, wynik opiewałby z pewnością inaczej. Łyko prawie że nie miał piłek. Gdy dostał jednak piłkę szczególnie po pauzie zawsze potrafił wywalczyć sobie pole do rzutu dośrodkowego, a rzuty te stały na wysokości siejąc zamęt pod bramką przeciwnika. Dopisał więc Łyko".

W kolejnym meczu na Łotwie reprezentacja kompromitująco przegrała 1:2, jednak „Przegląd Sportowy" i tak chwalił krakowskiego pomocnika: „Był on bezsprzecznie bardziej agresywny i przed przerwą miał szereg doskonałych pociągnięć. Płaskie jego centry są znacznie dokładniejsze od górnych, szkoda, że nie dochodził do strzału".

Łyko został powołany do kadry na Mistrzostwa Świata w piłce nożnej w 1938 roku we Francji, jednak ostatecznie selekcjoner Józef Kałuża nie zabrał go wśród zaledwie piętnastki zawodników, którzy pojechali nad Sekwanę.

Potem Łyko zagrał świetnie i strzelił dwie bramki w meczu Wisła–ŁKS, wygranym przez krakowian 7–3. Ale później przyplątała się groźna kontuzja. Piłkarz doznał kontuzji barku, konieczna była operacja, przez którą stracił cały sezon. A kolejne rozgrywki przerwane zostały przez to, że przypałętała się II wojna światowa...

Zakładnik w Auschwitz

Antoni Łyko w zniewolonej Polsce wstąpił do podziemnego Związku Walki Zbrojnej. Jak piszą Magdalena Stokłosa i Aleksandra Wójcik, w okupowanym przez Niemców Krakowie nieformalnie działało sporo drużyn, które rozgrywały swoje zawody: „Antoni Łyko razem z bratem Andrzejem należeli do Klubu Sportowego Wodociągi, stanowiącego swego rodzaju filię Wisły Kraków. Andrzej Łyko pracował w Krakowskich Wodociągach Miejskich, Antoni prawdopodobnie również".

Na stronie poświęconej historii Wisły status Klubu Sportowego Wodociągi opisany jest następująco: „Klub powstał z zawodników Wisły Kraków. Inicjatorami powstania tego klubu byli więc wiślacy, swą nazwę wzięli od »Krakowskich Wodociągów Miejskich«, w których pracowali. Mowa tutaj o takich zawodnikach jak: Jan Kotlarczyk, Eugeniusz Oleksik i Andrzej Łyko. W drużynie tego klubu mógł grać każdy zawodnik niewystępujący w pierwszej drużynie. Dlatego grali w niej: Wiktor Cholewa, Jan i Józef Kotlarczykowie, Tadeusz Kozłowski I, Andrzej i Antoni Łykowie oraz Kazimierz Sołtysik. Można więc uznać, że Wodociągi były wiślacką filią".

To przy wodociągach działała komórka ZWZ. Jak relacjonuje Bohdan Piętka, wiosną 1941 roku doszło do fali aresztowań członków krakowskiego ZWZ – zatrzymano m.in. pracowników ubezpieczalni, gazowni, elektrowni i właśnie wodociągów. Antoni Łyko trafił do więzienia

eprasa.pl 05def14ee0

na Montelupich, skąd 5 kwietnia przewieziony został do KL Auschwitz. W transporcie, w którym się znalazł, było 933 polskich więźniów politycznych. 536 zabrano z więzienia w Tarnowie, a kolejnych 397 właśnie z krakowskiego więzienia na Montelupich.

Łyko został zarejestrowany pod numerem 11780. Zatrudniony był w komandzie ślusarzy. Jak pisze Piętka, nie wiedział, że Niemcy osadzili go w Auschwitz w charakterze zakładnika. Mógł zostać rozstrzelany w każdej chwili, w ramach odwetu Niemców za działalność podziemną Polaków.

Ostatnie dwa gole strzelone Niemcom

W Auschwitz rozegrał ostatni mecz piłkarski w życiu. Były tam bowiem organizowane – dla rozrywki esesmanów – niedzielne zawody piłki nożnej. Jak relacjonował Czesław Sowul, więzień Auschwitz, często Polacy bali się zbyt celnie strzelać do bramki przeciwników, bo po meczu można było oberwać po pysku od kapów, którzy wcześniej przecież sami poszukiwali piłkarzy i zmuszali ich do grania.

Sowul pisał, że namawiał Łykę, by zagrał przeciwko Niemcom na serio: „Przed kolejnym meczem prosiłem go, aby strzelił Niemcom ze dwa gole. Obiecałem mu nawet papierosy, o które w tym czasie było bardzo trudno. Łyko spełnił obietnicę".

Reprezentant Polski nie wiedział, że następnego dnia czeka go egzekucja. „3 lipca 1941 roku 80 więźniów przywiezionych w transportach z Krakowa z 5 kwietnia, 8 maja, 9 czerwca i 26 czerwca 1941 roku – członków komórek ZWZ w Ubezpieczalni Społecznej, gazowni, elektrowni i wodociągach miejskich – rozstrzelano w tzw. żwirowni koło Theatergebäude" – pisze Bohdan Piętka. W tej samej egzekucji zginął piłkarz Cracovii Witold Zieliński (nr 15429), z zawodu grafik. Razem z nim został rozstrzelany jego młodszy brat Mieczysław (nr 15437), drukarz, którego aresztowano za wydawanie na terenie Krakowa tajnych gazetek. Wśród rozstrzelanych byli też przedstawiciele inteligencji – oficerowie, inżynierowie, lekarze, urzędnicy, a także studenci.

Niemcy z żonami i harmonijkami

Sowul, którzy przeżył Auschwitz, wspominał śmierć piłkarza Wisły: „Niestety następnego dnia w poniedziałek, na apelu porannym wyczytano jego numer obozowy. On i drugi jeszcze więzień z Krakowa jako zakładnicy z Krakowskich Zakładów Wodociągowych i Kanalizacyjnych zostali dołączeni do grupy skazanej na rozstrzelanie. Zostali doprowadzeni do bloku 13 (11), a wieczorem podczas apelu pomaszerowali boso i ubrani tylko w spodnie (bez koszul) do Kiesgrube mieszczącej się obok Theatergebäude. Ja przyłączyłem się do sanitariuszy, którzy z rolwagą udali się w tym samym kierunku. W Kiesgrube skazańców ustawiono po osiemnastu. Łyko stał w pierwszej osiemnastce po lewej stronie. Nigdy nie zapomnę tego zwłaszcza momentu, gdy po oddaniu salwy przez pluton egzekucyjny któryś z oficerów SS z bliskiej odległości strzelił do dwukrotnie podnoszącego się jeszcze Łyki w głowę. Rozstrzelano wówczas 72 więźniów. Pamiętam to dokładnie".

Nastroje Niemców w czasie egzekucji więzień Kazimierz Hałgas zapamiętał tak: „Obserwowałem to wszystko z okna bloku nr 28... Około dwóch kompanii SS obsiadło żwirownię z harmoniami i harmonijkami... grając i śpiewając. Skazańcy stali w dwuszeregu od strony i byli sprowadzani po kilku na dół wśród szpaleru esesmanów. Po drodze pluto na nich, popychano i bito".

Z kolei więzień Bronisław Cynkar, który przed egzekucją rozmawiał z Antonim Łyko, zrelacjonował jego słowa, że wydany wyrok śmierci związany był z wykryciem na terenie ubezpieczalni siatki konspiracyjnej. Jak zaświadczył, skazańców „przebrano w najgorsze pasiaki i doprowadzono – jak wydaje mu się – na miejsce straceń, tj. Kiesgrube (żwirownia), za blok nr 13. Ręce mieli skrępowane drutem kolczastym i zdawali sobie sprawę, że idą na śmierć".

Esesmanem, który dobił piłkarza Wisły, był Karl Fritzsch lub jego podwładny Friedrich Seidler. Fritzsch zwykł mawiać w takich sytuacjach: „Świńskie psy, Polacy, nie jesteście warci tego strzału". Sowul zapamiętał, że po egzekucji Fritzsch biegał po żwirowni pijany i z pistoletem w ręku. To on wysłał na śmierć Maksymiliana Marię Kolbego.

Zamiast grobu mała tabliczka na nagrobku brata

Zamordowanych było tak wielu, że trudno było przetransportować ciała przygotowanym do tego wózkiem. „Kiedy załadowaliśmy rolwagę, nie można jej było ruszyć z miejsca, tak była przeładowana. Na ten widok doskoczył w naszym kierunku lagerführer Fritzsch, trzymając w ręce pistolet. Był pijany. Kiedy wśród ciągnących więźniów dostrzegł i mnie – znał mnie przecież jako członka obozowej orkiestry, a nawet chyba podobały mu się moje popisy solowe – zapytał się, co tutaj robię. Odpowiedziałem, że pracuję („Ich arbeite"). Zawołał piętnastu esesmanów i kazał im także pchać rolwagę, która wreszcie ruszyła i potoczyła się do krematorium" – relacjonował Sowul.

Antoni Łyko nie ma do dzisiaj grobu. Przypomina o nim jedynie tabliczka umieszczona na nagrobku jego brata Andrzeja na cmentarzu Rakowickim w Krakowie. Kibice Wisły Kraków zapalają koło niej znicze we Wszystkich Świętych. ■

eprasa.pl 05def14ee0



Dariusz Jarosiński



JAKO DRZEWO I GAŁĄŹ

Barbara Toporska Mackiewiczowa i Józef Mackiewicz przeżyli ze sobą pięćdziesiąt lat. Oprócz miłości łączyło ich podobne spojrzenie na otaczającą rzeczywistość. Józef był szczęśliwcem, że mógł ze swoją żoną toczyć partnerskie dyskusje o polityce, historii, literaturze. Na emigracji żyli w skrajnym ubóstwie, omijały ich zaszczyty, wyróżnienia, nagrody literackie, płacili wysoką cenę za suwerenność intelektualną, polityczną Józefa.



eprasa.pl 05def14ee0





fot. Arch.

Barbara, choć ostatnie 25 lat życia zmagała się z chorobą nowotworową, robiła wszystko, by zapewnić Józefowi jak najlepsze warunki do pisania. Zarabiała na życie, imając się różnych zajęć dziennikarskich, podnosząc oczka w pończochach. Barbara nauczyła się dla Józefa grać w szachy, a jak wiadomo, autor „Drogi donikąd" bardzo lubił tę królewską grę. Zachowało się zdjęcie obojga, jak na ławeczce rozgrywają partię szachów.

To smutne, że Barbara Toporska, choć była znakomitą pisarką, poetką, publicystką, wciąż jest nieobecna w świadomości polskich czytelników. Nie poświęcono jej choćby jednej większej publikacji – jedynie nieliczne media przypomniały sobie o niej na przykład w 20. rocznicę śmierci w 2005 roku, czy w 100. rocznicę urodzin w roku 2013. Józef Mackiewicz był i jest zwalczany za swoje poglądy polityczne. Tomasz Mianowicz, dziennikarz zaprzyjaźniony z Mackiewiczami w ostatnich latach ich życia, nie ma wątpliwości, że „gdyby Barbara Toporska nie była żoną Józefa Mackiewicza, poświęcono by jej wiele naukowych rozpraw, a w każdej pracy dotyczącej literatury emigracyjnej zajmowałaby miejsce poczesne" („Barbara Toporska – szkic do portretu").

Bez sztampy

Barbara Toporska wydała pięć powieści. Szczególnie „Siostry", opublikowane w 1966 roku, będące kapitalnym studium psychologicznym dwóch przyrodnich sióstr, zasługują na uwagę i uznanie. Powieść została nagrodzona w 1967 roku przez jury londyńskich „Wiadomości" jako najlepsza książka roku. Toporska, w przeciwieństwie choćby do Józefa Mackiewicza, który hołdował tradycyjnej prozie, podejmowała śmiałe eksperymenty z formą, kompozycją powieści. „Siostry" składają się z dziesięciu, wydawać by się mogło odrębnych opowiadań; nie jest tu zachowana ciągłość, a siostry, bohaterki powieści, jedynie w pierwszym i ostatnim opowiadaniu pojawiają się jako główne, pierwszoplanowe postaci. Każde z dziesięciu opowiadań ma własną dynamikę, kończy się osobną puentą. Tytułowe siostry – Anisia i Pola – nie potrafią ułożyć sobie życia na obczyźnie, tęsknią za utraconym rajem dzieciństwa. Obie przedwcześnie umierają – Pola na chorobę nowotworową, Anisia ginie w katastrofie samolotowej.

W jej prozie, poezji jest dużo nostalgii, tęsknoty za Wilnem, Polską, ale pisząc teksty publicystyczne sięgała po ostre pióro. Toporska ceniła poezję najwyżej w hierarchii gatunków literackich. Pozostawiła po sobie zbiór wierszy „Athena noctua" (1973) i wiele rozproszonych, niepublikowanych wierszy. Jest współautorką z Józefem Mackiewiczem zbioru artykułów, ese-

eprasa.pl 0def14ee0

jów pt. „Droga Pani" (1984). Kilka lat przed śmiercią pisarki zostały wydane przez Polską Fundację Kulturalną dwie powieści – „Spójrz wstecz, Ajonie" (1981) i „Na mlecznej drodze" (1982). Obie cieszyły się dużą popularnością wśród emigracyjnych czytelników, obie zyskały też pozytywne recenzje krytyków literatury. W 2012 roku ukazał się w Polsce liczący prawie 800 stron wybór rozproszonych tekstów publicystycznych, esejów z lat 1933–1985. Można odnieść wrażenie, że w wielu tekstach Barbara uzupełniała wypowiedzi, myśli męża.

Cóż z tego, że w ostatnich dwudziestu latach książki Toporskiej ukazały się na polskim rynku wydawniczym, kiedy nie mają one właściwej promocji.

„Moja żona, która jest znaną pisarką – występując pod panieńskim nazwiskiem Barbara Toporska" – mówił Mackiewicz w rozmowie z Bronisławem Mamoniem w 1981 roku – „jest pierwszą lektorką moich książek. Udziela mi czasem cennych wskazówek, poprawek, w niektórych wypadkach nawet sama mi dopisuje ustępy. Czasami wymyśla tytuły".

Autor „Drogi donikąd" umarł po wylewie do mózgu 31 stycznia 1985 roku; kilka miesięcy później, 20 czerwca, odeszła jego żona. Barbara Toporska od początku lat 60. zmagała się z chorobą nowotworową, prosiła Boga o to, żeby nie umrzeć jako pierwsza, by nie zostawić Józefa samego na świecie. Przeszła cztery skomplikowane operacje. Po śmierci Józefa choroba zaatakowała. Barbara zdążyła jeszcze uporządkować jego archiwum i podążyła za nim. Prochy obojga spoczywają na cmentarzu koło kościoła Andrzeja Boboli w Londynie.

W wierszu „Wakaras", co znaczy po litewsku „wieczór", pisała już po śmierci Józefa: „Byliśmy jako drzewo i gałąź, / jak muzyka i skrzypce, / jak jednej wagi dwie szale, / dwa skrzydła i dwie ręce, a przecież pojechałeś sam, / dalej".

Na początku było „Słowo"

Po wojnie polsko-bolszewickiej Józef Mackiewicz rozpoczął studia przyrodnicze na Uniwersytecie Warszawskim. W 1922 roku przeniósł się do Wilna, gdzie kontynuował naukę. Studiów jednak nie ukończył. W 1923 roku podjął pracę w redakcji wileńskiego „Słowa", konserwatywnym dzienniku redagowanym przez brata Stanisława. Józef został sekretarzem redakcji, a także pisał reportaże z tzw. terenu, z prowincji. Bohaterami byli przede wszystkim prości ludzie, „tutejsi". Ujmował się za krzywdzonymi rybakami znad jeziora Narocz, stawał w obronie słabych, tępił głupotę urzędników.

„Przez rok pracowałem w »Słowie« w Wilnie" – wspominał wkrótce po śmierci Józefa Mackiewicza Karol Zbyszewski. „Wesoło było w redakcji. Wszyscy młodzi. Kawały, głupstwa, zabawy. Józef był motorem. Naczelny, czyli Stanisław Cat–Mackiewicz, zapraszał czasem nas wszystkich, cały zespół redakcji, do George'a na obiad. Kołduny, zrazy, deser. Stalował wino. I zaraz po deserze wybiegał. Wtedy Józio obejmował komendę. Zamawiał góry blinów, jeziora wódki. Naturalnie w dołączeniu do rachunku na koszt »Słowa«". („Tydzień Polski", Londyn, 2 marca 1985).

Zimą 1924 roku w tajemnicy przed rodziną Józef ożenił się z nauczycielką z Wilna, Antoniną Kopańską. On miał wówczas 22 lata, ona była starsza od niego o dwa lata. Z tego związku urodziła się córka Halina. Małżeństwo długo nie przetrwało, rozpadło się po kilku latach. Około roku 1930 Józef związał się na krótko z Wandą Żyłowską, podobno wyjątkowej urody, linotypistką, korektorką, zatrudnioną w redakcji „Słowa". Owocem tego związku była córka Idalia Żyłowska. Należy dodać, że Józef Mackiewicz utrzymywał przez całe życie kontakt z obiema córkami.

Widocznie było pisane Józefowi, że musiały rozpaść się jego dwa związki z kobietami, aby ten nierozerwalny związek, na całe życie, mógł dopiero nadejść. Józef poznał Barbarę Toporską najprawdopodobniej w 1934 roku, kiedy rozpoczęła pracę w redakcji wileńskiego „Słowa". Zdzisław S. Siemaszko tak wspominał początek ich znajomości: „Barbarę Toporską, przystojną i błyskotliwą warszawiankę, i Józefa Mackiewicza poznajomił Piotr Kownacki, przedstawiając go: »Józef Ponury, Wielki Książę Litewski«. Taki był początek tej wielkiej i trwałej miłości. Barbara wcześnie oceniła literacki talent męża i dbała przede wszystkim o to, żeby miał znośne warunki do pisania".

Józef nie wylewał za kołnierz w owym czasie. Sam zresztą pisał o tym: „Piło się za dużo u nas. Za dużo się piło wódki w okrojonej stolicy dawnego Wielkiego Księstwa Litewskiego od zachodu i wschodu". Wspomniany już Karol Zbyszewski, dziennikarz, pisarz, autor książki „Niemcewicz od przodu i tyłu", znał dobrze Józefa: „Młodość wojenna, monotonia kąta Wileńszczyzny, zwichnęły Józia. Pił bez opamiętania, lenił się, brodiażył [włóczył się, żył hulaszczo, z języka rosyjskiego – przyp. DJ]. Był po drodze do zmarnowania. Na szczęście zjawiła się z poznańskiego Barbara Toporska. Została jego drugą z kolei żoną i przerobiła go, uratowała. Kupili (za jej pieniądze) dom w Czarnym Borze. Józio się ustatkował, zaczął jeździć, latać po całej Polsce, pisać reportaże. Dobre, coraz lepsze, doskonałe".

Barbara Toporska urodziła się w 1913 roku w Warszawie, czyli była młodsza od Józefa o jedenaście lat. W Warszawie mieszkała do siedemnastego roku życia, później, po rozwodzie rodziców, przeniosła się do Poznania, gdzie studiowała polonistykę na Uniwersytecie Poznańskim. Źle się jednak czuła w Poznaniu, obco; jako że część jej rodziny pochodziła z Kresów, wyjechała do Wilna. Jak pisze

eprasa.pl 05def14ee0

Włodzimierz Bolecki, biograf Józefa Mackiewicza, cioteczną siostrą babki Barbary była Gabriela Zapolska, a pradziadek i matka Zapolskiej byli rodzeństwem.

Stanisław Cat-Mackiewicz dostrzegł duży talent dziennikarski Barbary i powierzył jej w 1937 roku redagowanie dodatku literackiego do „Słowa". Mimo młodego wieku pisała też dojrzałe, świadczące o dużej erudycji komentarze polityczne, m.in. pokazywała bestialstwo ludzi owładniętych ideologią komunistyczną w wojnie domowej w Hiszpanii.

„Słowo" należało do najbardziej opiniotwórczych dzienników II Rzeczypospolitej. Z pismem współpracowali wybitni dziennikarze, publicyści, m.in. Ksawery Pruszyński, Marian Zdziechowski, Wacław i Karol Zbyszewscy, Władysław Studnicki, Wincenty Lutosławski, Zygmunt Jundziłł, Jerzy Wyszomirski. Barbara Toporska znalazła się w znakomitym towarzystwie. Trzeba wiedzieć, że „Słowo" niemiłosiernie nękała cenzura, było najczęściej konfiskowanym pismem w Polsce.

Józef aby ożenić się z Barbarą, przeszedł na prawosławie. Ślub z Antoniną Kopańską brał w kościele rzymskokatolickim. W zakupionym przez Barbarę domu z ogrodem w Czarnym Borze, miejscowości letniskowej oddalonej od Wilna o kilkanaście kilometrów, spędzili przed wybuchem wojny najpiękniejszy okres w swoim życiu. Tutaj powstała pierwsza książka Józefa „Bunt rojstów" (1938), a także w czasie okupacji pierwsza wersja „Drogi donikąd". Barbara okazała się świetną gospodynią, chociaż wychowana w Warszawie, z przyjemnością uprawiała ogród, hodowała „żywiołę". Dom był typowy dla budownictwa na północno-wschodnich Kresach, drewniany, z okiennicami, otwartą werandą porośniętą dzikim winem. „Okno z lewej od ganku należało do gabinetu Józefa. Stała tam skórzana kanapa, biurko i półki z książkami. Boczne okna w lewej ścianie – to do buduaru Barbary (tak się nazywał) i sypialni. W buduarze stała kozetka, były też miękkie stołeczki i toaletka z pachnidłami. Barbara jednak prawie nigdy tam nie przebywała. W sypialni stało duże łoże i komoda, do której w czasie wojny składano nieprasowaną bieliznę. [...] Ganek nie był oszklony, była to zwykła werandka, na której piło się mleko z keksem (gdy ktoś przyjeżdżał z Wilna) lub z czarnym chlebem kupionym gdzieś za domami, w chatach. [...] Przed gankiem był kwiatowy ogródek dość starannie uprawiony. [...] Stał tu ładny drewniany płocik z małą furteczką, przez którą wychodziło się od razu do lasu gęsto usypanego szyszkami, porośniętego szorstkim wrzosem, który ukrywał, czasem nawet tuż za płotem, żółciutkie kurki. (...) Z pra[...]strony rósł nieduży, ale bogaty sad, pachnący, brzęczący i zawsze zakazany".

▶ Z Czarnego Boru do Monachium

18 września 1939 roku ukazał się ostatni numer „Słowa", a następnego dnia Mackiewiczowie wraz z falą uchodźców uciekli na Litwę. W ten sposób uniknęli aresztowania przez bolszewików. Stanisław Cat-Mackiewicz przedostał się w drugiej połowie października drogą morską z Litwy do Francji. Po przejęciu przez Litwinów od Sowietów Wileńszczyzny Józef i Barbara Mackiewiczowie powrócili do Wilna. 25 listopada 1939 roku, po uzyskaniu koncesji, Mackiewicz zaczął wydawanie „Gazety Codziennej". „Gazeta" była redagowana w duchu tzw. idei krajowej, idei integracji społeczności byłego Wielkiego Księstwa Litewskiego. Publikowali w niej oprócz Józefa, Zdzisław Broncel, Barbara Toporska, Czesław Miłosz, Teodor Bujnicki, Kazimierz Hałaburda, Józef Bujnowski. Wszyscy oni uważali się za spadkobierców mitycznego Wielkiego Księstwa Litewskiego.

Litewska idylla nie trwała długo, w drugiej dekadzie czerwca 1940 roku Sowieci zajęli Łotwę, Estonię i Litwę z Wilnem włącznie. Mackiewiczowie zamieszkali już na stałe w Czarnym Borze, niegdyś domu letniskowym. Odsunęli się od życia publicznego. Początkowo Józef zarabiał jako drwal przy piłowaniu drzewa, później kupił konia i został izowszczykiem, jak mówiono na Wileńszczyźnie, wynajmował się jako furman, woźnica do przewożenia towarów. Zajmował się też przemytem. Wiele przeżyć z tamtego okresu znajdziemy w powieści „Droga donikąd".

W czerwcu 1941 roku niemieccy okupanci zastąpili sowieckich. Mieszkańcy Wileńszczyzny początkowo odetchnęli z ulgą, ale nie na długo. Józef Mackiewicz nadal nie rozstawał się z batem i koniem, zarabiał na życie jako prosty furman. W okresie od końca lipca do października 1941 roku opublikował w wydawanym przez Niemców w języku polskim „Gońcu Codziennym" cztery artykuły opisujące sytuację pod sowiecką okupacją, dwa z nich znalazły się później w „Drodze donikąd". W kwietniu 1943 roku wyjechał za zgodą władz Armii Krajowej do Katynia, aby zapoznać się z pracami ekshumacyjnymi zamordowanych przez bolszewików polskich oficerów. Te dwa wydarzenia – publikacja tekstów w „Gońcu Codziennym" i wyjazd do Katynia – zaciążyły na całym życiu Józefa i Barbary. Z różnych pobudek i przy różnych okazjach zarzucano Mackiewiczowi kolaborację z Niemcami. Wycierali sobie gębę wybitnym pisarzem i publicystą komuniści, oportuniści, różni szemrani „patrioci".

W maju 1944 roku Józef sprzedał resztę ruchomości, rzeczy z gospodarstwa domowego, których się wcześniej nie pozbył, i poprosił sąsiada o opiekę nad domem. Przeczuwali z Barbarą, że tym razem okupacja sowiecka potrwa dłużej. Czy mieli nadzieję, że kiedyś tu jeszcze powrócą? Zapewne jakaś mała iskierka nadziei na powrót tliła się na dnie ich dusz. Z kilkoma walizkami, jedynie z najbardziej potrzebnymi rzeczami, z kilkoma książkami, dwoje wygnań-

eprasa.pl 05def14ee0

ców wyruszyło w świat, nie czekając aż barbarzyńcy zastukają do ich drzwi. Profesor Władysław Studnicki pomógł im uzyskać odpowiednie dokumenty na przejazd do Warszawy.

W Warszawie wydali z Barbarą trzy numery broszury pt. „Alarm", w których ostrzegali przed nowym okupantem. Z Warszawy wyjechali w przeddzień wybuchu Powstania Warszawskiego i udali się do Krakowa. Stamtąd, w styczniu 1945 roku, w niezwykłych okolicznościach zdołali przez Pragę, Wiedeń dotrzeć, dzięki pomocy Tatarów, do Rzymu. W niedługim czasie zamieszkali w Londynie, który był kulturalnym i politycznym centrum polskiej emigracji. Józef współpracował z „Kulturą" Jerzego Giedroycia, „Wiadomościami" Mieczysława Grydzewskiego. Stale też pisywał do tygodnika „Lwów i Wilno", redagowanym przez brata. Warto wspomnieć, że co jakiś czas w tymże tygodniku pojawiało się ogłoszenie o treści „Podnoszenie oczek. Szybko i tanio. Barbara Toporska" i dalej następował adres pracowni reperacyjnej. Z groszowych honorariów pism emigracyjnych nie sposób było wyżyć. Pisywali oboje, Toporska specjalizowała się wówczas w recenzjach teatralnych.

W 1952 roku udało się Barbarze nawiązać stałą współpracę dziennikarską z rozgłośnią radiową „Głos Ameryki". Pieniądze zarabiała niewielkie, ale przynajmniej starczało na skromne przeżycie. W 1955 roku przeniesiono redakcję Barbary do Monachium. Józef miał otrzymać w tym mieście pracę w amerykańskim Instytucie Studiów nad Związkiem Sowieckim – tak wynika z informacji uzyskanych przez Tomasza Mianowicza. Zdecydowali się zatem osiedlić w stolicy Bawarii.

Już od początku pobytu w Niemczech spotkały ich niepowodzenia – Józef Mackiewicz, wbrew zapewnieniom, pracy nie otrzymał, najprawdopodobniej Amerykanie obawiali się jego poglądów antykomunistycznych, Barbarze też obniżano co rusz wynagrodzenie, w końcu współpraca się urwała.

Przez kilka pierwszych lat Mackiewiczowie mieszkali przy Nibelungenstrasse 16, później przeprowadzili się na Windeckstrasse 21, gdzie już do śmierci wynajmowali niewielkie mieszkanie w domu należącym do Adalberta i Marianne Mayerów. Z właścicielami domu Mackiewiczowie byli zaprzyjaźnieni, Marianne Mayer pomogła sfinansować pani Barbarze powieść „Spójrz wstecz, Ajonie". Autorka nie omieszkała dodać dedykacji: „Tym, co przyczynili się do wydania tej powieści, a zwłaszcza najhojniejszej w przyjaźni Mariannie Mayer z Monachium".

Polska inteligencja skupiała się w Monachium przede wszystkim wokół amerykańskiego Radia Wolna Europa. Wieloletni dyrektor RWE, Jan Nowak (właściwie Zdzisław Jeziorański), należał do głównych organizatorów bezpardonowych ataków na Józefa Mackiewicza, starał się uniemożliwić autorowi „Kontry" publikowanie w prasie emigracyjnej. Również kolejny dyrektor RWE, Zdzisław Najder, zwalczał Mackiewicza. Z kilkoma dziennikarzami amerykańskiej rozgłośni Mackiewiczowie utrzymywali bliskie, a nawet przyjacielskie kontakty, na przykład z Kazimierzem Zamorskim i jego żoną Urszulą, z Wiktorem i Wiwą Trościankami, z Wandą Stankowską, Zygmuntem Jabłońskim i jego żoną Hildegardą.

Gościnność i życzliwość

Jadwiga Maurer (1932–2012), profesor z Uniwersytetu Kalifornijskiego w Berkeley, która w latach 70. odwiedzała panią Barbarę i Józefa, wspominała, że Mackiewiczowie „utrzymywali stosunki z »białymi« Rosjanami, których wtedy w Monachium było jeszcze dużo. Barbara Szubska, Polka, ale księżniczka rosyjska po ojcu, zamieszkała na Florydzie, założyła w tym okresie Koło Przyjaciół Józefa Mackiewicza i częściowo przynajmniej utrzymywała Mackiewiczów ze składek. [...] Pan Józef chwalił się, że zaopiekowała się nim prawdziwa księżniczka, a jego żona chwaliła się przede mną, że – jak się wyraziła – »żyją z żebraniny«. Barbara Toporska-Mackiewiczowa opowiedziała mi całe swoje życie. Było to w restauracji na Leopoldstrasse [...]. Ojciec pani Barbary był ateistą i nie dał swoich córek ochrzcić. Z tego powodu spotykały go ciągle jakieś szykany. Wreszcie, zmęczony nieustanną walką, pozwolił Barbarę ochrzcić, kiedy miała sześć lat i miała pójść do szkoły. Podczas okupacji AK »poprawiła« metrykę urodzenia Barbary na datę bliską metryce chrztu i pani Barbara została już na zawsze odmłodzona o lat sześć. Chodziło oczywiście o to, że tak wielka luka między metrykami mogła śmiało nasunąć myśl, że Barbara była ochrzczoną Żydówką. Echa tej sytuacji są oddane po mistrzowsku w powieści Barbary Toporskiej »Siostry«. Niestety, Barbara Toporska jest obecnie pisarką niemal zupełnie nieznaną. Bo choć dużo się mówi o literaturze emigracyjnej, uwagę się skupia na kilku tylko nazwiskach. Pawlikowski [Michał K. Pawlikowski, dziennikarz wileńskiego „Słowa", pisarz emigracyjny, przyjaciel Józefa i Stanisława Mackiewiczów – przyp. DJ], który zresztą nie poznał osobiście pani Barbary, powiedział mi, że swego czasu w Wilnie, kiedy pracowała jako młoda dziennikarka, kochali się w niej obydwaj bracia Mackiewiczowie. I że animozja między braćmi od tego się zaczęła i dopiero dużo później przeobraziła się w konflikt ideologiczny" („Dzień z Józefem Mackiewiczem", „Archiwum Emigracji. Studia. Szkice. Dokumenty", UMK Toruń, 2003).

Zastanawiające jest, że żaden z badaczy literatury emigracyjnej nie zwrócił do tej pory uwagi na tekst prof. Maurer, iż Barbara Toporska urodziła się w 1907

eprasa.pl 05def14ee0

roku, a nie w 1913, jak podaje się we wszelkich jej biogramach czy poświęconych jej artykułach. Myślę, że najwyższy czas, by to dokładnie zbadać i ewentualnie zweryfikować.

Wszyscy odwiedzający Mackiewiczów zwracali uwagę na bardzo skromne ich mieszkanie. Jedno pomieszczenie służyło za kuchnię, jadalnię, a także łazienkę – za perkalową zasłonką znajdował się drewniany taboret z miednicą do mycia. Bronisław Mamoń (1929–2003), krytyk literacki, tak pisał o swojej wizycie, którą złożył Mackiewiczom w 1981 roku: „Znalazłem się we wnętrzu więcej niż skromnym, wręcz ubogim. Kilka tandetnych sprzętów, bardziej nadających się na śmietnik niż do wystroju mieszkania. Drugie pomieszczenie, obszerniejsze, pełniące rolę gabinetu pisarza, poza niewielką oszkloną biblioteczką, stołem i krzesłem pozbawione było jakichkolwiek mebli. [...] Z pobytu u Mackiewiczów zapamiętałem ich ogromną gościnność i życzliwość. Kolacja była wprost wystawna. Na stole ładnie nakrytym znalazło się kilka gatunków wyśmienitych wędlin, sałatki jarzynowe, szwajcarskie sery, dobre wino, owoce. Tak szczodrze, tak serdecznie nie byłem przyjmowany w najzasobniejszych domach. [...] Rozmawialiśmy o literaturze, malarstwie, sytuacji ogólnej w kraju, roli Kościoła w poszerzaniu przestrzeni wolności w społeczeństwie zniewolonym przez komunizm.

Ton rozmowie nadawała gospodyni domu, osoba wielkiej inteligencji, wiedzy, wrażliwości. Niezwykle uzdolniona literacko, artystycznie. Uprawiała literaturę, grała na skrzypcach, malowała. Na ścianach mieszkania – zauważyłem zaraz po wejściu – wisiało kilka pięknych akwareli niewielkiego formatu. Były to pejzaże radosne, pogodne, uderzające czystością kolorów i sprawnością rzemiosła. Był także autoportret pani Barbary w stylistyce postimpresjonistycznej. Sprawiłem dużą przyjemność gospodyni, kiedy zwróciłem uwagę na piękno tych akwarel, nie wiedząc jeszcze, kto jest ich autorem. Pani Barbara była dla męża muzą, pierwszą czytelniczką i korektorką jego książek, troskliwą, pełną poświęcenia opiekunką. Wywyższała go jako pisarza ponad siebie, mając bezgranicznie zaufanie do jego intuicji politycznych, do instynktu publicystycznego" („Tygodnik Powszechny", nr 13, 31 marca 2002).

▶ Nie mogła zostawić Józefa samego

Niezwykle interesującym i cennym materiałem źródłowym do poznania małżeństwa dwojga wybitnych pisarzy, publicystów, są listy Barbary Toporskiej. W każdym z nich wspomina o Józefie, zawsze wypowiada się o nim z jak największą troską. Korespondencję prowadziła niemal do ostatnich dni swego życia. Jest to wzruszające świadectwo miłości Barbary i Józefa Mackiewiczów.

W liście z 29 listopada 1983 roku pisała do Wiwy Trościankowej: „Wszyscy umierają, tylko ja jakimś cudem (moja lekarka twierdzi, że siłą woli) jakoś się trzymam. Pewno ma rację, bo chodzi mi o Józefa. Ten jest już bardzo kiepski, a na domiar nieszczęścia traci wzrok. Nie może już ani czytać, ani pisać. Więc ja w tym roku zrezygnowałam z wyjazdu do mego sanatorium, chociaż mnie tam dwukrotnie wzywali, bo nie mogę go samego w tym stanie zostawić. I tak się martwię, że mam za mało czasu, żeby mu głośno czytać".

Parę tygodni później, 5 stycznia 1984 roku, Barbara Toporska w liście do tej samej koleżanki pisała: „A u nas: choroby. Józef niedługo skończy 82 lata i jest odpowiednio fizycznie i psychicznie roztrzęsionym. Ja niedługo kończę 21 lat po mojej pierwszej operacji raka (w sumie cztery!) i jestem odpowiednio osłabiona, obolała i wymęczona. W dodatku pracy mi nie ubywa, ale przybywa. O sprzątaczce, choćby raz na miesiąc, nie ma mowy, bo Józef raz wstaje o 10-tej, to znów śpi do 3-ej po południu, a lekarka mówi, jak śpi, to dać mu spać [...] Bo ponieważ on traci wzrok, czyha na każdą wolną chwilę, w której mogłabym mu coś przeczytać. Więc?... Moja lekarka twierdzi, że ja żyję siłą woli, i pewno ma rację. Ale na pewno nie jest dobrze, że zrezygnowałam z corocznej kuracji i badań w moim rakowym Bad Trissl. Nie mogłam jednak w tym stanie Józefa samego zostawić".

W grudniu 1984 roku przyszło to najgorsze. W liście do Barbary Truchan, dziennikarki mieszkającej w USA, pisała 19 grudnia 1984 roku: „13 b.m. rano Józef porażony został udarem mózgu. Piszę przy jego szpitalnym łóżku. Lekarze mówią, że koniec może nastąpić lada dzień, ale to może trwać i tygodnie, i miesiące. Nie wróżą odzyskania mowy. Cierpi bardzo. A ja boję się dla niego, że zemrę pierwsza. Bo co wtedy?".

Pan Bóg wysłuchał próśb pani Barbary. Józef Mackiewicz umarł 31 stycznia 1985 roku; kilka miesięcy później, 20 czerwca, odeszła za nim Barbara.

Kazimierz Zamorski, długoletni przyjaciel Mackiewiczów, dziennikarz RWE, po śmierci pani Barbary wspominał: „Wiedzieliśmy, że od lat cierpiała na bezlitosną chorobę. Mimo to, poza mężem nie widziała świata, wyrzekła się wielu rzeczy, własnej wygody, sławy. Mogła bardziej niż to miało miejsce, poświęcić się literackiej i artystycznej działalności. Przecież była nie tylko utalentowaną pisarką, ale i malarką. Nie, ona pracowała na utrzymanie: sekretarzowała we Włoszech, łapała oczka w Londynie, pisała do radia w Monachium, a gdy te możliwości się wyczerpały, zabiegała w urzędzie opieki społecznej o zapewnienie sobie i mężowi minimum egzystencji. Poświęciła się w całości po to, by jej ukochany mąż mógł pisać. Zbyteczne chyba podkreślać, że w tym była też Jej zasługa dla literatury" („Gwiazda Polarna", nr 30, 27 lipca 1985). ■

eprasa.pl 05def14ee0



Agnieszka Kowalczyk

POLKI, KTÓRE WYGRAŁY WOJNĘ Z HITLEREM

eprasa.pl 05def14ee0

W gronie przeszło 7 tysięcy Polaków wyróżnionych przez jerozolimski Instytut Yad Vashem tytułem Sprawiedliwy wśród Narodów Świata znalazła się ogromna liczba kobiet, które ryzykując życie własnych dzieci, gotowe były do największych poświęceń dla drugiego, często nieznanego sobie człowieka. Dziś po przeszło 80 latach od tamtych dramatycznych wydarzeń wciąż jeszcze odkrywamy historie polskich bohaterek II wojny światowej i ocalonych przez nie Żydów.

To nie był jednorazowy akt heroizmu. Jak na polu bitwy, gdy żołnierz dokonuje brawurowego czynu. Minuta, dwie – i jesteś bohaterem. Bohaterstwo Sprawiedliwych trwało całymi miesiącami, a nawet latami" – wyznaje Wanda Kołomijska z domu Turczyńska, której wspomnienia zamieszczone zostały w książce Anny Herbich „Dziewczyny sprawiedliwe. Polki, które ratowały Żydów". Wszelka pomoc udzielana przedstawicielom tego narodu, za którą w okupowanej Polsce groziła kara śmierci, była aktem najwyższej odwagi.

▶ Jadwiga

W jeden z marcowych wieczorów 1943 roku, gdy przeniknięty śniegiem i mrozem świat ogarnęły już ciemności, w leśniczówce koło mazowieckiej wsi Wólka Czarnińska, przy stole w skromnej izbie zasiadła rodzina Gawrychów i ich żydowscy goście. Abram Słomka i Frania Szpinger mieszkali u nich od dłuższego czasu, a Teresa i Chaskiel Papierowie ukrywali się w lesie i dopiero o zmroku przychodzili się posilić i ogrzać. Schronienie znalazł też w tym domu Rosjanin Piotr, żołnierz Armii Czerwonej, któremu udało się zbiec z niemieckiej niewoli.

Tego, co nastąpiło po zapadnięciu zmierzchu, Jadwiga Gawrych, córka leśniczego Jana, wówczas dwunastoletnia dziewczynka, nigdy nie zapomni. „Ciszę przerwał przejmujący brzęk tłuczonego szkła. Odłamki szyby posypały się na podłogę – opowiada. – Zerwaliśmy się od stołu. Niemcy! Wiedzeni instynktem samozachowawczym, pierwsi rzucili się do ucieczki Żydzi". Kiedy żandarmi wpadli do izby, biegli już w stronę lasu. Oprócz nieszczęsnej Teresy Papier, która, będąc w siódmym miesiącu ciąży, nie chciała wybiec bez kurtki. Zginęła na miejscu, przeszyta serią kul z pistoletu. W tej samej chwili Niemcy wywlekli Jana na podwórko, rzucili w śnieg i niemiłosiernie okładali kolbami karabinów. Jeden z nich pochwycił Jadwigę, krzykiem i przemocą zmuszając, by wydała tych, których jeszcze ukrywają. Tymczasem Piotr złapawszy za skrywany pod płaszczem karabin, „owładnięty jakimś dzikim szałem, wyskoczył przed dom i zaczął [...] strzelać! [...] Huk wystrzałów. Błyski. Dzikie krzyki Piotra i Niemców [...]. Szybko dosięgły go kule, padł na ziemię ciężko ranny. Ale nie śmiertelnie". Niemcy związali go sznurami i położyli obok Jana. Na koniec podpalili ukochaną leśniczówkę Gawrychów. Jadwiga z przerażonym Niutkiem na ręku zdołała uciec do sąsiadów. Po kilku godzinach zjawiła się tam jej mama Aleksandra, którą Niemcy puścili wolno. Leśniczego Jana za to, że ośmielił się pomagać Żydom, czekała pewna śmierć. Gestapowcy wywieźli go do lasu położonego dzie-

fot. NAC

eprasa.pl 0def14ee0

sięć kilometrów za Mińskiem Mazowieckim, by tam, w miejscu masowych egzekucji, zamordować strzałem w tył głowy. Razem z nim zginął Piotr. Obaj spoczęli w tym samym leśnym grobie.

Gdy Jadwiga sięga wspomnieniami do początku wojny, przypomina sobie lecące na Warszawę bombowce, ryk detonacji i dziesiątki uchodźców, spośród których wielu zaglądało do leśniczówki. Jej mama bowiem gotowała dla tych zbiedzonych nieszczęśników zupę zazwyczaj z tego, co rosło w ogrodzie. Gdy któregoś dnia 1941 roku zawitał do ich domu Żyd Abram Słomka – uciekinier z warszawskiego getta, Aleksandra zaproponowała, by zamieszkał razem z nimi. Miał wówczas 30 lat, był skrzypkiem w Filharmonii Warszawskiej, a w czasie wojny zarabiał na życie jako fryzjer-domokrążca. Serca Gawrychów podbił natomiast swoją muzyką. Gdy zobaczył w ich chacie wiszące na ścianie skrzypce, zdjął je wówczas ostrożnie i zaczął grać... „Czardasza" Vittorio Montiego. I tak już u nich pozostał. „W ciągu dnia uczył nas gry – opowiada Jadwiga. – Był bardzo cierpliwym nauczycielem. Tłumaczył, poprawiał palce. To był bardzo wrażliwy człowiek. O duszy artysty" i dodaje, że miał „zły wygląd", więc wskutek jakiegokolwiek donosu jego los byłby przesądzony. Skończył jednak tragicznie, bo choć owego feralnego wieczoru udało mu się uciec przed Niemcami, to i tak kilka dni później odebrał sobie życie.

Chciała żyć

Inaczej jeszcze potoczyły się losy szesnastoletniej Frani Szpinger, która wcale nie przypominała z wyglądu Żydówki. Jej rodzice – Izrael i Bracha – brat i siostra Hela, mieli rysy typowo semickie i z tego powodu musieli ukrywać się w lesie. Dopiero pod osłoną ciemności przedostawali się do leśniczówki Gawrychów, by pokrzepić się i znaleźć tam chwilę wytchnienia. Nie mogąc dłużej znieść życia w nieustannym strachu i ciężkich warunkach w leśnej ziemiance, sami oddali się w ręce Niemców, którzy wywieźli ich do komór gazowych Treblinki. Frania nie pojechała razem z nimi, chciała żyć. Została więc ze swoją przyszywaną rodziną. Nocami jednak dopadały ją nieprzezwyciężone lęki – „często przez sen wołała przeraźliwym, rozdzierającym głosem: Boże!!! Wszyscy zginęli! [...]. Cała spocona, w szale, rozpaczy".

Tej nocy jednak, gdy Jan Gawrych pojmany został przez Niemców, Frani udało się uciec. Ukryła się w drenie pod mostkiem, przez który, tuż nad jej głową, przejeżdżali wracający z obławy Niemcy. Przerażona i przemarznięta do szpiku kości tkwiła w swojej kryjówce przez wiele godzin. Nie wiedziała, co ma z sobą zrobić i dokąd się udać. Gdy wraz z nastaniem świtu zdecydowała się opuścić schronienie, na jej drodze stanęła kobieta w czarnym habicie. Dzięki niej odnalazła swój nowy dom w klasztorze szarytek w Ignacowie. Siostry zakonne prowadziły tam sierociniec i ukrywały w nim wiele żydowskich dzieci. I tak Frania doczekała końca wojny...

Rodzina Gawrychów po śmierci Jana i utracie rodzinnego domu ledwo wiązała koniec z końcem. Dopiero po wojnie uśmiechnął się do nich los. Jadwiga wraz z braćmi – Jerzym i Niutkiem – stworzyła zespół muzyczny, w którym grała na perkusji. W ten sposób została jedną z pierwszych kobiet-perkusistek w Polsce, a po skończeniu studiów muzycznych w Warszawie założyła wraz z koleżankami pierwszy w kraju żeński zespół rozrywkowy o nazwie Klipsy. „Jedna grała na harmonii, druga na kontrabasie, trzecia na saksofonie, czwarta – na gitarze. Ja oczywiście bębniłam – wspomniała. – Rodzaj muzyki, jaki wykonywałyśmy, to był big-bit. Skoczne, szalone rytmy. Znak lat sześćdziesiątych. Akompaniowałyśmy samemu Mieczysławowi Foggowi [...]. To było naprawdę niesamowite show".

Mijały lata, wspomnienia z czasów okupacji zacierały się w pamięci, aż któregoś dnia 1998 roku Jadwiga niespodziewanie odnalazła Franię! W polskiej telewizji emitowano akurat film o Holocauście, w którym występowała. I tak Gawrychowie trafili na ślad swej dawnej podopiecznej, która była pewna, że wszyscy oni zginęli podczas niemieckiej obławy. Nie posiadając się z radości, zaprosiła Jadwigę do Izraela, gdzie uhonorowana została medalem Sprawiedliwy wśród Narodów Świata. Odznaczenie to przyznano pośmiertnie także jej rodzicom.

Irena

Irena Senderska-Rzońca z domu Krzyształowska wywodziła się z pachnącego naftą Borysławia. Jej rodzinne miasto zamieszkiwały trzy nacje – Polacy, Ukraińcy i Żydzi – „Polacy pracowali w przemyśle, Żydzi dzierżyli w swoim ręku cały handel, a Ukraińcy najmowali się do pracy fizycznej". Ojciec Ireny Józef był taksówkarzem, jednym z trzech w Borysławiu, a mama Helena opiekowała się czwórką dzieci. I to właśnie ona w czasie, kiedy rozpoczęła się eksterminacja Żydów, „nie mogła patrzeć na rozgrywający się dramat z założonymi rękami". Na początku pomogła wydostać się z getta w Drohobyczu zaprzyjaźnionej Żydówce oraz jej siostrze z maleńkim dzieckiem. O ile wyprowadzenie obu kobiet na aryjską stronę nie było aż tak trudnym zadaniem, o tyle uratowanie niemowlęcia okazało się nie lada wyczynem, jakiego podjęła się jedenastoletnia Irena wraz ze starszym bratem Edwardem. Wszystko szło zgodnie z planem – z Borysławia do Drohobycza dotarli dorożką, niepostrzeżenie dostali się na teren „dzielnicy zamkniętej", odnaleźli budynek, gdzie w pu-

eprasa.pl 05def14ee0

stym pokoju mieściła się duża szafa, a w niej... dziecko w beciku. Było spokojne, nie płakało, widocznie podano mu jakieś środki nasenne. Gdy wyszli na zewnątrz, panowały już ciemności, pod osłoną których skierowali się do umówionego miejsca. Tam czekała na nich dorożka. Wtedy dostrzegło ich dwóch Niemców z patrolu i rozegrała się taka oto scena:

„– Jesteście Żydami! – jeden z nich krzyknął z daleka. I ruszyli w naszą stronę.

– Wszystko stracone – pomyślałam. Już po nas. Starałam się jednak nie wpadać w panikę – odtwarzała ten moment Irena. – Po chwili staliśmy przed żołnierzami, którzy groźnie mierzyli nas wzrokiem.

– Nie, nie jesteśmy Żydami – zapewniał mój brat. Zachował spokój i pokazał na mnie i dzidziusia. – To moje dwie siostry. Byliśmy w odwiedzinach u cioci, a teraz idziemy do domu. Mówił płynną niemczyzną. Na szczęście mama uczyła nas w domu tego języka [...]. Ja nie mówiłam nic, tylko trzęsłam się ze strachu jak osika. Wtedy jedna z paczek wypadła mi z rąk. Poturlała się po kocich łbach, dzwoniąc podejrzanie. Jeden z Niemców rzucił się do niej i rozerwał papier. Złoto!". Ale zamiast złota, odwinął zwykły blaszany nocnik, a rozwścieczony wcisnął go Irenie z powrotem i kazał się wynosić... Byli ocaleni także dzięki temu, że Edward skłamał, bo w beciku leżała nie dziewczynka, ale chłopiec, i do tego już obrzezany. Gdyby się to wydało, młodych konspiratorów czekałaby śmierć.

Ta niebezpieczna misja nie była jedyną, w której udział wzięły dzieci państwa Krzyształowskich. Ojciec Ireny, znający dobrze Eliasza Bandera, lekarza żydowskiego pochodzenia, zgodził się pomagać w przemycaniu lekarstw do getta. A zadanie to powierzył Irenie i jej bratu – paczki były niewielkie, więc bez trudu dały się ukryć pod kurtką. Wystarczyło przecisnąć się specjalnym przejściem zrobionym pod ogrodzeniem na tę drugą stronę i tam, w umówionym miejscu, podać pakunek wtajemniczonemu w całą akcję mężczyźnie. Odbierał on od Ireny leki i wręczał jej pieniądze na zakup kolejnych. W tym czasie Edward pilnował, czy ktoś nie nadchodzi. Któregoś razu jednak Irenę dostrzegli Niemcy patrolujący okolicę. Gdy usłyszała za sobą głośne: „Halt", natychmiast rzuciła się do ucieczki i szybko przecisnęła przez zamaskowany otwór. Miała wiele szczęścia, że nie podjęto za nią pościgu! Nigdy więcej nie odważyła się już tam wyprawić.

„Chcę być Polakiem"

Niedługo potem Bander błagał ojca Ireny, by ten ratował jego żonę Reginę i syna Mirona. Doktor musiał jak najszybciej znaleźć dla nich schronienie, bo lada dzień mogła rozpocząć się wywózka Żydów z getta. Krzyształowscy ukryli całą ich trójkę na niewielkim strychu budynku gospodarczego, jaki zamieszkiwali, po tym jak Niemcy przepędzili ich z domu. Schronieniem dla uciekinierów stał się więc gołębnik, malutki i niski, w którym dorosły człowiek skazany był na ustawiczne leżenie. Jedynie kilkuletni synek Banderów mógł się tam rozprostować, ale za to zżerała go dziecięca tęsknota za światem, słońcem, zabawą na świeżym powietrzu. Dlatego też wielką radość sprawiały mu wizyty Irenki, która przynosiła świeże kozie mleko i czytała książki. Na strych można było dostać się tylko od zewnątrz, przez komórkę, w której umieszczona została koza, jedyna żywicielka rodziny, i tam też pod pretekstem karmienia zwierzęcia udawała się Irena, zanosząc rodzinie wodę i jedzenie. Zwykle jej mama gotowała jakąś nędzną zupę z garści pokrzyw lub lebiody, czasem było to mięso z gołębia, a czasem nawet pierogi. Najgorzej wegetację w zimnie i ciemności znosił chłopak Banderów, który ze szczerością sześciolatka mówił: „Słuchaj, ja nie chcę być Żydem i siedzieć tu na tym strychu. Przecież dobrze mówię po polsku. Chcę być Polakiem".

Latem 1944 roku Niemcy zaczęli się wycofywać pod naporem zbliżającej się Armii Czerwonej. Lada dzień ukrywanie Żydów miało przestać być zbrodnią. W tym czasie jednak stało się coś nieoczekiwanego – na podwórko Krzyształowskich wkroczył uzbrojony oddział Wehrmachtu. Sytuacja wydawała się beznadziejna, bo jak opowiada Irena: „Na dole, ze swastyką na piersi, zasiadł przy stole niemiecki oficer w pełnym uzbrojeniu. A na górze, nad cienkim sufitem, leżała żydowska rodzina. Rodzice starali się jakoś zająć Niemca [...]. Tata tłumaczył mu sytuację, pokazywał na mapie, skąd naciera Armia Czerwona, a gdzie są niemieckie pozycje. I wtedy stało się coś strasznego [...]. Nagle – ku naszemu przerażeniu – Niemiec zrobił się czerwony na twarzy i wybuchnął. Zaczął przeraźliwie krzyczeć, sięgnął do pasa i wyszarpnął z kabury pistolet. Nie zdążył jednak wycelować, bo mama odruchowo podbiła mu rękę. Gruchnął pojedynczy strzał. Huk był ogłuszający [...]. Kula poszła w górę, w sam środek sufitu. Bez trudu przebiła strop i poleciała na strych, na którym ukrywali się Żydzi [...]. Zapadła przerażająca cisza, a mama padła zemdlona na podłogę". Wówczas to nieoczekiwanie dla wszystkich hitlerowiec schował broń i opuścił pospiesznie dom Krzyształowskich. Okazało się, że kula szczęśliwie ominęła przerażonych wystrzałem Banderów, którzy nie mogli uwierzyć, że żyją.

Gdy Niemcy na dobre opuścili Borysław, a ich miejsce zajęły oddziały czerwonoarmistów, Żydzi mogli nareszcie wyjść ze swej kryjówki, w której trwali skuleni przez siedem miesięcy. Pierwszy zszedł na dół mały Miron, potem jego mama, ale doktor Bander za nic w świecie nie chciał tego uczynić, sparaliżowany strachem i załamany psychicznie. Dopiero po kilku dniach

eprasa.pl 05def14ee0

zdecydował się na ten krok i pokonawszy z nieludzkim wysiłkiem kilkanaście szczebli drabiny, dołączył do swojej rodziny. Irena zapamiętała tę chwilę na zawsze – „doktor Eliasz Bander stał i mrużąc oczy, długo się nam przypatrywał. Jakby chciał wyczytać z naszych twarzy, czy rzeczywiście jest już bezpieczny [...]. Był niebywale wychudzony [...]. Ubranie miał w strzępach, przez dziury na łokciach i kolanach prześwitywało białe jak papier ciało. Ciszę przerwał mój ojciec. Zniknął na chwilę za drzwiami, by po chwili wrócić, niosąc na wieszaku swój odświętny garnitur i białą koszulę [...]. Wręczył ubranie panu Banderowi. – Ty doktor, ja szofer – powiedział. – Weź to ubranie. Z piersi Bandera wydobył się jakiś cichy pomruk [...], łzy leciały mu po zapadłych policzkach [...]. Mój tata też płakał. Dopiero teraz doszło do nas, że w życiu zarówno pana Bandera, jego rodziny, jak i naszym zaszła kolosalna zmiana. I my, i on mogliśmy wreszcie przestać się bać".

W końcu dla Krzyształowskich nastąpił moment rozstania z Borysławiem. Ich dom został zajęty przez bolszewików, a oni sami skazani na wysiedlenie. Swoją nową przystań odnaleźli w Wałbrzychu na Dolnym Śląsku. Nie dane im było już nigdy spotkać się z poczciwym doktorem Eliaszem Banderem, który po wojnie uratował życie ciężko chorej na tyfus Helenie. Dopiero po wielu latach z Ireną skontaktował się Miron, w dorosłym życiu fizyk, profesor na Uniwersytecie Kalifornijskim w Irvine. Chciał osobiście podziękować Krzyształowskim za uratowanie życia. Z jego inicjatywy członkowie rodziny uhonorowani zostali medalami Sprawiedliwy wśród Narodów Świata. Instytut Yad Vashem przyznał to zaszczytne odznaczenie Irenie, a także pośmiertnie jej rodzicom. Z Mironem utrzymywała kontakt aż do jego śmierci. „To, co stało się w Borysławiu w roku 1944, połączyło nas na zawsze" – wyznała po latach.

Wanda

Historia Wandy Kołomijskiej z domu Turczyńskiej i ukrywanych przez jej rodzinę Żydów wciąż budzi wielkie emocje. Pewnego letniego dnia podczas okupacji, gdy jako dziesięcioletnia dziewczynka niosła do kuchni obrane kartofle, zauważyła przez okno, że w stronę ich domu zbliżają się Niemcy. Natychmiast wszystkich ostrzegła. Żydzi zbiegli czym prędzej do podziemnej skrytki, Wanda zasłoniła prowadzący do niej otwór tapczanem, ale... zapomniała zamknąć klapę maskującą zejście do schronu. Usiadła szybko i jak gdyby nigdy nic zaczęła skrobać kartofle. Tymczasem jej mama Helena, zachowując zimną krew, otworzyła drzwi... Niemcy wpadli do środka, rozpoczęła się rewizja. Jeden z nich pochwycił dziewczynkę za kark i brutalnie wepchnął do salonu. Razem z siostrą miały stać nieruchomo w milczeniu. „Z innych pokojów dochodziły do nas odgłosy przewracanych, łamanych mebli – wspominała. – Krzyki i jakieś łomoty. [...] Robiło mi się na przemian zimno i gorąco. Co się stanie, jeśli odsuną tapczan? Co się stanie, jeśli ich znajdą? Nie ma najmniejszych wątpliwości – wszyscy zostaniemy zamordowani. [...] Nie miałyśmy pojęcia, co robić. Bałyśmy się nawet drgnąć, wyjrzeć. Z odrętwienia wyrwał nas dopiero okrzyk mamy wbiegającej do pokoju: – Nie ma ich, wyszli na ulicę!". Niemcy zostawili po sobie prawdziwe spustoszenie – wszystko poprzewracane i porozbijane, pościel wywleczona z łóżek, szafa pchnięta na środek pokoju, tylko tapczan i kubełek na kartofle stały nienaruszone na tym samym miejscu. To był prawdziwy cud... Usłyszawszy umówione stukanie w rurę, Żydzi zaczęli powoli opuszczać swoją kryjówkę. Byli tam Gothelfowie, Montrolowie, Weisblattowie i pani Mintz. Swoje ocalenie zawdzięczać mogli dziesięcioletniej Irenie.

Pukanie do drzwi

Do całego tego zdarzenia doszło w rodzinnym domu Turczyńskich w Brwinowie, który wybudowali tuż przed wojną. Mama Wandy Helena była pielęgniarką, a ojciec Bolesław – syn sybiraka i żołnierz Legionów Polskich – dyrygentem orkiestry wojskowej. Ich podwarszawski dom był piękny i przestronny, miał wiele jasnych pokoi, piwnicę i strych. Gdy wybuchła wojna przydzielono im lokatorów – uchodźców z Poznańskiego, którzy zamieszkali na pierwszym piętrze, natomiast jeden z pokoi na parterze przez pewien czas zajmował niemiecki oficer Richter, który okazał się pianistą i miłośnikiem muzyki Chopina. Tymczasem w pobliskiej Warszawie powstawało getto, gdzie na obszarze czterech kilometrów kwadratowych stłoczono 350 tysięcy Żydów. Do 30 października 1940 roku stawić się mieli tam wszyscy wyznawcy judaizmu ze stolicy i jej okolic. Wtedy to właśnie zapukał do drzwi Turczyńskich Józef Weisblatt – znajomy właściciel składu budowlanego. Prosił o pomoc dla swojej matki, która nie chciała iść do getta, pewna, że Niemcy będą masowo mordować Żydów. Helena Turczyńska i jej mąż mimo ogromnego ryzyka zgodzili się przyjąć Weisblattową pod swój dach. Chaja Weisblatt, starsza pani, którą Wanda nazywać miała niebawem babcią, szybko się u nich zadomowiła – przeznaczono jej osobny pokój na końcu korytarza, z którego prawie wcale nie wychodziła. Od momentu, gdy u nich zamieszkała, w domu zawsze musiał ktoś przebywać na wypadek wtargnięcia gestapo lub szmalcowników. Trzeba było mieć się na baczności, tym bardziej że na górze mieszkali uchodźcy z Poznańskiego. Niedługo

eprasa.pl 05def14ee0

potem zapukał do nich, posługując się umówionym kodem, nieznajomy młody mężczyzna. Nazywał się Edward Drozdowski, a tak naprawdę – Adam Gutgisser – doktor mikrobiologii, przed wojną asystent na Uniwersytecie Warszawskim, któremu jeden z zaprzyjaźnionych profesorów załatwił fałszywe papiery. Teraz jego celem stało się wyciągnięcie z getta i ukrycie najbliższych – żony Rai, ojca Maksa i teściowej Anny. Poznany w getcie Weisblatt poradził mu, by zwrócił się o pomoc do Turczyńskich, zdradzając, że właśnie u nich przebywa jego matka. Adam błagał, by udzielili schronienia jego rodzinie chociaż na kilka dni. Mama Wandy zgodziła się od razu, bo nigdy nie potrafiła być obojętna wobec ludzkiego nieszczęścia. I tak minął tydzień. Adam mógł przeszmuglować na razie tylko jedną osobę. O tym, kto pierwszy opuści getto, miało zdecydować ciągnięcie zapałek. Los wskazał na żonę Adama, ale ona nalegała, aby najpierw ukryć jej matkę Annę, będącą w bardzo złym stanie zdrowia. Gdy Adam wrócił po żonę i ojca, zastał tylko zgliszcza domu – spóźnił się o jeden dzień, wszyscy zostali wywiezieni do obozu zagłady w Treblince. Gdy Anna Mintz poznała prawdę, całkowicie się załamała, bo „przecież jej córka wyciągnęła całą zapałkę. Wyciągnęła los życia. To pani Mintz miała jechać do Treblinki". Do końca swych dni nie wybaczyła sobie tej nieszczęsnej zamiany.

▶ „Dokonała niemożliwego"

Do ukrywanych przez Turczyńskich Żydówek wkrótce dołączyli kolejni uciekinierzy. Najpierw rodzice Wandy zgodzili się przyjąć Belę Montrol z córką Lusią. Z całej ich kilkudziesięcioosobowej rodziny tylko one zdołały przetrwać Holocaust. Dwa tygodnie później u Bolesława i Heleny pojawili się dwaj żydowscy chłopcy – Jerzyk i Adaś – wnuki pani Weisblatt, z którymi to Wandzia bawiła się przed wojną na podwórku składu budowlanego. Dzieci były wycieńczone, oczy miały szeroko otwarte i wystraszone „niczym u zaszczutych, ściganych zwierząt". Jerzy był nad wyraz poważny jak na swój wiek, a jego młodszy brat Adaś – głośny, impulsywny i ruchliwy, jakby chciał tragizm wojny zagłuszyć krzykiem. W spisanych przez siebie po latach wspomnieniach Adam odtworzył m.in. moment likwidacji getta, gdy jego rodzina, jak setki innych, przeznaczona została do transportu: „Pamiętam tysiące ludzi pakowanych do samochodów i starszych ludzi zabijanych na placu – pisał. – Stając tam, zauważyłem, że naziści dzielą ludzi na dwie grupy. W jednej z nich była kobieta trzymająca maleńkie dziecko. Musiała zrozumieć, że będzie zmuszona wejść do ciężarówki jako następna. Próbowała oddać komuś dziecko, myśląc, że to je uratuje. Zauważył to jeden z esesmanów i wezwał dwóch kolegów. Pomocnicy złapali kobietę za włosy i ramiona tak, żeby nie mogła się odwrócić. Trzeci wyrwał jej dziecko z rąk, podniósł je za nóżki, położył główkę na krawężniku, a następnie zmiażdżył je butem. Ten widok ciągnie się za mną przez te wszystkie lata. Nie potrafię wyrzucić go z pamięci". Tego dnia dla Adama i jego rodziny nie starczyło miejsca w ciężarówce wiozącej Żydów na śmierć. Puszczono ich wolno. Wtedy właśnie postanowili uciec z getta, a schronienia udzielili im Turczyńscy.

W ich domu ukrywały się też przez pewien czas Helena i Bronka z zamożnej rodziny żydowskich przemysłowców Gothelfów. Gdy w 1942 roku Niemcy ogłosili, że bogaci Żydzi mogą zostać przewiezieni do Szwajcarii w zamian za wysoki okup, Gothelfowie postanowili skorzystać z tej szansy i stawili się we wskazanym „Hotelu Polskim" w Warszawie, skąd mieli wyruszyć w dalszą podróż. Na ten krok zdecydowało się dwanaście osób z ich rodziny, z wyjątkiem Tadeusza, który zrezygnował z wyjazdu, bo zakochał się w pięknej Ryfce Gorodeckiej. Jego wybranka nie chciała wyjeżdżać, nie ufała Niemcom. Tadeusz postanowił zostać razem z nią. Dzięki tej decyzji przeżyli, bo niemiecka akcja „Pociąg do raju" zakończyła się dla wszystkich wywożonych śmiercią.

Rodzina Turczyńskich szczęśliwie doczekała końca okupacji, podobnie jak większość ich żydowskich podopiecznych. Chaja Weisblatt emigrowała do Paryża, jej wnuk Adam wyjechał do Stanów Zjednoczonych, a jego brat Jerzy nie przeżył wojny. Bela Montrol z córką Lusią rozpoczęły nowe życie w Izraelu. Annę Mintz odnalazł po wojnie jej syn Leon. Adam Gutgisser zamieszkał na stałe w Rio de Janeiro, gdzie dożył 95 lat. Rodzina Turczyńskich za swą ofiarną służbę bliźnim wyróżniona została zaszczytnym tytułem Sprawiedliwy wśród Narodów Świata. O swojej mamie Helenie jej córka Wanda powiedziała: „Zrozumiałam [...], że moja mama swoją wojnę z Hitlerem wygrała. Wbrew wszelkim niekorzystnym okolicznościom i logice. Uzbrojona tylko w swoją silną wolę i determinację zwyciężyła. Uratowała wiele ludzkich istnień, w nieludzkich czasach zdała egzamin z człowieczeństwa. Dokonała niemożliwego". Słowa te odnieść można także do pozostałych Polek – Aleksandry Gawrych, Heleny Krzyształowskiej, Tekli Dudziak, Łucji Jurczak z domu Nestorowicz i wielu, wielu innych. Były to kobiety, które potrafiły przeciwstawić się złu i udowodniły, że człowiekiem można pozostać nawet w czasach zagłady. Były to te, które pokonały Hitlera dzięki swej sile moralnej. ■

_____

Źródło: Anna Herbich, „Dziewczyny Sprawiedliwe. Polki, które ratowały Żydów", Kraków 2019.

eprasa.pl 05def14ee0

Ewa Polak-Pałkiewicz



Wersal i bania. Dokończenie

W poprzednim numerze „Nowego Państwa” rozpoczęliśmy opowieść o Annie Branickiej, która w wyniku działań wojennych wraz z rodziną i jedenaściorgiem przedstawicieli innych historycznych rodów, Zamoyskich, Krasickich, Potockich, Sobańskich, Lubomirskich, trafili na zesłanie. Na prawie trzy lata (1945–1947) osadzono ich w baraku w Krasnogorsku. Szesnaście osób, w tym troje dzieci, stłoczono w trzech pokoikach i wspólnej kuchni. Dziś dokończenie tej historii.

Adam i Beata Braniccy w Wilanowie

Wieczorami, po przeczytaniu miejscowych gazet w kuchni zesłańców odbywa się namiętna dyskusja polityczna. Gdy panowie (Radziwiłł, Zamoyski, Krasicki i Branicki) perorują, dziewczęta zmywają garnki, a Kisia-Misia (pekińczyk) ma napady irytacji i wściekle szczeka, zwykle dochodzi do ostrego starcia, które panie starają się załagodzić. Ale poza tym na co dzień w krasnogorskim baraku panuje prawdziwy „wersal przy stole". Annę niekiedy skrycie bawią „dystyngowane miny i obcojęzyczne słowa wypowiadane nad kaszą czy kartoflanką". Zwierza się narzeczonemu [Anna pisała listy do narzeczonego Janusza Radomyskiego, nigdy ich jednak nie wysłała, bo nie zdobyła jego powojennego adresu – przyp. red.]: „Pomyśl – to grono arystokratyczne siedzące w obskurnej kuchni, wśród zapachu kapusty, tytułujące się księciem, hrabiną, księżną... Żebyś wiedział, jak zabawnie wygląda książę przebierający groch z Mamą i ciocią Marylą [...], jak niesamowicie wygląda Edmund wylewający pomyje albo Ballada szorująca klozet w zakasanej spódnicy. Mój Boże, gdyby człowiek wiedział, że nasz los się kiedyś poprawi, toż to by się człowiek tylko śmiał ciągle".

Straszna śmierć bez księdza

Te komentarze Anna wypowiada potajemnie i niezmiernie rzadko. Na co dzień przejęta jest prawdziwym heroizmem przestrzegania form w świecie bez zasad. Eleganckie formy towarzyskie, zachowywane nawet z pewną zamierzoną przesadą, nie są żadnym teatrem, a najskuteczniejszą w tych warunkach obroną godności ludzkiej. Ale z tego może zdawać sobie sprawę tylko ktoś, kto zna ten subtelny język znaków pomocnych w obcowaniu z drugim człowiekiem. Kod tajemniczych (dla postronnych) i nie do podrobienia słów, gestów, spojrzeń. Niełatwo go złamać.

Co tydzień późnym wieczorem towarzystwo z Polski ma obowiązek pojawić się w bani, czyli w specjalnej łaźni dla więźniów, która przypomina saunę („mnóstwo gorącej wody, para i bardzo wysoka temperatura"). „Za pierwszym razem panowie niechętnie zapatrywali się na tę nocną banię. Pojechali tylko Tatuś i Xawery. Oburzone naczalstwo wysłało oficera z ostrą naganą: »Każdyj kulturnyj człeławiek dołżen myt'sia odin raz w subotu«. Śmiechu było co niemiara. Gdyby oni widzieli te przesadne zabiegi toaletowe naszej szesnastki!".

Nawet na Łubiance Polscy zesłańcy nie rezygnowali z codziennych skrupulatnych ablucji, w tych warunkach przypominających popisy akrobacji. „Mama okazała i tu swą zaradność: w rondeleczku maluśkim w lodowatej wodzie zrobiła pranie. Czyśmy się mogli spodziewać czegoś podobnego?".

W tych warunkach codzienna walka o uchronienie obyczaju i kultury – nie może być przecież żadnych wymówek od starań, by dzieci dobrze wychować – ma wszelkie cechy bohaterstwa. „Wieczorem do kuchni przychodzą nasze miłe dzieci... są już umyte i w nocnych pantofelkach. Tak jak my kiedyś – podchodzą do każdego po kolei, całują w rękę i mówią dobranoc. Starsi całują je w głowę i znaczą krzyżyk. Co wieczór tak samo Krysia przekornie woła do wuja Feriego, który siedzi głęboko za stołem: Dobranoc, Buka! Zawsze się z tego śmiejemy".

Gdy pojawia się zapowiedź zwolnienia z internowania – przedwczesna, niestety – Anna sporządza długą listę najpilniejszych zadań, jakie podejmie po powrocie do Polski. Najpierw odnalezienie narzeczonego i siostry, od razu potem spowiedź. W marcu 1946 roku Anna notuje: „Post już się zaczął. Książę przestał palić papierosy na całe czterdzieści dni".

Aż do 1947 roku zesłańcy nie mogą korzystać z sakramentów. W młodzieńczym sercu Anny odzywa się strach przed piekłem: „[...] czytaliśmy wczoraj tę słynną wielka mowę Churchila. [...] Mnie najbardziej utkwiły w pamięci słowa o ewentualnej wojnie. No, pomyśl, siedzieć tu, koło Moskwy, i już bez żadnej nadziei czekać chyba jedynie bomby atomowej i strasznej śmierci bez księdza, z masą grzechów!... Drżę, myśląc o wojnie".

„Wy, graf, posiditie", czyli ostatni z hetmanów

7 listopada 1945 roku Anna Branicka notuje: „Ku naszej rozpaczy zabrano nam Stanisława [jednego ze strażników – przyp. E.P.P.], który był taki dobry, życzliwy i miły. Dopiero na końcu swego pobytu powiedział nam, że pochodzi ze Stawiszcz, od Branickich. Stąd ten jego dla nas sentyment. Teraz dopiero rozumiem, dlaczego nigdy nie dał Ojcu dźwigać drewna do kuchni, tylko sam nosił, mówiąc poczciwie: »Wy, graf, posiditie«... Patrzył spokojnie, gdy robił to Edmund, książę, czy wuj Feri. Dla Taty miał zawsze specjalne względy. Dawał mu też po cichu rosyjskie gazety, pożyczał książki. Dopiero na wyjezdnym powiedział: »Wy znajetie, mienia grafinia Branicka nauczyła czytać«... Okazuje się, że Władysławowa Branicka ze Stawiszcz, ciotka mego Ojca, zbierała w parku dzieci folwarczne i pod drzewem na ławce uczyła je liter i czytania. Jak dziwną drogą ten dobry uczynek powrócił do nas".

Wielkie rody i ich historia, kręgi przyjaciół i bliskich wpisane w losy ojczyzny stanowią nieustanny motyw wspomnień zesłańców. „Ostatnio ślęczę nad genealogią... Ach, iluż my mamy krewnych! Myślę

fot. NAC

eprasa.pl 05def14ee0

sobie, spisując ich litanię, co teraz się z nimi dzieje. Jaki los ich spotkał!... Co drugi z młodzieży w Dachau, w Oświęcimiu lub w jakimś innym obozie... W samym Powstaniu poległo kilkudziesięciu naszych przyjaciół".

Zimą 1946 roku przerwała się jakaś wielka tama i tęsknota za przeszłością, za utraconym ciepłem rodzinnych gniazd rozdarła na nowo dusze internowanych. „[...] ogarnęła nas pasja rysowania planów naszych straconych domów. Robimy plany poszczególnych pokoi, spieramy się, co gdzie stało i wisiało. Ballada rysuje Ołykę, Mańkiewicze i wszystkie budynki gospodarcze, od kurnika do stajni cugowej. Elka – Guzów, a ja – Roś i Wilanów. [...] Mańkowicze do cna spalone, Ołyka i Roś w rękach Rosjan, Guzów i Wilanów z pewnością już nie nasze, rządowe, obce, inne. Aż strach pomyśleć, że jacyś nieznani ludzie chodzą teraz po naszych pokojach, po parku, że obce konie są w naszej stajni...".

„Xawery nawymyślał Tatusiowi!"

W nieunikniony sposób na zesłańców spada któregoś dnia klęska wzajemnych żalów i pretensji. Historia Branickich staje żywo wszystkim przed oczami. Tu, w głębi Rosji, podczas srogiej kontynentalnej zimy, w czasie niemającego jakiegokolwiek uzasadnienia więzienia przedstawicieli polskich rodów, przypomniany zostaje hetman Franciszek Xawery Branicki. Zdrajca, awanturnik, nikczemnik. Człowiek sprzedajny, którego cyniczna postawa pogrążyła Polskę. Jego literacki pierwowzór pojawił się w „Dziadach" jako Widmo złego pana (cz. II) i Widmo doktora (cz. III sc. IX).

Widmo woła:
Gdzie kościół? – gdzie kościół? Gdzie Boga lud chwali,
Gdzie kościół, ach, pokaż, człowiecze.
Ach, widzisz, jak we łbie ten dukat mię pali,
Jak srebro stopione dłoń piecze.
Ach, wylej, człowieku, dla biednej sieroty,
Dla więźnia jakiego, dla wdowy,
Ach, wylej mi z ręki żar srebrny i złoty,
I dukat ten wyłup mi z głowy
(Adam Mickiewicz, „Dziady", cz. III).

Hetman jako Widmo – symbol zdrady i nieprzebranej pychy – pojawia się także w „Weselu" Stanisława Wyspiańskiego. Wyrok Sądu Najwyższego Kryminalnego miał być na nim wykonany podczas insurekcji kościuszkowskiej – za zdradę ojczyzny, najcięższe przestępstwo. 29 września 1794 roku zawisł na szubienicy jego portret. Hetman Branicki zbiegł z Polski. Od Imperatorowej przyjął propozycję poślubienia jej domniemanej córki z nieprawego łoża, Aleksandry Engelhardt (oficjalnie: siostrzenicy księcia Potiomkina). Wielkie dobra hetmana stały się jeszcze wspanialsze. Biała Cerkiew na Ukrainie, posiadłość licząca 900 tys. hektarów, stała się małym ziemskim rajem dla jej właścicieli – ale też wkrótce ważnym ośrodkiem polskiego życia gospodarczego i kulturalnego pod Kijowem. (Trzeba dodać, że rosyjska żona Branickiego, Aleksandra, szybko się spolonizowała, stała się fundatorką katolickich kościołów, opiekunką klasztorów, szpitali i polskich szkół.)

W marcu 1946 roku w Krasnogorsku dochodzi do dramatu. Adamowi Branickiemu zostaje rzucone w twarz najcięższe oskarżenie. Zesłańcy doznają wstrząsu. „Jestem oszalała z wściekłości" – pisze Anna. „Xawery [Krasicki] nawymyślał Tatusiowi od targowiczan! Wiadomo, że dla każdego z Branickich sprawa Targowicy jest najboleśniejszą raną. Przez pięćdziesiąt lat swojego życia Tatuś ani razu nie usłyszał tego epitetu. Ludzie wszystkich klas umieli uszanować nasz honor, a tu Xawery – ot, tak sobie, bez powodu – rzuca Ojcu tę obelgę... Stosunki w naszych trzech klitkach robią się nie do wytrzymania. Nie rozmawiamy z Krasickimi. Oni nie wchodzą do naszego pokoju... Tatusia boli serce, jest blady, w nocy nie mógł spać".

Anna przy tej okazji notuje, z rodzinnego obowiązku to, o czym wiedziała od dziecka. Fakt, że w Białej Cerkwi istniała tzw. czarna księga rachunkowa nie był znany nikomu spoza ścisłego grona najbliższej rodziny. „Od wszelkiego dochodu z majątku i kapitałów odliczało się w niej wysokie procenty i przekazywało na cele patriotyczne. Obowiązek płacenia ich był przekazywany z pokolenia na pokolenie przy każdorazowym testamencie. Był to rodzaj ekspiacji za grzech targowicy".

Anna nie może nie wspomnieć, że jej ojciec miał w Polsce opinię człowieka świadomie uciekającego od tzw. wielkiego świata. Przyjaźnił się niemal wyłącznie z ludźmi spoza swojej sfery. Chodził w znoszonych ubraniach (żona próbowała, bez większego skutku, walczyć z jego abnegacją), brzydząc się wszelkim blichtrem. Finansował podziemie w czasie okupacji; fundował stypendia dla młodych ludzi studiujących na tajnych kompletach. Pracował w Patronacie, na rzecz uwięzionych. Wykupywał więźniów z Pawiaka, Oświęcimia i innych obozów. Połowa młodzieży z konspiracji w Warszawie chodziła z legitymacjami pracowników Wilanowa, które chroniły od wywózki do Niemiec. „A nam, gdy wstąpiłyśmy w szeregi konspiracji, powiedział: »Walczcie jak najdzielniej. Wiecie, jakie my, Braniccy, mamy specjalne obowiązki względem Ojczyzny«... Dwa razy sie-

eprasa.pl 05def14ee0

dział na Pawiaku oraz w więzieniach w Grójcu i Łowiczu... Jego dom był pełen ludzi, przyjmował każdego bezdomnego, kryjącego się, dzielił się wszystkim. Jak można go tak ranić?!".

Nic tak nie boli jak uderzenie ze strony bliskich, cios przyjaciela... Przyszedł jednak Wielki Post. Przyniósł ukojenie po burzy. Mieszkańcy baraku byli gotowi na wzajemne wybaczenie. Anna może wreszcie zanotować, rozpromieniona: „Zgoda z Xawerym. Mama wzięła go na rozmowę do kajuty [najmniejszej klitki w baraku – przyp. E.P.P.] i prosiła, by wytłumaczył sens i cel obelgi. To rzeczywiście nie było zamierzone".

Uchroniły największy skarb

Po trzynastu miesiącach od tego wydarzenia Xawery Krasicki napisał do władz sowieckich petycję z żądaniem Mszy św. Zaznaczył, że nie chodzi mu o błahostki, „lecz zagadnienia najświętsze i najważniejsze dla każdego człowieka – sprawę wolności osobistej, sprawę wykorzystania kultu religijnego. [...] pod względem moralno-psychicznym byliśmy i jesteśmy traktowani nie jak ludzie, ale jak bezmyślne przedmioty lub zwierzęta, którym do koryta należy wsypać paszę. Pozbawić ludzi ich religii, pracy, mieszkania, ich rodzin – w zamian za to dać dobre jedzenie i walonki – to jest zbrodnia!" (cyt. za: Marek Miller, „Arystokracja", Warszawa 1998.). Xawery Krasicki zagroził strajkiem głodowym, żądając „zezwolenia na odwiedzenie nas w kwarantannie w każdej chwili przez księdza katolickiego" (tamże).

Rosjanie zareagowali szybko. Nie znosili głodówek więźniów. Najpierw próbowali szydzić: „Wy, Polacy, chcecie kontaktu z germańskim księdzem?". Xawery Krasicki odpalił, że dla nich może być nawet Chińczyk. „Dla nas ksiądz nie ma żadnej narodowości". Wśród niemieckich jeńców był katolicki kapłan. Ksiądz Piotr Mohr, widywany codziennie w niemieckim szynelu, stał się duszpasterzem garstki Polaków. Anna znała go z widzenia i sądziła, że jest skrzypkiem z orkiestry.

Spowiadali się po niemiecku; wszyscy dorośli znali ten język. Msza odbyła się w pokoju Zamoyskich. Ołtarz-stół przykryto „bolszewickim kocem" i upranym świeżo prześcieradłem. Kazanie zaczęło się od słów: „Mein lieben Bruder". „Mama ma rację, że wszyscy jesteśmy braćmi, narodowości nie są ważne. Przystąpiliśmy wszyscy do komunii. Miała postać prawdziwego chleba pokrojonego w małe kostki. Taki cud".

„Wszyscy płakali. Wino było w zwykłej butelce. Od lekarstwa. Kielich i patena z puszek... Na wieszaku, tuż koło ołtarza wisiał zielony szynel księdza, ten znienawidzony zielony niemiecki szynel, który groził śmiercią i napawał od tylu lat lękiem. Po niemieckim kazaniu grzmi »Lulajże Jezuniu...«, a potem huczy »Boże coś Polskę«. Wreszcie, gdy umilknie ostatnia zwrotka, Vater Mohr mówi: »Gelobt sei Jesus Christus«. Tak, to jest życie...".

Wkrótce po tej pierwszej Mszy rozpoczęło się umieranie księżnej Anny Radziwiłłowej, żony nieformalnego przywódcy całej grupy Janusza Radziwiłła. Mąż nauczył ją łacińskiej modlitwy umierających. I którejś nocy, gdy mróz przekraczał czterdzieści stopni, Janusz Radziwiłł, przebudziwszy się, usłyszał, jak półgłosem wypowiadała słowa: „De profundis clamavi ad te, Domine; Domine, exaudi vocem meam". Z głębokości wołam do Ciebie, Panie...

„Kiedy księżna zmarła, ukazała się zorza polarna. To było dla nas ogromne przeżycie. Japończycy uważali, że to zupełnie normalne, bo jak ktoś z królewskiego rodu umiera, to zawsze zorza polarna się pokazuje. Przeniesiono zwłoki księżnej do naszego baraku i Ballala [synowa, Izabella Radziwiłłowa], Anna [Branicka] i ja z pałkami w ręku pilnowałyśmy przez kilka dni i nocy (dopóki trumna nie przyszła), by szczury jej nie zjadły" – wspominała Gabriela z Sobańskich Krasicka (cyt. za „Arystokracja").

Przed śmiercią w łagrze Anna Radziwiłłowa mogła wyspowiadać się i przyjąć Komunię św. Miała katolicki pogrzeb. Po jej odejściu mąż pogrążony był przez wiele tygodni w rozpaczy. Życie w baraku stało się jednak inne. Dzięki sakramentom było życiem ludzi wolnych, choć nadal siedzieli w więzieniu.

W październiku 1947 roku wrócili do Polski. Adam Branicki, aresztowany zaraz po przyjeździe do Warszawy, przeżył tu ostatnią wielką traumę swego życia. „Nie zasłużyłem, by siedzieć w polskim więzieniu" – skomentował prześladowania ze strony tych, których mimo wszystko uważał za swoich. Po wyjściu z więzienia wycieńczony, schorowany, nie odzyskał już sił. „Siedząc zgarbiony w fotelu, z nieodłącznym papierosem w ręku, powtarzał tylko: Jednak Bóg pozwolił nam wrócić do Kraju. Za to najbardziej Mu trzeba dziękować...".

Zmarł po miesiącu. Miał 55 lat. Władze PRL zrobiły specjalny wyjątek i zezwoliły, by ostatniego z Branickich pochować w rodzinnym grobowcu w wilanowskim kościele św. Anny. Poza tą uroczystością noga nikogo z Branickich nie miała prawa stanąć w Wilanowie. Beata Branicka i córki, Anna i Maria, uchroniły na zesłaniu największy skarb, wiarę katolicką i polską kulturę. Tak bardzo odrębną, tak unikatową na tle szybko przekształcającej się powojennej Europy. Niezbędną w nowych warunkach jak czyste powietrze. Nikt z rodziny nie wyemigrował.

eprasa.pl 05def14ee0

Gorzki łyk wolności

Po śmierci ojca Anna z matką zamieszkały w Krakowie, gdzie osiedliła się wcześniej trzecia z córek Branickich, Atka, z mężem. Szóste piętro bez windy, trzypokojowe mieszkanie przy placu Matejki, gdzie były już zainstalowane dwie inne rodziny. W pokoju, który im przypadł, do którego przygarnęły też dawną nianię z Wilanowa, zwaną Ciopenią, były tylko trzy sprzęty: dwa krzesła i mały stoliczek. Spanie na kocach rozłożonych na gołej podłodze nie było szczytem komfortu.

Anna rozpoczęła studia, najpierw w prywatnej szkole administracyjno-handlowej (dokąd przyjął ją bezpłatnie dyrektor i właściciel szkoły, znający rodzinę jej matki, Potockich z Rymanowa, skąd pochodził); potem na socjologii na UJ (ukończyła studia w Warszawie). Pań Branickich nie stać było ani na bilety tramwajowe – chodziły wszędzie piechotą – ani na kupowanie jedzenia, zgłosiły się więc do darmowej stołówki. Tu jadała Anna i stąd przynosiła obiady w menażkach dla mamy i Ciopenii. Przybywali tu bezdomni i najubożsi, ale nie ci z marginesu społecznego. Anna ubrana w za ciasną sukienkę z opieki społecznej siadała zawsze przy stoliku, przy którym jadał starszy pan w nędznym, zniszczonym ubraniu, ale o szlachetnej twarzy i nienagannych manierach. „Miał ze sobą pudło zawieszone na szelkach i sprzedawał na ulicy tandetną galanterię: grzebyki, lusterka, koraliki, wodę kolońską. Jak się okazało był to hrabia Łoś".

Po przeniesieniu się do Warszawy Beacie Branickiej udało się sprzedać część ruin kamienicy przy Smolnej, gdzie mieściło się przed wojną i w czasie okupacji biuro Adama Branickiego. Mogła zamieszkać we własnym maleńkim mieszkanku. Anna tymczasem, by utrzymać się podczas studiów, pracowała popołudniami w bibliotece uniwersyteckiej, dziergała na drutach berety i szaliki dla spółdzielni inwalidów, a wreszcie została szpularką i zwijała wełnę w warsztacie tkackim „Babit". Starała się też o posadę sekretarza u Jarosława Iwaszkiewicza. Pisarz spotkał się z nią w kawiarni, był uprzejmy i bardzo miły, jej znajomość języków obcych była walorem nie do przecenienia, ale wkrótce przesłał suchy list z odmową. Wierny przyjaciel partii zmitygował się w porę: w stalinizmie zatrudniać hrabiankę Branicką?!

Podał mi portfel, a ja zabrałam wszystkie banknoty...

W tych głodnych latach, jeszcze spędzonych w Krakowie, rodzina Branickich i Potockich zdecydowała się w końcu sięgnąć po rodowy skarb, kolekcję precjozów, głównie cennych pereł, przechowaną przez okres zsyłki przez małżeństwo przedwojennych pracowników Wilanowa, przyjaciół rodziny i opiekunów majątku. Po powrocie z Krasnogorska nietknięta kolekcja klejnotów została przez tych szlachetnych ludzi zwrócona bez uszczerbku Beacie Branickiej. Teraz mogły zapewnić rodzinie przeżycie. Ale jak sprzedać w PRL-u biżuterię wykonaną w Paryżu w XVIII wieku? Autorka wspomnień nie podaje nazwiska (jedynie pierwszą literę) człowieka, do którego udano się z klejnotami. Był to były ziemianin, znajomy rodziny z przedwojnia, zajmujący się pośrednictwem sprzedaży cennych rzeczy ocalonych z zagłady polskich dworów. Podjął się zadania, twierdząc, że jest już umówiony z jubilerem z Wiednia. „Kolekcja hetmanowej" została mu więc przekazana. Szybko jednak kontakty z pośrednikiem się urwały. Mijały miesiące, a on nie dawał znaku życia. Zaniepokojona Anna zaczęła energicznie upominać się o pieniądze lub zwrot biżuterii. W pewnej chwili drzwi jego mieszkania zostały przed nią zamknięte. Zdecydowała się wówczas na desperacki czyn. Odkryła, że jest on stałym bywalcem eleganckiej restauracji blisko Rynku i któregoś dnia, gdy zasiadał przy stoliku z dwoma mężczyznami i zaczynał studiować kartę, wkroczyła pewnym krokiem do lokalu i podniesionym głosem, niezrażona obecnością postronnych, zaczęła domagać się zwrotu własności.

„[...] był bardzo speszony, zaczął się wykręcać, mętnie tłumaczyć. Na to zażądałam wprost, żeby natychmiast oddał mi pieniądze, które ma przy sobie, jako część spłaty długu wobec nas. Nie wiem, jakim cudem zdobyłam się na taki tupet... wszystkie oczy w restauracji zwróciły się w naszą stronę, jak tylko po raz pierwszy podniosłam głos. Podał mi więc portfel, a ja zabrałam wszystkie banknoty, jakie w nim były. Nie protestował. Nie wystarczało to na pokrycie choćby części należności, ale i tak były to pierwsze pieniądze, jakimi dysponowałyśmy po powrocie z Rosji. Na odchodne rzuciłam jeszcze, że to nie koniec – że będę go ścigać i kompromitować, jeśli nie zwróci nam naszej biżuterii albo pieniędzy".

Pośrednik nie zaprzestał jednak taktyki uników i mętnych wykrętów. „Wówczas zrobiłam coś śmielszego niż awanturę w restauracji. [...] Poprosiłam o pomoc kuzynów, którzy zarabiali na życie organizowaniem przeprowadzek. Używali do tego platformy z dyszlem, którą sami ciągnęli. Przewozili w ten sposób walizki z dworca, meble i rozmaite pakunki. Od jednej z lokatorek pana [...] dowiedziałam się, kiedy nie będzie go w domu i tego dnia podjechaliśmy tam z chłopcami. Lokatorka nas wpuściła i znaleźliśmy się w pięknym mieszkaniu, dosłownie wypchanym antykami, którymi handlował. Wybrałam najpotrzebniejsze sprzęty: duże łóżko, szafę, stół i sześć krzeseł, komodę i biurko. Chłopcy sprawnie poznosili to na dół i załadowali na swoją platformę, a ja w tym czasie na wcześniej przygotowanej kartce

eprasa.pl 05def14ee0

napisałam pokwitowanie, w którym informowałam pana [...], że zarekwirowałam meble na poczet ciążącego na nim długu i poleciłam, żeby sobie odpisał ich wartość z należnych nam pieniędzy".

Pusty pokój przy placu Matejki został umeblowany. „Wreszcie mama mogła się normalnie położyć i nie musiała jeść na podłodze z talerzem na kolanach".

Pośrednik nadal nie kiwnął palcem, by rozliczyć się z przejętej biżuterii. Trafił w końcu na dwa lata za kratki, ale po wyjściu żył spokojnie w dobrobycie. Dotąd nikt z rodziny nie wie, co stało się z „klejnotami hetmanowej". „Ja tymczasem", wspomina Anna, „trafiłam pod inny »sąd« – komisję złożoną z rozsierdzonych arystokratycznych ciotek". Dalsze krewne zawezwały ją, by osądzić jej zachowanie jako naganne, bo któż to widział występować przeciw komuś „z naszej sfery"? „Niezależnie od sytuacji porządni ludzie nie ciągają się po sądach". Nigdy się z tym werdyktem salonowego sądu nie zgodziła.

▶ A to nasza lampa z sypialni...

Na początku lat 60. autorka z matką odwiedziły Wilanów. Była to pierwsza ich wizyta w rodzinnym pałacu zamienionym na muzeum, od kiedy Beata Branicka, pod koniec 1944 roku, „przekręciła klucz w zamku i w akcie nadziei, mimo wszystko, zabrała go ze sobą".

„Tego dnia kupiłyśmy bilety i weszłyśmy jako zwykłe zwiedzające. Trudno opisać uczucia, jakie budzą się w sytuacji, gdy chodzi się po latach po swoim ukochanym domu, z którym łączą się najlepsze wspomnienia, i jednocześnie ma się wrażenie, że jest to całkowicie obce miejsce. Mama bardzo to przeżywała, co chwilę ściskała mnie za rękę i mówiła: »Popatrz, to ocalało, a ten obraz tu powiesili, a to nasza lampa z sypialni...«. Była bardzo poruszona i w którymś momencie osłabła z tych emocji. Akurat pod ścianą stało tam krzesło pracownicy muzeum, jednej z tych pilnujących porządku pań. Zwykłe krzesło, żaden zabytkowy eksponat. Mama przysiadła na chwilę na tym krzesełku i wtedy ta pracownica, która jak się okazało, szła za nami, zaczęła na nią krzyczeć. Mama nie miała nawet prawa usiąść – we własnym domu! Wyszłyśmy stamtąd natychmiast...".

Córka Beaty z Potockich Branickiej, żony ostatniego z Branickich, Anna Branicka-Wolska ,nie zawiodła swojego ojca, który powtarzał córkom, że wobec Polski jego rodzina ma zobowiązania podwójne. Po założeniu własnej rodziny, wychowaniu synów, zaangażowała się czynnie w pomoc internowanym i prześladowanym w stanie wojennym. Przyjaźniła się i wspierała ks. Jerzego Popiełuszkę i Barbarę Sadowską. Przez lata działała na rzecz potrzebujących, powołując fundację sprowadzającą niedostępne w Polsce leki i sprzęt medyczny z Zachodu. Została współzałożycielką organizacji niosącej pomoc sybirakom i Polskiego Towarzystwa Ziemiańskiego, którego celem jest nie tylko upamiętnianie historii ziemiaństwa, lecz także niesienie pomocy potomkom rodzin ziemiańskich, często do dziś żyjących w najskromniejszych, a wręcz urągających warunkach.

Jej matka, która tuż po I wojnie światowej, jako młoda mężatka prowadziła ochronkę dla blisko setki osieroconych dzieci, które wracały do kraju z tułaczki w Rosji, dając im także wykształcenie (podstawowe, ale i zawodowe, sama ucząc je religii) i wzorową opiekę medyczną, nauczyła ją, że praca na rzecz innych przynosi radość z niczym nieporównywalną.

„Z czystym sumieniem mogę powiedzieć, że niczego nie żałuję", wyznaje bohaterka tej historii na kartach swojej kolejnej książki wspomnieniowej, pisanej już w drugiej połowie życia, „i cieszę się, że choć straciliśmy majątek, to i tak rodzice wyposażyli mnie w życiu niezwykle bogato – mam na myśli zasady moralne, jakie mi wpoili i system takich, a nie innych wartości. To zawsze mi pomagało w trudnych chwilach...". Mimo iż tak dobrze poznała „smak ogołocenia, nędzy, niewoli, odrzucenia i pogardy", uważa, że miała szczęśliwe, ciekawe i pełne życie.

Jednak w książce „Dziewczyny z powstania", w której znajduje się opowieść o niej z czasów powstańczych, Anna Branicka-Wolska nie zawahała się podsumować: „Najlepsi nasi ludzie, najlepsi Polacy zginęli w Powstaniu Warszawskim. Po wojnie ich zabrakło [...]. To już nie jest to samo państwo i to już nie jest ten sam naród. Stary, wspaniały świat, w którym zostałam wychowana i którego byłam i chyba do dzisiaj jestem częścią, został unicestwiony. Wiele jeszcze czasu upłynie, nim to wszystko odrobimy".

Symbolicznie ukazuje tę prawdę scena w parku wilanowskim, w którym znalazła się z matką w chwilę po tym, jak nakrzyczała na nie pracownica muzeum. „Szłyśmy przez park, uspokajałam mamę, ale w sercu czułam chłód. Nagle zza zakrętu wyszło prosto na nas dwóch panów: dyrektor muzeum, Wojciech Fijałkowski, oprowadzający Melchiora Wańkowicza. Pan Fijałkowski był bardzo nieprzyjazny wobec naszej rodziny, ale Wańkowicz przystanął, uśmiechnął się, położył rękę na sercu i głęboko skłonił się przed moją matką. W jego spojrzeniu, w tym geście było wszystko: zrozumienie, współczucie, lojalność...". ■

_____

Cytaty (poza opisanymi w tekście) za: Anna Branicka-Wolska „Listy niewysłane", Łomianki 2012); Anna Branicka-Wolska „Miałam szczęśliwe życie. Ostatnia z Branickich", Współpraca Joanna Gliwa, Kraków 2015.

eprasa.pl 05def14ee0

Piotr Lisiewicz

Dziś fragmenty dwóch tekstów, które powinny należeć do klasyki znanej każdemu wykształconemu Polakowi. Pokazujące, jak bardzo mylimy się, myśląc, że rozumiemy metody, jakimi podporządkowuje sobie świat Moskwa. Nie, nie siła rosyjskiej armii, obszar czy liczba żołnierzy decyduje o potędze Rosji. Nieporównanie ważniejszym czynnikiem jest nasza słabość, wywoływana przez działalność rozkładową rosyjskiej agentury. Poniżej fragmenty tekstów Ryszarda Wragi „Zadanie emigracji polskiej" i Włodzimierza Bączkowskiego „Uwagi o istocie siły rosyjskiej". Gotowce pokazujące, jak powinniśmy reagować na obecne agresywne działania Putina.

Ryszard Wraga

Myśl kapitulacyjna wobec Rosji

W stosunku do Rosji można prowadzić jedynie politykę oporu. Polityka uległości doprowadza niezmiennie do ostatecznego wchłonięcia przez Rosję obcego organizmu państwowego czy narodowego, włącznie do zagłady biologicznej, zatarcia języka i kultury.

Myśl kapitulacyjna w stosunku do Rosji ma za sobą w naszych dziejach długą historię. Od paru wieków nie ma prawie pokolenia, w którym nie rodziły się idee porozumienia, oparcia, scalania z Rosją. Kapitulanci każdego pokolenia nie zważali na bezowocne rezultaty działalności swoich poprzedników, a zmuszeni do powoływania się na nich, dla dodania sobie otuchy a społeczeństwu wiary, celowo fałszowali historię, przypisując niepowodzenia, nieudolności Polaków, tylko nieporozumieniu ze strony społeczeństwa polskiego, jego wyłącznie błędom, a z reguły nie szukali przyczyn tych niepowodzeń tam, gdzie one są naprawdę ukryte, to znaczy po stronie Rosji [...].

Kapitulanci w dziejach Polski nigdy nie dążyli do rozpoznania rosyjskiego partnera, lecz wprost przeciwnie, robili wszystko, by otoczyć go mgłą tajemniczości, ukryć wobec narodu polskiego jego niewygodne dla polskiej polityki kapitulacyjnej cechy i przedstawić go w takim świetle, by sama idea kapitulacji stałą się wśród szerokich mas ludu polskiego popularna. Lud, bowiem, trzeba to stanowczo podkreślić, nigdy w owocność polskiej polityki kapitulacyjnej wobec Rosji nie wierzył, a jeżeli wpadał w stan bierny wobec okupacji rosyjskiej, to czynił to bezpośrednio i po prostu, bez żadnej koncepcji politycznej, broniąc praw i spraw najżywotniejszych, a w niczym nie ułatwiając wrogowi jego posunięć taktycznych.

Polityki kapitulacyjnej w stosunku do Rosji w ogóle stosować nie można, w szczególności nie może jej stosować naród polski. Istota bowiem państwowości rosyjskiej jest tego typu, że nie będąc krępowana wewnętrznymi względami czy oporami, nie uznaje żadnych kompromisów czy granic dla swej zaborczej polityki zewnętrznej, jeżeli nie jest skrępowana przez koniunkturę międzynarodową lub opór zewnętrzny. W stosunku do Rosji można prowadzić jedynie politykę oporu. Polityka uległości doprowadza niezmiennie do ostatecznego wchłonięcia przez Rosję obcego organizmu państwowego czy narodowego, włącznie do zagłady biologicznej, zatarcia języka i kultury.

Tak było i jest z narodami i państwami w swoim czasie relatywnie większymi i silniejszymi od Rosji. Jak Tatarzy, czy Ukraina, lub nie mniej silnymi, jak Polska. Tak było i jest z narodami mocnymi i zwartymi w swym poczuciu odrębności narodowej i duchowej, jak Gruzja czy narody azjatyckie. Wszystkie one, nie wyłączając narodów kaukaskich, narodów turkiestańskich, nie mówiąc już o Ukraińcach czy Białorusinach, w momencie ich podboju przez Rosję stały na wyższym od Rosjan stopniu kultury duchowej i materialnej. Jedne z tych narodów zmuszone zostały do polityki kapitulacyjnej przez wojenną siłę państwa moskiewskiego, inne znów wprowadziła na drogę kapitulacji błędna polityka własna lub fałszywość i przebiegłość dyplomacji moskiewskiej, z reguły nigdy niedotrzymującej traktatów, zobowiązań i przyrzeczeń. Raz wszedłszy na drogę ustępstw, nie były one w stanie zatrzymać się na drodze do zupełnego zaniku swej odrębności politycznej i narodowej [...].

Imperializm rosyjski – carski był brutalny, okrutny i barbarzyński, ale nie pozostawiał wątpliwości, że jest reakcyjny. Nie wchodził do Polski z biało-amarantowymi sztandarami, z portretami Kościuszki czy Mickiewi-

eprasa.pl 05def14ee0

cza, nie przystrajał swych sołdatów w polskie orły i rogatywki, nie wygłaszał rewolucyjnych czy socjalnych haseł. O swej chęci zniszczenia państwowości polskiej i narodu polskiego mówił otwarcie i, jeżeli się tak można wyrazić – uczciwie. Niósł ze sobą rusyfikację, deptał religię, rugował język. Wskutek tego, z punktu niejako, mobilizował przeciwko sobie opór wszechnarodowy, stwarzał pomiędzy sobą a narodem podbijanym przepaść, co pozwalało na konserwację sił duchowych i moralnych, bez większej obawy, że wróg przeniknie do nich i rozsadzi je od wewnątrz.

Imperializm sowiecki jest nie mniej, a nawet znacznie bardziej okrutny, brutalny, barbarzyński i reakcyjny, lecz nie występuje z hasłem prymitywnej rusyfikacji, lecz perfidnej sowietyzacji, głosi hasła ochrony kultury narodowej, tłamsząc i gwałcąc tę kulturę przez rozbijanie społeczeństwa na atomy i kolejne deprecjonowanie podstaw duchowych i kulturalnych. Paraliżuje społeczeństwo w drodze stopniowego zatruwania jego świadomości, fałszowania przeszłości i teraźniejszości, szerzenia wzajemnej nieufności i rozbijania solidarności.

_____

Jerzy Niezbrzycki (ps. Ryszard Wraga) „Rola i zadania emigracji polskiej", Rzym 1945.

Włodzimierz Bączkowski

Rosja podbija tych, którzy są w stanie rozkładu

Momentem najbardziej zastanawiającym jest fakt, że najmniejszy opór na długo zatrzymywał zwycięski podbojowy pochód Rosji, a najmniejszy, lecz prężny i zdrowy moralnie ośrodek państwowo-narodowy umiał trzymać w szachu o wiele potężniejszą Moskwę

[...] wojny zaborcze Rosji są najwłaściwszym przejawem potęgi tego kraju, analiza zaś tych wojen musi nas z konieczności prowadzić do wyłuskania tych elementów, które skupiają w sobie istotną treść siły moskiewskiej. Analizując jednak wojny zaborcze Rosji, przekonamy się że Moskwa z reguły podbijała narody bądź znajdujące się w stanie kompletnego upadku, bądź też nie stawiające większego oporu. Zatrzymamy się na paru przykładach.

Cesarstwo Kazańskie padło w chwili wewnętrznej słabości i izolacji dyplomatycznej, niezdolne do oporu poza obroną murów Kazania (1551), carstwo astrachańskie w ogóle nie stanowiło żadnego zorganizowanego organizmu państwowego (1556), Syberię podbijały ochotnicze watahy pioniera Jermaka (1581) – z kolei Czułkow, również rodzaj Pizzaro syberyjskiego, dokończył dzieła podboju Syberii do linii średniego Jenisieju, nie napotykając na opór, z jakim spotkali się konkwistadorzy amerykańscy (1584-1598). Tak samo zhołdowano ziemię Baszkirów (1586), ziemię Samojedów, wreszcie Tatarów, rozpylonych pomiędzy Obiem i Jenisiejem, ziemię Tunguzów i Jakutów. W tym samym czasie na zachodzie traktatem andruszowskim zdobyto Ukrainę zadnieprzańską walczącą na dwa fronty i opanowaną wewnętrzną anarchią (1667), a nieco później metodą lekkiej wyprawy myśliwskiej zagarnięto Kamczatkę (1703), ziemię Koriaków, na zachodzie część Finlandii i w r. 1772 pierwszą część osłabionej, zanarchizowanej, o przekupionej elicie, Polski.

Jako następna padła Gruzja, całkowicie bezsilna, trwająca w podziałach i zagrożona przez muzułmańską część Kaukazu (1801). Nie było też rzeczą trudną opanować Besarabię kosztem dalekiej potęgi Islamu oraz słabej Wołoszy i Mołdowy (1812) [...].

Jednocześnie momentem najbardziej zastanawiającym jest fakt, że najmniejszy opór na długo zatrzymywał zwycięski podbojowy pochód Rosji, a najmniejszy, lecz prężny i zdrowy moralnie ośrodek państwowo-narodowy umiał trzymać w szachu o wiele potężniejszą Moskwę. Złota Horda z XIV i początku XV w. panowała nad potężnym Księstwem Moskiewskim. [...]

Rola siły zbrojnej Rosji we wszystkich tych wydarzeniach występuje w świetle bladym, jako coś marginesowego, co będąc zawsze słabe, jednocześnie umie zwyciężać dzięki wspaniale układającym się okolicznościom ubocznym, przy których na czołowe miejsce wysuwa się czynnik uchwycenia odpowiedniego momentu oraz świadomego tworzenia dogodnego dla siebie układu stosunków. Stajemy w ten sposób przed zjawiskiem siły rosyjskiej, leżącej gdzieś poza formalną siłą militarną. ■

_____

Włodzimierz Bączkowski „Uwagi o istocie siły rosyjskiej", [w:] „Wschód–Orient. Kwartalnik poświęcony sprawom Wschodu", Warszawa, październik-grudzień 1938.
Tytuł pochodzi od redakcji „NP".

eprasa.pl 05def14ee0

Olga Doleśniak-Harczuk



WYJMIJ CIERŃ



„Święty Hieronim w pracowni”
Jan van Eyck



„Św. Hieronim na pustyni”
Andrea Mantegna



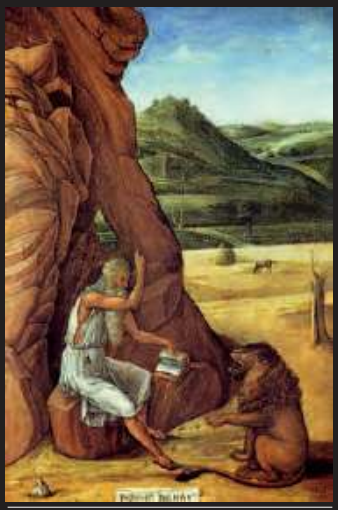
„Święty Hieronim w celi”
Albrecht Dürer

W ikonografii św. Hieronim ze Strydonu (331/347–420) jest przedstawiany jako ojciec Kościoła, pokutujący eremita, uczony. Niezależnie jednak od epoki, stylu artysty mierzącego się z motywem św. Hieronima i tego, czy patrzymy na brodatego starca na pustyni czy pochylonego nad tłumaczeniem Biblii uczonego z kardynalskim kapeluszem, świętemu zazwyczaj towarzyszy lew. Zwierzę przypisywane św. Markowi Ewangeliście i symbolizujące Chrystusa Zmartwychwstałego, przy świętym Hieronimie kurczy się pokornie, usuwa na bok, zerka, a czasem nawet daje susa za najbliższe drzewo, tak że widać tylko pompon lwiego ogona.

eprasa.pl 05def14ee0

Z ŁAPY LWA





„Św. Hieronim na pustyni”
Giovanni Bellini



„Hieronim”
Lucas Cranach starszy



„Pokutujący św. Hieronim”
mistrz Saint Gilles



„Pięć scen z życia apostołów Piotra i Pawła”
Lorenzo Veneziano

fot. Olga Doleśniak Harczuk (4), Wikimedia (3)

eprasa.pl 05def14ee0

Król zwierząt jako oddany towarzysz świętego człowieka, odtwarzany z wyobraźni artysty z mniejszym lub większym podobieństwem do oryginału, raz ukazany w postawie proszącej, innym razem niczym ostoja spokoju, jeszcze w innym – ze wzrokiem pokornie skierowanym na św. Hieronima. Czy Jan van Eyck, mistrz Saint Gilles, Lucas Cranach starszy i inni kiedykolwiek widzieli żywego lwa? W 1350 roku Francesco Petrarca na papieskim dworze w Awinionie widział co najmniej jednego lwa, około 1400 roku możni książęta miasta Geldern trzymali lwy, które pożerały 300 owiec rocznie, już XIII-wieczna Florencja była istną „fabryką lwów", a los tych zwierząt z czasem zaczęto ściśle łączyć z losem miasta i dynastii medycejskiej. Do Florencji zaś lwy dotarły z Republiki Weneckiej [Karol Łukaszewicz, „Ogrody zoologiczne. Wczoraj-dziś-jutro". Wiedza Powszechna, Warszawa 1975].

W 1515 roku Leonardo da Vinci skonstruował mechanicznego lwa dla francuskiego króla Franciszka I Walezjusza, zwierz miał trafić na dwór i zabawiać władcę sztuczkami. W 500. rocznicę urodzin włoskiego geniusza, naukowcy i historycy zrekonstruowali ten renesansowy „efekt specjalny". Dla Leonarda lwia fizjonomia nie miała żadnych tajemnic. A dla malarzy? Czy gdyby mistrz Saint Gilles choć raz ujrzał z bliska lwa, namalowałby go w ten sam sposób?

„Święty Hieronim w pracowni"

Jan van Eyck

Jan van Eyck pokazuje św. Hieronima jako uczonego męża w stroju kardynalskim. W celi świętego nie brakuje zarówno symbolicznych nawiązań do atrybutów św. Hieronima jako ojca Kościoła i związanej z nim lwiej legendy, jak i do ówczesnych realiów oraz osoby samego zleceniodawcy obrazu świętego, kardynała Nicollo Albergatiego. Pod stopami zatopionego w księgach św. Hieronima leży lew. Według legendy Jakuba de Voragine, średniowiecznego włoskiego hagiografa, arcybiskupa Genui i błogosławionego Kościoła katolickiego, lew towarzyszący św. Hieronimowi przylgnął do niego z wdzięczności za ulżenie w cierpieniu. Kulejący lew przybył do klasztoru, gdzie przebywał św. Hieronim. Ten w przeciwieństwie do mieszkających z nim mnichów nie zląkł się zwierzęcia, tylko obejrzał wątle zwisającą łapę i usunął tkwiący w niej cierń. Odtąd lew towarzyszył ojcu Kościoła ze Strydonu, a na licznych wizerunkach świętego występuje jako jego zwierzęcy atrybut. U van Eycka lew wygląda na zrelaksowanego. Zresztą i u św. Hieronima pędzla Van Eycka na próżno szukać otoczki świętej ekstazy. Ojciec Kościoła przypomina tu bohatera z obrazu „Portret mężczyzny w czerwonym turbanie" (1433), którego wyraz twarzy znawcy zwykli określać mianem „intelektualnej pewności siebie". I coś w tym jest. Święty Hieronim van Eycka taki właśnie jest. A jego pewność siebie udziela się również jego lwu.

„Św. Hieronim na pustyni"

Andrea Mantegna

Młody Mantegna ukazał ojca Kościoła jako sędziwego uczonego z różańcem w ręku, kardynalski kapelusz odłożony na bok. Zamiast zasobnej w księgi, wyczarowanej z niderlandzkim zamiłowaniem do szczegółu van Eycka pracowni, patrzymy na pustelnika siedzącego na kamieniu przed swoją jaskinią. Zza bosych stóp świętego wyłania się głowa lwa, którego wzrok (gdybyśmy nie znali natury jego przywiązania do mędrca siedzącego na skale) mógłby powiedzieć: „coś zbroiłem". To zapewne mylne wrażenie. Lew ma w oczach nabożny podziw, a nie psotę. W XV wieku motyw św. Hieronima z lwem był szczególnie popularny w kręgach uczonych i humanistów Padwy i Wenecji. Andrea Mantegna namalował ten obraz w wieku 17–20 lat i był on jednym z jego pierwszych dzieł. Twórczością artysty, który tak wdzięcznie potrafił ukazać zerkającego lwa, inspirował się m.in. Albrecht Dürer uważany za najwybitniejszego artystę niemieckiego renesansu.

„Święty Hieronim w celi"

Albrecht Dürer

Albrecht Dürer (1471–1528) przedstawił blisko 66 lat po Mantegnie swoją wersję św. Hieronima w celi. Mowa o grafice, a nie o wizji malarskiej powstałej wcześniej, już w 1495 ro-

eprasa.pl 05def14ee0

ku, ponieważ ta pierwsza jeszcze nie do końca uwolniła dürerowski potencjał puszczania oka do odbiorcy. Lew z 1495 roku to jeszcze młody okaz, który bacznie przygląda się św. Hieronimowi eremicie. Podobnie jak u Mantegny jego wzrok ma rys szelmowski. Lew z grafiki (1511) ogromnych rozmiarów, ze zmrużonymi oczami, wyglądający sędziwie, z wytartym, kędzierzawym futrem i zadowolonym, jakby pogodnym wyrazem pyska, leży tuż obok śpiącego psa. Kiedy przyjrzymy się światłu wpadającemu przez okienne szybki, zrozumiemy, dlaczego lew mruży oczy. Jego świętemu panu światło nie przeszkadza, pisze. Kardynalski kapelusz zawiesił na kołku, pod oknem czaszka, przed nim święta księga. Tu naprawdę się pracuje. Oryginał znajduje się w Kupferstichkabinett w Dreźnie.

„Św. Hieronim na pustyni"

Giovanni Bellini

Ale to wcale nie Andrea Mantegna wywarł najsilniejszy wpływ na twórczość Dürera, spośród mistrzów weneckich największy udział w kształtowaniu jego estetycznych wyborów miał Giovanni Bellini (1427/30–1516), szwagier Andrei Mantegny. Bellini, zgodnie z ówczesną modą, też chętnie sięgał po motyw świętego z lwem. Najbardziej wzruszająca jest jego wersja pierwszego spotkania eremity z cierpiącym zwierzęciem. Święty Hieronim za chwilę wyciągnie cierń z ufnie wyciągniętej do przodu łapy, lew karnie siedzi na tylnych łapach, pysk otwarty, wzrok utkwiony w uniesioną dłoń pustelnika. Początek przyjaźni, oddania, więzi, która zainspiruje kolejnych malarzy. Bellini namalował ten obraz w 1460 roku.

„Hieronim"

Lucas Cranach starszy

Sam motyw lwa proszącego o usunięcie ciernia, pokornie przychodzącego do świętego, inspirował wielu artystów. Wspięty na łapach lew u Lucasa Cranacha starszego (1472–1553) jest tak miły oku, że mógłby stanowić element ilustracyjny książeczek dla dzieci. Ten wizerunek pochodzi z 1515 roku, niebieskie tło, brodaty św. Hieronim w płaszczu kardynalskim, z kapeluszem zsuniętym na plecy delikatnie opatruje lwią łapę. Pysk zwierzęcia ma w sobie coś z pluszowej zabawki. Pierwsza wzmianka o tym wizerunku znalazła się w spisie z 1756 roku, kiedy podano inwentaryzacji zasoby skarbca kościelnego w Wiedniu.

„Św. Hieronim w domu"

Z warsztatu Lucasa Cranacha starszego

Inaczej już w warsztacie Cranacha potraktowano motyw świętego i lwa pięć lat później. Święty Hieronim jest odmłodzony, nie ma brody, siedzi w jasnej celi, lew tuż obok i jak się przypatrzeć, to oczy zwierzęcia mają podobną obwódkę jak w 1515 roku. Tylko bardziej widoczną, skośną. Tu zwierzę zostało też fantazyjnie ufryzowane, lwia grzywa przywodzi na myśl lekko rozczesane peruki Ludwika XIV.

„Pokutujący św. Hieronim"

mistrz Saint Gilles

40 lat później artysta nazywany umownie mistrzem Saint Gilles dał św. Hieronimowi przedziwnego lwiego towarzysza. Pokaźnych rozmiarów, prawie bezkształtny zwierz o niemal ludzkich rysach leży przy krzyżu i wpatruje się w św. Hieronima. Spojrzenie można spokojnie uznać za czułe. Mistrzowi Saint Gilles przypisywano delikatną, późnogotycką manierę, tworzył prawdopodobnie we Francji i Niderlandach, a pseudonim zawdzięcza niemieckiemu muzealnikowi i historykowi, Maxowi Jakobowi Friedländerowi, który zrekonstruował część jego anonimowych dzieł.

„Pięć scen z życia apostołów Piotra i Pawła"

Lorenzo Veneziano

I na koniec lwy spoza tematu, lecz pozostające w symbolice chrześcijańskiej. Dzieło weneckiego artysty Lorenzo Veneziano będące częścią większej kompozycji ilustrującej sceny z życia apostołów Piotra i Pawła. Na obrazie datowanym na 1369 rok widzimy złożenie do grobu św. Piotra. Ciało owinięte całunem podtrzymują dwa lwy o strapionych minach. Lwy jako zapowiedź zmartwychwstania. Moc lwa dopełniająca ducha baranka. ■

eprasa.pl 05def14ee0



Krzysztof Karnkowski

Śpiew, taniec i... kiszona kapusta



Wysokobudżetowe teledyski, międzynarodowa popularność i miłość fanów to tylko wierzchołek góry lodowej. Codzienność k-popu to ciężka praca – mordercze treningi, wymuszona rezygnacja z życia osobistego, bezwzględna rywalizacja. Tylko dla wybrańców przekłada się to na dopuszczenie do scenicznego debiutu, a dla największych szczęściarzy – karierę.

K-pop, czyli koreański pop, od kilku lat skrada serca nastolatek na całym świecie. Pozostałby jednak zapewne kolejną mało istotną dla starszych młodzieżową, przelotną ciekawostką, gdyby nie media społecznościowe. To tam niczego niespodziewający się dorośli nagle zderzają się z całkiem nieźle skoordynowanymi grupami fanów, którzy potrafią nawet wymusić w potężnych mediach przeprosiny dla swoich idoli. Wydaje się jednak, że inaczej niż w klasycznych subkulturach sama muzyka ma znikomy wpływ na zachowanie fanek, które kształtuje raczej współczesna popkultura jako taka. To temat na inny tekst, tu spojrzymy na sam k-pop, którego nie warto bynajmniej postrzegać przez pryzmat słuchaczek. Jest to bowiem zjawisko kulturalne, społeczne i – do pewnego stopnia – polityczne.

Od muzyki do kimchi

Naszą opowieść dość zaskakująco zaczniemy od... kapusty, i to bez żadnych przenośni. Najbardziej znaną na świecie koreańską potrawą jest bowiem kimchi, czyli kapusta pekińska kiszona z czosnkiem, ostrą pastą paprykową i mnóstwem innych składników według specjalnej receptury, noszącej tę samą nazwę. Jeszcze na początku XXI wieku, gdy sushi zdążyło w Polsce przyjąć się na tyle, by z przysmaku snobów i ku ich utrapieniu stać się wszechobecnym nawet w tańszej, robionej dla supermarketów wersji, jedzeniem dość u nas popularnym, o kimchi nie słyszał prawie nikt. Sporadycznie pojawiało się w nielicznych sklepach z azjatycką żywnością, można też było próbować zrobić je samemu według dostępnych w internecie przepisów. Raptem dwa lata temu na rynku pojawiło się pierwsze kimchi robione w Polsce, dziś zaś można je kupić prawie wszędzie, w znośnej cenie, a rodzimi producenci nie ograniczają się do powtarzania koreańskiego przepisu, udanie eksperymentując z bardziej kojarzącymi się z Polską odmianami kapusty.

Korea Południowa jest państwem, które do perfekcji opanowało sztukę tworzenia narzędzi tzw.

eprasa.pl 05def14ee0



FOT. MAT. PRAS.

soft power. Globalna ekspansja tego kraju, nazywana „hallyu", koreańską falą, trwa od początku lat 90. Na zjawisko to składa się wiele składowych – od kuchni przez promocję języka i kultury aż do seriali telewizyjnych i muzyki popularnej. Wszystkie te dziedziny cieszą się wsparciem państwa, zaś sam k-pop jest w ostatnich latach jednym z filarów eksportu i całej gospodarki. Popularność popkultury nakręca sprzedaż innych towarów nie tylko w kraju, lecz także za granicą. Być może w tym tkwi tajemnica wyjątkowej tolerancji Koreańczyków wobec nielegalnego dostępu do tamtejszej produkcji filmowej i telewizyjnej.

Wróćmy jednak do muzyki. Tylko w jednym serwisie streamingowym, Spotify, przez 20 dni lutego najpopularniejszego koreańskiego boysbandu, BTS, słuchano prawie 28 mln razy. Profil grupy obserwuje ponad 29 mln fanów. Najpopularniejsza w ostatnich latach grupa dziewczęca Blackpink w tym samym czasie doczekała się „tylko" 17 mln odtworzeń, mając ponad 19 mln śledzących ją w tym serwisie fanów. Jednak już trzy najpopularniejsze teledyski dziewczyn na YouTube mogły pochwalić się oglądalnością grubo powyżej jednego miliarda odsłon. Tu przypomnieć trzeba, że po raz pierwszy taką nieprzewidzianą pierwotnie przez liczniki serwisu, przebił osiem lat temu Psy, również wywodzący się z Korei artysta, który jako pierwszy odniósł tak wielki międzynarodowy sukces z pamiętnym „Gangnam style". Rok później okazało się, że nie jest to już tylko jednorazowa ciekawostka, gdy tytuł teledysku roku zdobyły dziewczyny z Girls Generation, w tamtych czasach uważanego za najlepszy żeński zespół z Korei Południowej. Później fala ruszyła na dobre wraz z sukcesami kolejnych gwiazd.

▶ Mnogość wpływów i inspiracji

Od strony muzycznej k-pop łączy wpływy bardzo wielu gatunków muzyki popularnej – znajdziemy w nim elementy amerykańskiego popu, rapu, R&B, czasem nawet rocka czy mocno wygładzonego meta-

eprasa.pl 05def14ee0

lu. Wszystko to wymieszane jest z wpływami piosenki japońskiej, łączącej melodyjność i słodycz z perfekcjonistycznym kopiowaniem zachodnich wzorców. Mnogość wpływów i inspiracji k-pop odziedziczył po swoim poprzedniku – trocie, muzyce popularnej, tworzącej się jeszcze w czasach japońskiej okupacji półwyspu i popularnej na Południu niemal przez cały XX wiek. Na k-popowej scenie równie ważny co muzyka jest taniec, a teledyski pochłaniają olbrzymie, lecz zwracające się z nawiązką budżety, stając się tym samym głównym narzędziem koreańskiej fali. Część utworów brzmi bardzo nowocześnie, czasem wręcz narzucając kierunek artystom z innych krajów, inne niczym nie różnią się od klasyków pop z lat 80. Wszystko to zawiera również bardzo duży, czasem zagłuszający wszystkie inne składniki element erotyzmu. Ostatecznie targetem tego produktu na rynku lokalnym są przecież, w zależności od płci uczestników danego projektu, dorastające dziewczęta lub chłopcy i ukradkiem wzdychające do ich idoli matki i ojcowie. Trochę inaczej rzecz wygląda na rynku międzynarodowym, gdzie raczej fanki, niż fani, swym uwielbieniem obdarzają zarówno ładnych chłopców z kolejnych modnych grup, jak i dziewczyny, będące dla nich obiektem podziwu i wzorcem. Czasami prowadzi to zresztą do absurdalnych sytuacji, gdy wielbicielki gatunku, mające męczący dla innych użytkowników sieci nawyk kompulsywnego opatrywania swoich wpisów na dowolne, również poważne, tematy tzw. fancamami (krótkimi filmami ukazującymi ujęcia układów tanecznych gwiazd), swoje nieraz feministyczne uwagi ilustrują fragmentami mocno seksualizujących artystki materiałów wideo i nie widzą w tym żadnej sprzeczności.

▶ Ciemne strony k-popu

Wysokobudżetowe teledyski, międzynarodowa popularność i miłość fanów to jednak tylko wierzchołek góry lodowej. Codzienność k-popu to ciężka praca w systemie nazywanym brutalnie „ekstremalnym zarządzaniem artystami" – mordercze treningi, wymuszona rezygnacja z życia osobistego, bezwzględna rywalizacja (będąca zresztą stałym elementem życia tamtejszej, coraz bardziej sfrustrowanej młodzieży). Tylko dla wybrańców przekłada się to na dopuszczenie do scenicznego debiutu, a dla największych szczęściarzy – karierę. Równie trudną co wcześniej drogą. Stąd zaskakująco wiele w tym pozornie cukierkowym świecie samobójstw. Tylko w ostatnich latach fani pożegnali m.in. Jonghyuna z bardzo popularnej grupy Shinee, piosenkarkę i aktorkę Goo Ha-ra i jej przyjaciółkę Sulli, a lista ta, pełna osób młodych i na pozór mających wszystko, nie jest przecież ani kompletna, ani zamknięta. Wiele z tych zjawisk bardzo trafnie pokazał nakręcony na początku ubiegłej dekady koreański horror „White. Melody of the curse", w którym obserwujemy niemogącą zrobić kariery przeciętną grupę, niszczoną przez własne ambicje, a najgroźniejszym duchem okazuje się tu duch współzawodnictwa.

Czasem problemem są też fani. Niekiedy prześladują uznawanych za konkurencję dla ich idoli wykonawców, zdarzało się na przykład, że pod pretekstem miłej tradycji poczęstunku od publiczności próbowano kogoś otruć. Artystom zdarza też paść ofiarą zmasowanego hejtu. Powody wskazujące na różnice kulturowe między szeroko pojętym Zachodem a wciąż konserwatywną Koreą mogą szokować zagranicznych fanów. Irene z girlsbandu Red Velvet spotkała się z potężną krytyką, gdy pochwaliła się publicznie lekturą feministycznej koreańskiej powieści współczesnej, zaś Lisa z Blackpink już w tym roku padła ofiarą nagonki dlatego, że pochodzi z Tajlandii. Korea, idealizowana często przez fanów k-popu, wciąż pozostaje krajem pełnym rasizmu i z bardzo skostniałą strukturą społeczną, w której kobiety i młodzież nie mają za wiele do powiedzenia.

Fani poza Koreą kochają swoich idoli, jednak w swej masie niekoniecznie przejmować chcą lokalny system wartości. Część z nich drażni przywiązanie do chrześcijaństwa niektórych wykonawców (pamiętajmy, że na Dalekim Wschodzie rozmaite formy chrześcijaństwa są dziś atrakcyjne również dla przedstawicieli elit jako alternatywa dla lokalnych religii, co znajduje odbicie w kulturze; to jednak oddzielny temat). Miłość ta jest jednak bezwzględna, gdy ktoś skrytykuje ich ukochane gwiazdy, zwłaszcza zaś ich wygląd. Rok temu przekonała się o tym para prezenterów TVN, która wyśmiewała wybór w jednym z rankingów mało męskiego w ich opinii członka BTS Jungkooka na najprzystojniejszego mężczyznę na świecie. Co gorsza, w ilustrującym tę wiadomość reportażu chłopaka pomylono z kolegą z zespołu. Afera trwała kilka dni i skończyła się przeprosinami ze strony stacji. Z kolei na Twitterze fanki bardzo źle zniosły krytyczny wpis pisarza Jacka Piekary, który musiał czytać setki komentarzy, w dużej części zresztą całkowicie niezrozumiałych. Za nadwrażliwość fanów nie należy jednak winić gatunku muzycznego – który na swoje nieszczęście stał się już w jakimś stopniu jej symbolem w mediach społecznościowych – lecz fatalną kondycję psychologiczną dużej części młodzieży. Mam nadzieję, że w tym tekście udało mi się naświetlić przynajmniej część zjawiska, pełnego zarówno jasnych, jak i bardzo ciemnych kolorów, z którego obecnością w popkulturze trzeba się w końcu oswoić. ■

eprasa.pl 05def14ee0

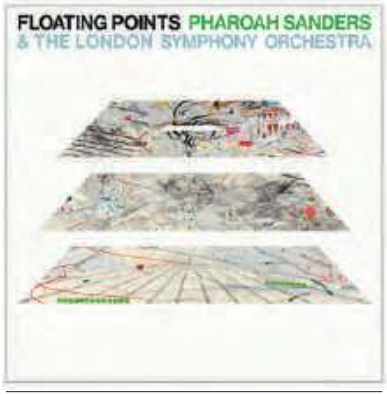
Marek Kalinowski

Ponad granicami

Spotkanie legendy jazzu Pharoaha Sandersa z mistrzem elektroniki Floating Points oraz London Symphony Orchestra musiało zaowocować płytą niezwykłą. Album „Promises" nie tylko łączy pokolenia, lecz także zaciera granice między muzycznymi gatunkami.

Granice w muzyce nie są potrzebne, to pierwsza rzecz, która przychodzi do głowy po odsłuchu albumu „Promises". Konwencje i gatunki to tylko nasz zabieg myślowy, którym często na siłę staramy się uporządkować rzeczywistość. Najciekawsze rzeczy powstają zaś wówczas, gdy przekraczają ustalone ramy, wymykają się narzuconym porządkom, swobodnie dryfując w nieznanym sobie i nam kierunku. Tak właśnie dzieje się podczas spotkania legendy jazzu Pharoaha Sandersa z geniuszem muzyki elektronicznej Samem Shepherdem (znanym jako Floating Points) oraz jednym z najwspanialszych zespołów świata – London Symphony Orchestra.

Pomysłodawcą nagrań jest osiemdziesięcioletni saksofonista Pharoah Sanders, postać, której fanom jazzu nie trzeba przedstawiać. Związany przed laty z orkiestrą Sun Ra, u boku Johna Coltrane'a budował podwaliny pod nowy kierunek myślenia o muzyce – free jazz. Debiut Floating Points z 2015 roku musiał zrobić na nim ogromne wrażenie, skoro po dziesięciu latach przerwy Sanders zaproponował Samowi Shepherdowi wspólne nagrania.



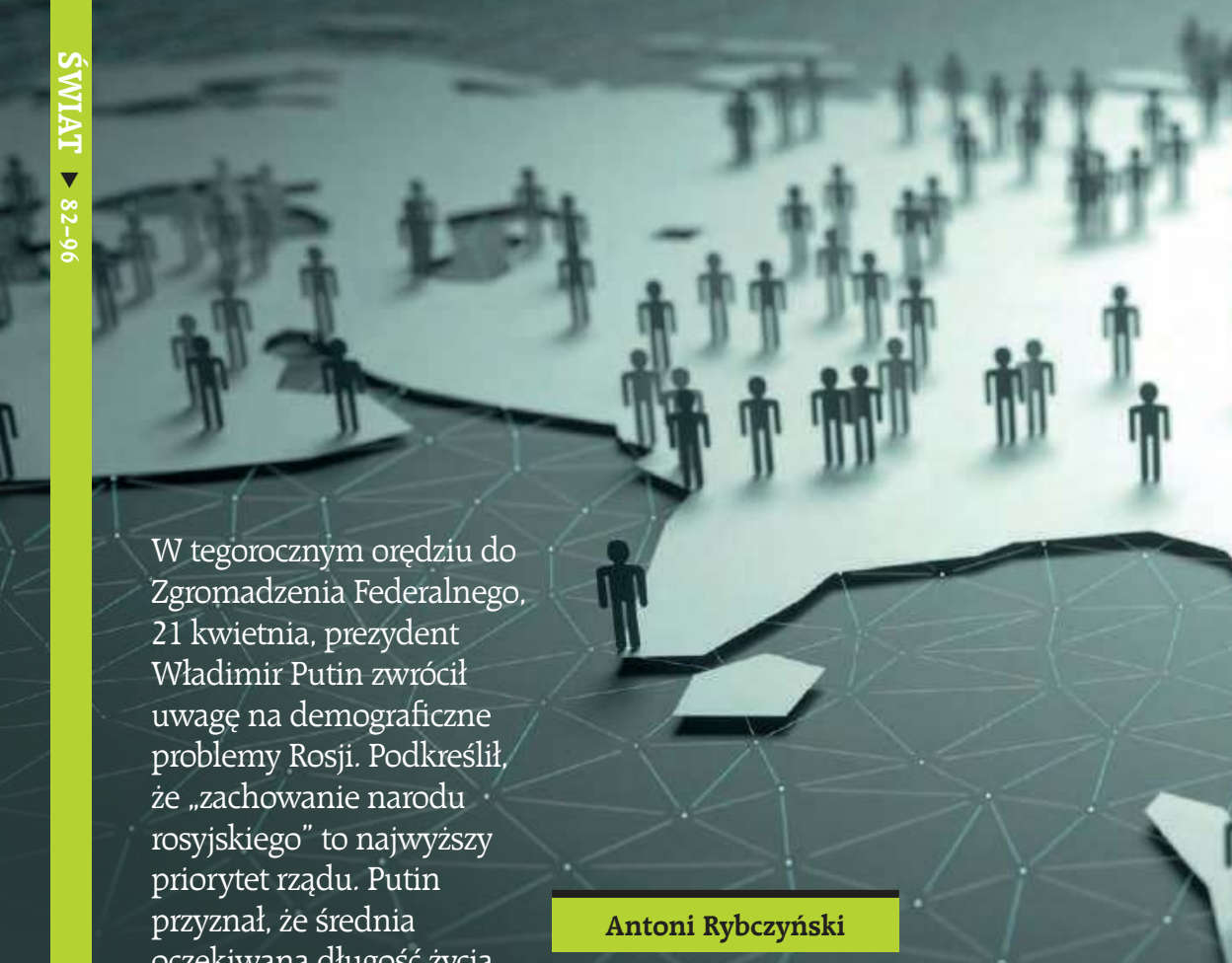
Floating Points, Pharoah Sanders, London Symphony Orchestra, PROMISES, Luaka Bob

„Promises" to album nie tylko łączący muzyczne gatunki, lecz także pokolenia. Sam Shepherd wiekowo mógłby być przecież wnukiem Sandersa, a choć poruszają się w zupełnie innej przestrzeni gatunkowej, łączy ich w gruncie rzeczy bardzo podobne myślenie o muzyce opartej na emocjach. Nie jest więc niczym dziwnym, że dla klasycznie wykształconego Shepherda, Sanders jest idolem, jedną z ważniejszych muzycznych inspiracji, a sytuacja, w której legendarny saksofonista nie tylko dostrzega jego twórczość, lecz zwraca się jeszcze z propozycją nagrania wspólnej płyty, okazuje się spełnieniem marzeń.

Sanders oddał młodemu twórcy zbudowanie ram kompozycyjnych, choć wydaje się, że to jego saksofon prowadzi główną ścieżkę narracyjną. Z pewnością jest to jednak zupełnie inna gra niż ta, którą pamiętamy z dawnych nagrań z Coltrane'em. Nie spodziewajmy się efektownej popisowości, sprawdzania granic instrumentu. Przeciwnie, to nagrania minimalistyczne, a gra jest niezwykle powściągliwa, żaden z tych wybitnych artystów nie czuje potrzeby, by zapanować nad resztą czy choćby na chwilę skupić na sobie szczególną uwagę. To muzyka medytacyjna, jakby skrojona przez otaczającą nas rzeczywistość. Płynie wolnym nurtem, bez fanfar, w oczekiwaniu na to, co nastąpi, jakby pogodzona z losem.

Choć album jest podzielony na dziewięć części, odczytujemy je jako jedną kompozycję. W trakcie odsłuchu łatwo nawet zgubić przejścia między kolejnymi odcinkami tej niezwykłej opowieści. Motywy kreślone saksofonem wracają w kolejnych odsłonach, wciąż ewoluując. Sanders nagrywał je wspólnie z Shepherdem w Los Angeles. Dopiero później dograne zostały ścieżki orkiestry symfonicznej. Nie jest to jednak w żadnym razie sztuczny dodatek. Klawesyn i smyczki dodają utworom ciepłego tła, dając przeciwwagę surowej elektronice i ostrym dźwiękom saksofonu, aby wreszcie zabrzmieć w całej pełni w trakcie fragmentu szóstego. To one też mają decydujący głos w części dziewiątej, zamykającej album. ■

eprasa.pl 05def14ee0



W tegorocznym orędziu do Zgromadzenia Federalnego, 21 kwietnia, prezydent Władimir Putin zwrócił uwagę na demograficzne problemy Rosji. Podkreślił, że „zachowanie narodu rosyjskiego" to najwyższy priorytet rządu. Putin przyznał, że średnia oczekiwana długość życia zmniejszyła się podczas pandemii, lecz obiecał pokonać trudności. Faktycznie, Rosja prowadzi wśród krajów świata pod względem zwiększonej śmiertelności w czasie epidemii koronawirusa. Problem w tym, że covid nie jest jedynym czy nawet głównym źródłem demograficznego kryzysu w Rosji.

Antoni Rybczyński

Jak wymiera Rosja

eprasa.pl 05def14ee0



FOT. ADOBE STOCK

eprasa.pl 05def14ee0

Demograficzny kryzys w Rosji zaczął się już sporo wcześniej przed pandemią koronawirusa i wynika w dużej mierze z polityki reżimu. Należy przypomnieć, że na początku 2000 roku – gdy władzę przejmował Putin – w Rosji mieszkało około 147 mln ludzi. Dwadzieścia lat później jest ich o 0,8 mln mniej. Może ktoś powiedzieć, że z tym problemem boryka się cały rozwinięty świat. Problem w tym, że Rosja dostała we wspomnianym okresie dwa poważne bonusy demograficzne: aneksję Krymu z jego ludnością oraz imigrację zarobkową głównie z Kaukazu i Azji Środkowej. Rosyjscy eksperci oczekują procesu depopulacji co najmniej przez następną dekadę.

Balast historii i grzech teraźniejszości

„The New York Times" donosi, że od kwietnia do grudnia 2020 roku wzrost śmiertelności w Rosji wyniósł aż 28 procent. Wzrost umieralności jest wyższy niż w USA i większości krajów europejskich. W świetle tych liczb trudno poważnie traktować twierdzenia Putina o tym, że Rosja lepiej od innych krajów radzi sobie z pandemią. Państwowa agencja statystyczna Rosstat opublikowała na początku lutego bieżącego roku dane demograficzne za rok 2020. Dane porażające, bo wynika z nich, że w ubiegłym roku w Rosji miał miejsce największy od 2005 roku ubytek ludności. Główne powody to zwiększona śmiertelność oraz spadek napływu migrantów. Oczywiście na oba te czynniki wpływ miała pandemia koronawirusa. Do tego jednak doszła najniższa od dwóch dekad liczba urodzeń. Federacja Rosyjska liczy dziś 146,2 mln obywateli. To najmniej od początku 2014 roku. Gdyby nie aneksja Krymu z 2,3 mln mieszkańców, byłoby jeszcze gorzej.

Zgodnie z opublikowanymi przez Rosstat danymi w 2020 roku w Rosji zmarło 2,1 mln osób. Naturalny ubytek ludności wyniósł 689 tys., co stanowiło dwukrotne przekroczenie wskaźnika z roku 2019. Poważne następstwa pandemii można przypisać niskiej jakości służby zdrowia i bagatelizowaniu wirusa. W 2020 roku spadła liczba urodzeń – do 1,44 mln z 1,49 mln w 2019 roku, co jest najniższym wynikiem od 2002 roku. Napływ migrantów, około 100 tys. osób, wyraźnie osłabł w porównaniu z latami wcześniejszymi (kiedy to notowano ich powyżej 200 tys.) z uwagi na rozmaite restrykcje spowodowane pandemią. Jedynym stabilnym pozytywnym trendem demograficznym na przestrzeni ostatnich 20 lat jest wzrost średniej długości życia Rosjan z 65 do 73,4 roku, widoczny w szczególności u mężczyzn – z około 59 do ponad 68 lat (u kobiet – z 72 do 78 lat).

Kurczenie się liczby ludności Rosji wynika z dwóch podstawowych czynników. Jeśli chodzi o pierwszy, to trudno mówić o winie Putina. Obecnie na rynek wchodzą prawnukowie „wojennego pokolenia", mamy do czynienia z kolejnym zniżkowym cyklem po okresie II wojny światowej, która przyniosła ogromne straty ludzkie. Spadek liczby urodzin wynika z mniejszej liczby kobiet w wieku rozrodczym należących do pokolenia urodzonego w okresie niżu demograficznego lat 90. XX wieku. Liczba urodzeń spada, bo stosunkowo małe pokolenie kobiet urodzonych w latach 90. XX wieku osiągnęło wiek reprodukcyjny. Drugi czynnik to nadzwyczaj wysoki wskaźnik śmiertelności wynikający m.in. z alkoholizmu, epidemii HIV/AIDS oraz złej opieki zdrowotnej. W latach 2016–2017 odnotowano więcej zgonów niż urodzeń, ale powstały deficyt wypełniali z nadwyżką imigranci. W 2018 roku było już ich zbyt mało. I taki trend jest do dziś.

Fatalna sytuacja w służbie zdrowia wpływa z kolei na wzrost liczby zgonów. Oprócz zwijania opieki medycznej na prowincji mamy do czynienia z lekceważeniem epidemii HIV/AIDS. Ani na poziomie centralnym, ani regionalnym nie ma tak naprawdę strategii walki z epidemią. Rosja utraciła większość międzynarodowej pomocy dla programów walki z HIV i nie umie zastąpić ich profilaktyką finansowaną z własnego budżetu. Nie da się wszystkiego zrzucić na zjawiska z przeszłości, na które obecna władza nie miała wpływu. Nie może być wystarczającego poziomu urodzeń przy tak powszechnym zjawisku aborcji. Aborcji – dodajmy – finansowanych przez państwo.

Nie rodzą, ze wsi uciekają

Państwowe projekty mające stymulować przyrost naturalny (m.in. „kapitał macierzyński", który od 2020 roku rozszerzono także na pierwsze dziecko) czy przyciągać do Rosji nowych mieszkańców, przyniosły jedynie ograniczone rezultaty. Na decyzje Rosjan dotyczące powiększenia rodziny wpływają złe perspektywy ekonomiczne, notowany od wielu lat spadek realnych dochodów oraz rosnący pesymizm obywateli odnośnie do przyszłości kraju. Spadek realnych dochodów w latach 2014–2020 wyniósł ponad 11 procent. Szczególnie drastycznie wygląda to na tle wzrostu realnych dochodów w latach 2000–2013

eprasa.pl 05def14ee0

o około 300 procent. Wyraźnie widać związek liczby urodzeń z sytuacją socjalno-ekonomiczną. Gdy ta się poprawiała, rosła liczba dzieci w Rosji. I na odwrót. Obecny trend spadkowy zaczął się w 2015 roku. Spadek urodzeń najbardziej widać w grupie kobiet rodzących swoje pierwsze dziecko. To głównie efekt pogarszającej się sytuacji ekonomicznej oraz wzrostu poczucia niestabilności i zagrożenia. Na pewno przezwyciężeniu złych trendów demograficznych nie pomoże przedłużający się kryzys gospodarczy, odczuwalny spadek realnych dochodów Rosjan i pogłębiające się na skutek pandemii koronawirusa poczucie niepewności i pesymistyczne nastawienie do przyszłości (widać to szczególnie w młodym pokoleniu Rosjan).

Teoretycznie państwo ma z czego dokładać swym obywatelom. Rezerwy Funduszu Narodowego Dobrobytu sięgnęły 13 bln rubli (niemal 170 mld dolarów). Rezerwy w złocie i obcych walutach to niemal 600 mld dolarów. Do tego zadłużenie państwa wynosi zaledwie 19 proc. PKB. Ale skoro Kreml nie zdecydował się pomóc finansowo – choćby w postaci czegoś w rodzaju tarcz finansowych w Polsce – w ciągu ostatniego roku, to trudno oczekiwać, że zrobi to teraz. Zresztą szczęściem Rosji w pandemicznym nieszczęściu okazał się dużo mniejszy niż w krajach rozwiniętych Zachodu udział sektora usług (najbardziej odczuwającego lockdown) w gospodarce i PKB kraju.

Jednak współczynnik dzietności spadł w Rosji do 1,504 dziecka na kobietę w wieku rozrodczym. Tymczasem aby ludności w Rosji nie ubywało, musiałby wynosić 2,1. W 2018 roku było to 1,579. A Kreml chciałby 1,63. Tak źle z liczbą urodzeń dzieci nie było w Rosji od 2008 roku. Są to oficjalne dane, z raportu opublikowanego przez Izbę Obrachunkową, potwierdzające czarne prognozy demograficzne dla Rosji. W ramach słynnych dekretów majowych Putina z 2018 roku, czyli pakietu socjalnych, ekonomicznych i demograficznych obietnic Kremla przedstawionego niedługo po zainaugurowaniu przez niego kolejnej kadencji prezydenckiej, założono, że do 2024 roku uda się osiągnąć współczynnik dzietności na poziomie 1,7. Władze chciały naprawiać sytuację demograficzną poprzez wypłaty pieniędzy za każde nowe dziecko, jednak dane statystyczne wskazują, że coraz mniej dzieci przychodzi na świat nie tylko w uboższych grupach społecznych.

Niepokoić Kreml muszą też inne zjawiska, choćby wyludnianie pewnych obszarów, ucieczka ludzi ze wsi do wielkich miast czy trwająca zmiana proporcji ludności etnicznej rosyjskiej i muzułmańskiej na korzyść tej drugiej. Wyludnia się prowincja. Populacja terenów wiejskich od początku rządów Putina maleje w tempie 0,5 mln rocznie. To w dużej mierze zasługa putinowskiego programu „optymalizacji" edukacji i służby zdrowia – prowadzącego do zamykania szkół i przychodni na wsi. W efekcie nauczyciele wyjeżdżają do miast, a jedyne w okolicy ośrodki życia kulturalnego, jakimi są szkoły, świetlice, kluby, biblioteki, znikają. Na terenach wiejskich żyje się średnio dwa lata krócej niż w miastach. Nie ma szkół, nie ma też pracy. Dawniej pracowało się w kołchozach i sowchozach, ale teraz wielkie agroprzemysłowe koncerny stawiają na mechanizację i wielkie latyfundia. Potrzeba do uprawy coraz mniej rąk do pracy.

Władze próbują walczyć z negatywnymi trendami demograficznymi, zmniejszać śmiertelność i zwiększać liczbę urodzeń. W 2007 roku uruchomiono program świadczeń finansowych dla rodzin, w których pojawia się drugie i kolejne dziecko. Ale ten ekonomiczny bodziec, przy innych społecznych problemach niezachęcających do zakładania rodziny i rodzenia dzieci, nie przyniósł oczekiwanych skutków. W 2018 roku liczba urodzeń spadła do poziomu najniższego od 12 lat. Wicepremier Tatiana Golikowa przyznała w lipcu 2019 roku, że nie udaje się osiągnąć należytego tempa spadku śmiertelności i wzrostu liczby urodzin. W tej sytuacji Kreml uznał, że programem „kapitału macierzyńskiego" należy objąć wszystkie matki. To jednorazowa pomoc materialna dla każdej kobiety, która urodziła lub adoptowała drugie lub kolejne dziecko.

▶ Coraz więcej starych, coraz mniej Rosjan

Kombinacja spadku urodzeń z wydłużaniem życia oznacza, że za dziewięć lat niemal jedna trzecia Rosjan będzie w wieku emerytalnym. To zapowiada nie kto inny jak wicepremier Tatiana Golikowa. Jednocześnie ogólnie populacja kraju może się zmniejszyć o niemal 3 mln – ostrzegają eksperci. Niebawem może zacząć brakować na dużą skalę pracowników w służbie zdrowia czy w edukacji. Nie mówiąc o najbardziej uzdolnionych Rosjanach, którzy uciekają z kraju. Obecnie ponad 2,7 mln ludzi urodzonych w Rosji żyje poza jej granicami. Tylko co drugi pozostawił sobie paszport Federacji Rosyjskiej. Ta emigracja zwiększyła się po 2014 roku i zaostrzeniu relacji Rosji ze światem zachodnim. Do 2030 roku Rosja może stracić nawet 10 proc. populacji w wieku

eprasa.pl 05def14ee0

produkcyjnym (11–13 mln ludzi). Do tej pory lukę wypełniali okresowi imigranci. Pod koniec poprzedniej dekady ich liczba sięgnęła 10 mln. Co drugi był gastarbeiterem. Ale sytuacja ekonomiczna w Rosji zaczęła się pogarszać, a za tym od 2015 roku następuje spadek liczby chętnych obcokrajowców do pracy.

Starzenie się społeczeństwa oznacza kłopoty dla budżetu. Wzrasta obciążenie z tytułu konieczności wypłaty świadczeń socjalnych oraz takie koszty jak opieka medyczna. Im mniej Rosjan pracuje, tym mniej podatków wpływa do kasy państwa. Na początku lipca 2020 roku ministerstwo pracy opublikowało dane, z których wynika, że w 2019 roku co czwarty mieszkaniec Rosji był emerytem. W 2030 roku emerytem ma być już co trzeci mieszkaniec Rosji. Zapobiec katastrofie może jedynie kolejne podniesienie wieku emerytalnego. Pytanie, czy Putin się na to zdecyduje, pamiętając, że takie posunięcie w 2018 roku zapoczątkowało trwały spadek jego notowań. Wtedy wiek emerytalny podniesiono w przypadku mężczyzn z 60 do 65 lat, a w przypadku kobiet z 55 do 60 lat.

Co ważne, najbardziej gwałtowny spadek dotyczy rdzennych Rosjan (pamiętajmy, że Federacja Rosyjska jest państwem wielonarodowym). Jeśli generalnie dla całego kraju stosunek zgonów do narodzin wynosi 1,4:1, to dla narodowości rosyjskiej jest to aż 2,5:1. Przy utrzymaniu obecnych tendencji, w ciągu najbliższych 80 lat populacja Rosji zmniejszy się z obecnych 146 mln do 106 mln. Około 8 mln gastarbeiterów z Azji Centralnej i Kaukazu rozwiązuje w pewnym sensie problem braku rąk do pracy. Ale po pierwsze, dotyczy to głównie prostych zajęć fizycznych, nie rozwiązuje problemu drenażu mózgów. Po drugie, zwiększają oni zarazem udział ludności wyznającej islam. Rosja jest największym muzułmańskim krajem w Europie. A będzie jeszcze bardziej. W całym kraju w 2020 roku zgonów było 1,4 razy więcej niż urodzeń. Ale jeśli spojrzymy tylko na regiony zamieszkane głównie przez Rosjan, to jest już aż 2,5 razy. Mamy do czynienia z derusyfikacją części państwa. Na samym Kaukazie Północnym między spisami ludności w 1989 roku i 2002 roku populacja Rosjan skurczyła się o jedną trzecią. Rdzennych mieszkańców należących do ludów tureckich i kaukaskich przybyło za to o połowę.

▶ Czarna perspektywa

Pandemia koronawirusa przyczyniła się do gwałtownego zwiększenia poziomu umieralności w Rosji w 2020 roku. Dane statystyczne Rosstatu są dużo bardziej pesymistyczne niż informacje podawane przez rząd. Do wzrostu liczby przypadków COVID-19, także tych śmiertelnych, pod koniec roku przyczyniła się niepotrzebna, daleko idąca liberalizacja antykoronawirusowych obostrzeń latem 2020. W 2020 roku zmarło 2,124 mln ludzi, a więc o blisko 324 tys. więcej niż w 2019 roku. Śmiertelność w Rosji wzrosła więc rok do roku aż o blisko 18 proc. – wynika z danych urzędu statystycznego Rosstat. To najwyższy wskaźnik od 70 lat i odwrócenie wieloletniej tendencji, wszak w ciągu ostatniej dekady umieralność w Rosji spadała. Za zwiększoną umieralność odpowiadają m.in. zgony z powodu COVID-19 – 162 429 zmarłych było zakażonych koronawirusem. Gwałtowny wzrost umieralności był jednym z czynników, które spowodowały, że populacja Rosji w 2020 roku zmniejszyła się w stopniu największym od 15 lat. Rząd Rosji zakłada, że populacja kraju będzie się zmniejszać także w kolejnych latach. W 2021 roku ma ubyć 290 tys. Rosjan. W 2022 roku ta liczba ma wynieść 238 100, w 2023 roku 189 100, a w 2024 roku 165 300. Łącznie więc w ciągu czterech lat populacja Rosji ma się zmniejszyć aż o 1,2 mln. Rosjan ma zacząć przybywać dopiero w 2030 roku – ocenia rząd.

Prezydent Barack Obama podczas swych rządów zrobił niewiele dobrego, jeśli chodzi o Rosję. Za to miał rację, gdy w sierpniu 2014 roku mówił, że w dłuższej perspektywie Rosja nie zdziała nic, bo zabraknie jej do rozwoju ludzkiego potencjału. „Imigranci nie spieszą do Moskwy w poszukiwaniu możliwości. Długość życia rosyjskiego mężczyzny to około 60 lat. Populacja się kurczy" – mówił Obama w wywiadzie dla „The Economist". Pod koniec 2019 roku Rosstat opublikował trzy możliwe prognozy demograficzne dla Rosji na okres do 2036 roku. Ta optymistyczna przewiduje wzrost stopy urodzeń, długości życia oraz imigracji, co w efekcie ma dać zwiększenie populacji do 150,1 mln w 2036 roku. Prognoza „konserwatywna" przewiduje w 20136 roku populację wielkości 143 mln – a więc spadek. Jest też wersja pesymistyczna, zakładająca utrzymanie dotychczasowych negatywnych trendów, a więc w efekcie zmniejszenie populacji Federacji Rosyjskiej w ciągu 15 lat do 134,3 mln. Prognozy ONZ są jeszcze mroczniejsze. W wariancie optymistycznym populacja Rosji zmniejszy się do 147,3 mln w 2050 roku. Wariant pośredni mówi o 135,8 mln, zaś pesymistyczny o 124,6 mln w 2050 roku. A w 2100 roku o zaledwie 83,7 mln. ■

eprasa.pl 05def14ee0



fot. ADOBE STOCK

Hanna Shen



Gdy zaczną znikać dziennikarze...

Chiny od lat są w czołówce państw, w których dziennikarze narażeni są na prześladowania i więzienie. ChRL „nadal stosuje cenzurę internetową, inwigilację oraz propagandę na niespotykaną dotąd skalę" – czytamy w tegorocznym raporcie Reporterów bez Granic. Dziś także coraz bardziej zagrożeni są zagraniczni dziennikarze zajmujący się tematami niewygodnymi dla KPCh.

eprasa.pl 05def14ee0

Od początku swojego urzędowania prezydent Chin Xi Jinping nie ukrywał, jaką rolę mają do odegrania chińscy dziennikarze – mają służyć jako narzędzie propagandowe dla Komunistycznej Partii Chin (KPCh) i muszą być wierni swojemu przywódcy. Tych, którzy nie tak widzieli i widzą swoją misję, czekają prześladowania.

Gdy w 2014 roku znana chińska dziennikarka Gao Yu przekazała mediom zachodnim opracowany na wewnętrzne potrzeby KPCh tzw. Dokument nr 9, w którym wymieniono zagrożenia dla rządów komunistów w Chinach, w tym m.in. chrześcijaństwo, natychmiast została aresztowana. Za ujawnienie tajemnic państwowych 71-letnia reporterka została skazana na 7 lat więzienia (ostatecznie wyrok zmniejszono do 5 lat, a w trakcie odbywania kary ze względu na zły stan zdrowia dziennikarki zastosowano areszt domowy).

O tym, jak represyjna wobec dziennikarzy prezentujących inny przekaz niż rządowy może być KPCh, przekonaliśmy się, gdy rozpoczynała się pandemia. Na początku stycznia 2020 roku władze Chin twierdziły, że w Wuhan nie dzieje się nic niepokojącego, a wirus, który się pojawił, nie przenosi się z człowieka na człowieka. Zupełnie inne informacje płynęły od niektórych dziennikarzy i blogerów. To oni próbowali ostrzec swoich rodaków, i świat, że w Wuhan wirus jest poważny, w szpitalach panuje chaos, a krematoria pracują 24 godziny na dobę. Gdyby partia nie uciszyła ich głosów, możliwe, że dziś nie mielibyśmy pandemii. Prawda była jednak niewygodna dla władz Chin i od wybuchu epidemii silnie uciszały one prasę i media społecznościowe. Aresztowano co najmniej dziesięciu dziennikarzy i blogerów, którzy relacjonowali tragiczne wydarzenia w Wuhan. Siedmiu z nich nadal jest zatrzymanych lub zaginionych.

Sytuacja nie wygląda też lepiej, jeśli chodzi o zagranicznych dziennikarzy pracujących w Chinach.

Mów jak partia

21 kwietnia podczas panelu zorganizowanego przez Narodowy Klub Prasowy Australii, Michael Smith, reporter „The Australian Financial Review", stwierdził, że „w Chinach nie ma miejsca na jakiekolwiek opinie, które nie są zbieżne z tym, co sądzi Komunistyczna Partia Chin". Według niego, Chiny kiedyś entuzjastycznie witały zagranicznych dziennikarzy, by ci „rozpowszechniali informacje o chińskim cudzie gospodarczym". Teraz zewnętrzni reporterzy są „ledwo tolerowani" w tym kraju. Sam Smith mieszkał w Szanghaju i relacjonował dla swojej gazety wydarzenia w Chinach do września ubiegłego roku, kiedy to rząd Australii ewakuował go wraz z kilkoma innymi dziennikarzami w związku z obawami dotyczącymi ich bezpieczeństwa.

Mniej szczęścia miała koleżanka Smitha, dziennikarka i prezenterka telewizyjna, 49-letnia Cheng Lei. Urodziła się w Chinach, lecz posiada australijskie obywatelstwo i przez ponad 10 lat pracowała w anglojęzycznej stacji CGTN, międzynarodowym ramieniu chińskiej telewizji CCTV kontrolowanej przez KPCh. Została zatrzymana we wrześniu 2020 roku, a w lutym bieżącego roku oficjalnie usłyszała zarzut przekazywania chińskich tajemnic państwowych za granicę.

Osoby pracujące z Cheng przyznają, że dziennikarka będąc zatrudniona w państwowych mediach w Chinach często forsowała oficjalną narrację KPCh o sukcesie gospodarczym Państwa Środka: o zmniejszeniu w wyniku rządów partii skali masowego ubóstwa i o wkładzie ChRL w światowy dobrobyt. Przyznają też, że Cheng nie uciekała od negatywnej oceny autorytarnego reżimu w Pekinie.

Do tej pory nie wiadomo, czym Cheng tak naprawdę podpadła KPCh i jaki ostatecznie będzie jej los. Według jej rodziny dziennikarka była już wielokrotnie przesłuchiwana, a jej stan zdrowia pogorszył się w więzieniu.

Obecny na panelu Narodowego Klubu Prasowego Australii Wang Xining, główny zastępca szefa chińskiej placówki w Canberrze, zapewniał, że zagraniczni dziennikarze są nadal mile widziani w Chinach, ale powinni „przedstawiać prawdziwy obraz" ChRL.

Uciekaj, jeśli pokazujesz prawdę

Mile widziany w Chinach przestał być korespondent BBC John Sudworth, który mieszkał i pracował w Państwie Środka przez ostatnie 9 lat. Pierwszych poważnych problemów doświadczył w 2017 roku, gdy wraz z ekipą przygotowywał materiał na temat reformy rolnej.

Korespondent próbował wtedy przeprowadzić wywiad z jednym z mieszkańców chińskiej wioski. Ojciec rolnika zginął, gdy wszedł w spór o ziemię z lokalnymi komunistycznymi władzami. Gdy ekipa BBC przybyła pod dom poszkodowanego i jego syna, grupa mężczyzn zagrodziła im drogę. Odepchnęli Sudwortha, a następnie zniszczyli kamery. Ekipa BBC postanowiła opuścić wioskę, lecz była nadal ścigana przez 20 mężczyzn. Później przybyła umundurowana policja i dwóch członków władz lokalnych i „pod groźbą zastosowania dalszej przemocy" reporterzy BBC zostali zmuszeni do podpisania zeznania, w którym przepraszali za „zachowanie mające zły wpływ" na innych, i usunęli część materiału filmowego.

„To były bardzo jednostronne negocjacje, ale przynajmniej było to dla nas wyjście z tej sytuacji – luksus, którego odmówiono Chińczykom składającym petycję do władz i którzy znaleźli się w obliczu podobnego zastraszania i znęcania się" – napisał później Sudworth.

eprasa.pl 05def14ee0

W ostatnim okresie wiele swoich korespondencji Sudworth poświęcał sytuacji w Xinjiangu, gdzie w obozach koncentracyjnych przetrzymywani są Ujgurzy.

W lutym bieżącego roku BBC przygotowało program o tym, jak kobiety w obozach w Xinjiangu padają ofiarami regularnych gwałtów, przemocy seksualnej i tortur. Sudworth nie został wymieniony jako osoba pracująca przy tym materiale, lecz chińskie ministerstwo spraw zagranicznych oskarżyło go o przekroczenie „czerwonej linii" w związku z jego relacjami o Ujgurach i innych mniejszościach muzułmańskich w Xinjiangu, a także informacjami na temat przebiegu pandemii w Państwie Środka. Dziennikarz stał się ofiarą ataków ze strony chińskich władz i państwowych mediów. On i jego rodzina zaczęli otrzymywać groźby i byli pod ciągłym nadzorem bezpieki. Pod koniec marca Sudworth w obawie o życie swoje i swojej rodziny, opuścił Chiny i udał się wraz z żoną na Tajwan. W wydanym oświadczeniu BBC stwierdziło, że ich korespondent stał się niewygodny dla KPCh, bo „ujawniał prawdy, które chińskie władze chciały ukryć przed światem".

▶ Chińsko-maltańskie powiązania

W kwietniu bieżącego roku odżyła sprawa maltańskiej dziennikarki Daphne Caruana Galizia, zamordowanej w październiku 2017 roku przy użyciu zdalnie detonowanej bomby samochodowej. Reporterka zajmowała się tajemniczą firmą z Dubaju 17 Black, która była powiązana z wyższymi urzędnikami maltańskimi. Galizia zajęła się też umową z 2014 roku dotyczącą sprzedaży znacznych udziałów w Enemalty (jedynej maltańskiej spółki energetycznej) Shanghai Electric (chińskiej firmie państwowej) oraz podejrzaną późniejszą inwestycją tych dwóch w elektrownię w Czarnogórze realizowaną w ramach Nowego Jedwabnego Szlaku. Dodatkowo w 2016 roku, powołując się na materiały dostępne w chińskich mediach, Galizia twierdziła, że Malta zamierza oferować wizy pobytowe bogatym obywatelom Chin, a interes na tym mają ubić maltańscy politycy i dyplomaci.

Sprzedaż wiz pobytowych bogatym Chińczykom, często powiązanym z KPCh, miała sprawić, iż Malta stanie się furtką do Unii Europejskiej dla oligarchów z ChRL.

Niezakończone śledztwo zamordowanej maltańskiej dziennikarki podjęli dziennikarze Agencji Reuters, gazet „Sueddeutsche Zeitung" i „Times of Malta". Odkryli oni, że osoba, która stała za ważnymi chińsko-maltańskimi inwestycjami, Cheng Chen, wysoki rangą menedżer w chińskim oddziale międzynarodowej firmy konsultingowej Accenture, jest powiązany z dwoma innymi firmami kluczowymi do wyjaśnienia skandalu korupcyjnego na Malcie. Te zaś firmy służyły wspomnianej już firmie 17 Black do przelewania pieniędzy na konta maltańskich polityków i samego Chenga. Chodzi o spółkę Macbridge, która założona została na nazwisko Tang Zhaoimin, teściowej Cheng Chena. Macbridge miał przelać około 2 mln dolarów firmom z Panamy kontrolowanym przez Konrada Mizzi (w 2014 roku ministra energetyki na Malcie) oraz Keitha Schembri (szefa gabinetu premiera Malty).

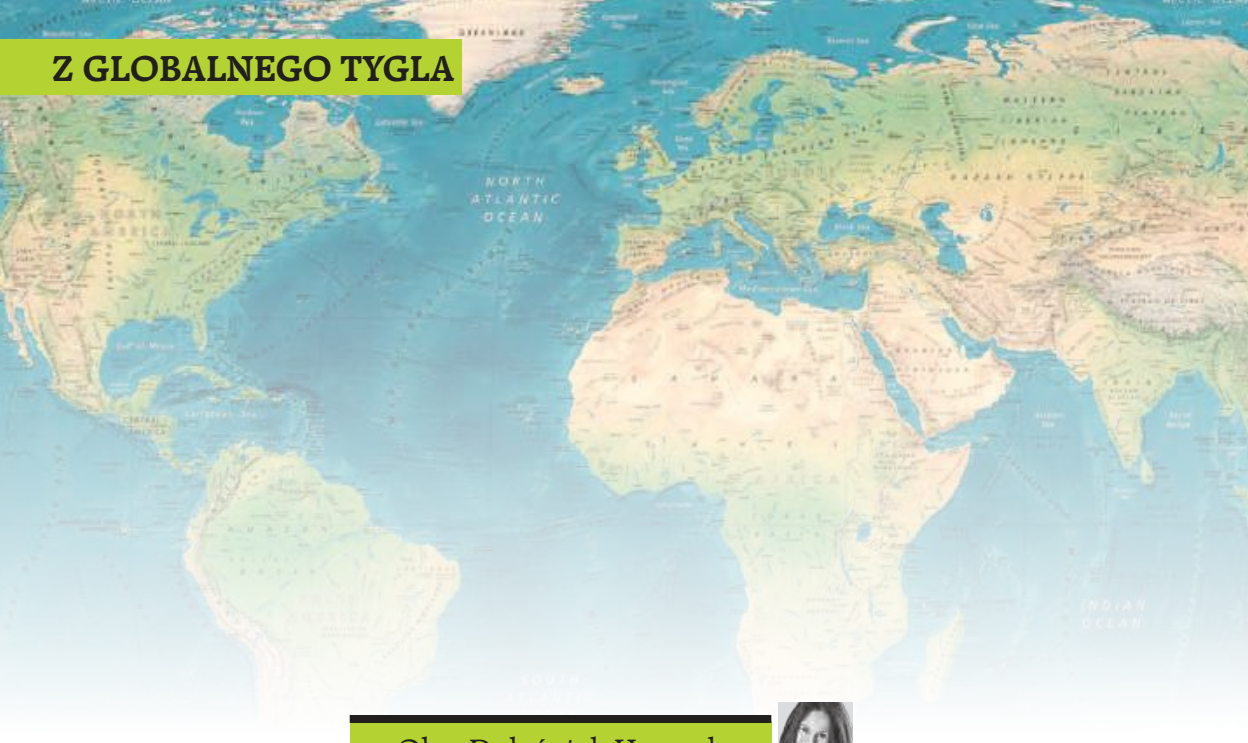
Na czele drugiej firmy, Dow's Media Company, stała Wang Rui, kuzynka pani Tang. Na konta Dow's Media trafiały zyski, jakie wypracowała elektrownia w Czarnogórze. Gdy przedstawiający się na Malcie jako międzynarodowy konsultant Cheng prosił Wang Rui o zaangażowanie w projekt, mówił, że sam nie może tego zrobić, bo prowadzi działalność na rzecz państwowej firmy z Chin.

Chen okazał się też powiązany z maltańskim programem wizowym dla Chińczyków. Na czele projektu stanął Kevin Mao, który w przeszłości był partnerem biznesowym Cheng Chena. Projekt jednak z czasem zaczął wywoływać liczne kontrowersje. W sierpniu 2020 roku władze maltańskie aresztowały byłego konsula Malty w Szangaju Aldo Cutajara. Został on oskarżony o nielegalne czerpanie zysków ze sprzedaży wiz w Chinach. Podczas przeszukiwania w jego domu znaleziono m.in. ponad 540 tys. euro w gotówce i cztery zegarki Rolex. Z czasem wyszło na jaw, że maltański program wizowy był furtką do UE nie tylko dla chińskich, lecz także rosyjskich oligarchów.

Śledztwo dotyczące zabójstwa maltańskiej dziennikarki doprowadziło do oskarżenia siedmiu Maltańczyków, a także do dymisji ówczesnego premiera Malty. Wśród oskarżonych jest najbogatszy biznesmen na Malcie Yorgen Fenech. Miał za głowę Galizii wyznaczyć cenę 150 tys. euro. To Fenech był właścicielem firmy 17 Black, którą wykorzystywał do przekazywania łapówek maltańskim politykom i która pomogła Chińczykom w przejęciu udziałów w maltańskiej spółce energetycznej.

Ostatnie ustalenia dziennikarzy dotyczące chińskiego tropu w aferze korupcyjnej na Malcie pokazują międzynarodowe tło sprawy dotyczącej zabójstwa Daphne Caruana Galizia. Okazuje się, że najpierw Galizia, a teraz dziennikarze Agencji Reuters oraz gazet „Sueddeutsche Zeitung" i „Times of Malta" wpadli nie tylko na trop afery korupcyjnej na najwyższych szczytach władzy na Malcie, lecz także odkryli skandal, w którym czołową rolę odegrały osoby powiązane z chińską władzą i projektem w ramach Nowego Jedwabnego Szlaku. Trudno dziś powiedzieć, czy strona chińska była w jakimś stopniu zamieszana w morderstwo maltańskiej dziennikarki. Jednak maltański skandal jasno pokazuje, że Nowym Jedwabnym Szlakiem Chiny mogą eksportować nie tylko swoje towary, lecz także korupcję. Ta niewygodna dla KPCh, a ujawniona prawda może doprowadzić do takiego końca jak na Malcie – dziennikarze mogą znikać. ■

eprasa.pl 05def14ee0



Olga Doleśniak-Harczuk



Gdyby Niemcy mogli wybrać...

Gdyby Niemcy mogli wybrać, wybraliby dziś na następcę Angeli Merkel polityka Zielonych. A konkretnie – Annalenę Baerbock, która została wytypowana na zieloną kandydatkę na kanclerza we wrześniowych wyborach do Bundestagu. Jak wynika z przeprowadzonego pod koniec kwietnia dla „Bild am Sonntag" sondażu INSA, na Baerbock chętnie oddałoby głos 30 proc. ankietowanych, drugim wyborem byłby kandydat SPD Olaf Scholz (20 proc.), a trzecim Armin Laschet z CDU (18 proc.).

eprasa.pl 05def14ee0

Annalenie Baerbock prawie wszyscy od lewa do prawa odmawiają kompetencji, doświadczenia politycznego i smykałki do rządzenia. W tym sensie kandydatka Zielonych już na starcie dostała łatkę kompletnie zielonej. Ona sama ze swojej „świeżości politycznej" chciałaby uczynić atut. Uda się?

Kiedy chadecy spierali się o to, pod czyją chorągwią wyruszą do boju o Kanzleramt, a szefujący CSU Markus Söder zagrał o wszystko, rzucając wyzwanie Arminowi Laschetowi, politycy Zielonych po cichu i bez zbędnego rozgłosu wybrali swojego lidera. Robert Habeck i Annalena Baerbock, czyli duet stojący na czele Partii Zielonych, najzwyczajniej dogadał się w zaciszu gabinetu, bez plebiscytu, medialnego cyrku i całej tej otoczki, której nie oszczędzili Niemcom chadecy. Baerbock jest żywą odpowiedzią na postulat „więcej kobiet w polityce", czyli coś, co w CDU zagubiło się w gąszczu męskich ambicji, u Zielonych ma się całkiem dobrze. Smutne panie z chadeckiej „Unii Kobiet", które jeszcze w 2018 roku tak solidarnie udzieliły poparcia Annegret Kramp-Karrenbauer, dziś muszą się zadowolić kandydaturą Armina Lascheta. Angeli Merkel 2.0. nie będzie. Jeszcze nie teraz.

Trwanie to nie wszystko

Owszem, złośliwi utrzymują, że Armin Laschet to Merkel z brodą (nie ma brody, ale powiedzieć „jak Merkel w spodniach" miałoby chyba jeszcze mniejszy sens), lecz przecież ten skrót chętnie eksploatowany jest przez publicystów. Angela Merkel, niezależnie od tego, co kto o niej myśli i na ile ceni lub nie ceni, przejdzie do historii Niemiec. Nie, ona się w nią wryje. Niemiec podzielonych i zjednoczonych. 16 lat robi swoje. Ale nie tylko o czas lub bardziej precyzyjnie – trwanie – w tym wszystkim chodzi. Angela Merkel to znak firmowy. Jak Mercedes przed erą elektromobilności i Bratwursty przed debiutem wegańskiej kiełbasy. Na taką etykietkę, na pozycję narodowego artefaktu trzeba sobie zapracować. Armin Laschet słusznie stara się odciąć, przynajmniej medialnie, od dziedzictwa Merkel. Podczas konferencji prasowej nadawanej z siedziby CDU w Berlinie, kiedy już ogłoszono, że chadecy odrzucili zaloty Markusa Södera i krewki Bawarczyk nie poprowadzi ich do wyborów, Laschet dwukrotnie podkreślił, że oto nadszedł kres polityki kontynuacji (niem. Weiter so). Nie brzmiał pewnie. Jakby sam walczył ze sobą. A raczej o siebie. Bój stoczony z Markusem Söderem odcisnął na nim piętno. Laschet miał przeciw sobie nie tylko wielu partyjnych kolegów, lecz także sondaże. Gdyby to Niemcy mogli wytypować chadeckiego kandydata na kanclerza, wskazaliby na Bawarczyka, a nie na premiera Nadrenii-Północnej Westfalii. Na nikim nie robi wrażenia jego styczniowa wygrana o kierownictwo partii. Roszady w CDU w dobie kryzysu pandemicznego tylko bardziej pogłębiły niechęć wielu Niemców do polityki.

Tęsknota z mocnym Bawarczykiem

Markus Söder może i sprawia wrażenie bufonowatego i mniej przepraszająco patrzy w oczy swoim rozmówcom niż jego były już dziś rywal z CDU, może jego styl nie należy do najmilszych, lecz to on królował w rankingach popularności. 12 kwietnia telewizja ARD opublikowała wyniki sondażu „Deutschland Trend". Ankietę przeprowadzono w dwóch grupach. Wśród wyborców CDU/CSU i wśród wszystkich grup wyborców. W pierwszym przypadku za Markusem Söderem opowiedziało się 79 proc. ankietowanych, w drugim – 54 proc. Armin Laschet odpowiednio uzyskał 29 i 19 proc. Gdyby więc społeczeństwo niemieckie miało zadecydować o wyborze chadeckiego lidera w kampanii wyborczej, Armin Laschet nie miałby szans. A Niemcy miałyby pierwszą zieloną kanclerz. Tak wygląda alternatywny świat polityki niemieckiej.

Jest inna alternatywa

Jest nią nominalnie Alternatywa dla Niemiec. I jej wiecznie żwawy postulat dexitu. Jak ktoś nie wie, jak scharakteryzować AfD, to zaczyna od tego, że jest to partia eurosceptyczna, domagająca się wystąpienia Niemiec z Unii Europejskiej. Każda tego typu wypowiedź powinna być bezzwłocznie uzupełniona uwagą, że przecież AfD, nazywana w swoich początkach słusznie partią profesorów i wykładowców, mimo burzliwych klejów losu, nie jest przecież partią ludzi pozbawionych rozumu. I populistyczne opowieści o złej Unii pętającej suwerenność państwa niemieckiego to jedno, a trzeźwa ocena faktycznych korzyści, jakie Niemcy z Unii czerpią, to drugie. Za każdym razem, kiedy AFD macha flagą dexitu, media reagują jak Królewna Śnieżka. Wybudzone z długiego snu. Zdumione, jakby każdy punkt programu tej partii padł w przestrzeni publicznej po raz pierwszy. Alternatywa lubi takie media. Dzięki ich wiecznemu zdumieniu może kolportować treści już z dexitem niezwiązane, a mogące urwać chadekom 2–3 proc. Z Arminem Laschetem zadanie może się okazać całkiem łatwe. Alternatywa jak ognia obawiała się wyboru Markusa Södera. Tylko ktoś tak bezczelny i pewny siebie jak on miał potencjał, by odzyskać z AfD dawnych wyborców chadeckich. Tych, którym znak firmowy Niemiec w postaci ustępującej Angeli Merkel odebrał ochotę na firmowanie swoim nazwiskiem kolejnych wygranych CDU. Być może chadecy chcąc podtrzymać swoją przyszłą atrakcyjność koalicyjną dla Zielonych gruntownie przemyśleli manewr z kandydatami. A być może Zieloni nakryją ich kapeluszem we wrześniu. I wtedy Markus Söder zrobi sobie swój mały, prywatny, huczny na miarę okoliczności Oktoberfest. ■

eprasa.pl 05def14ee0

Hanna Shen



Tak minął miesiąc w Azji

Co działo się w minionym miesiącu na kontynencie azjatyckim i wokół niego? Poniżej prezentujemy omówienie wydarzeń, które niekoniecznie trafiają na pierwsze strony gazet, lecz są ważne.

Hongkong

16 kwietnia sąd w Hongkongu skazał 9 prodemokratycznych działaczy na wyroki od 8 do 18 miesięcy za zorganizowanie i udział w dużym proteście antyrządowym, który odbył się 18 sierpnia 2019 roku. W demonstracji wzięło wtedy udział 1,7 mln ludzi domagających się wycofania ustawy ekstradycyjnej i potępienia brutalności policji.

Wśród skazanych są potentat medialny Jimmy Lai, który otrzymał roczny wyrok, oraz Martin Lee, „ojciec demokracji" w Hongkongu i jeden z założycieli Partii Demokratycznej, skazany na 11 miesięcy więzienia. Obaj są katolikami. Adwokat Margaret Ng, chrześcijanka i były prawodawca, otrzymała roczny wyrok. Byli deputowani do lokalnego parlamentu Albert Ho i Lee Cheuk-yan również zostali skazani na 12 miesięcy, a była deputowana Cyd Ho i związkowiec Leung Yiu-chung otrzymali wyrok 8 miesięcy. Na 10 miesięcy skazany został były członek Partii Demokratycznej, Au Nok-hin. Najostrzejszy wyrok, 18 miesięcy, otrzymał były prawodawca Leung Kwok-hung.

Sędzia zdecydował też o zawieszeniu wyroków dla 82-letniego Martina Lee i 73-letniej Margaret Ng.

Dzień później sąd dodatkowo skazał Jimmy'ego Lai i Lee Cheuk-yan'a na dodatkowe 2 miesiące za wzięcie udziału w chrześcijańskiej modlitwie-proteście 31 sierpnia 2019 roku. Jimmy'emu Lai grozi kolejne sześć zarzutów.

Przed ogłoszeniem wyroków w założonej przez Lai'a gazecie „Apple Daily" opublikowano odręcznie napisany przez niego list, wysłany z więzienia. „Naszym obowiązkiem jako dziennikarzy jest dochodzenie sprawiedliwości. [...] dopóki nie pozwalamy, aby zło nas zwyciężyło, wypełniamy nasz obowiązek" – czytamy w liście. Wezwał też dziennikarzy, aby w tych trudnych dla Hongkongu czasach „zachowali wyprostowaną postawę".

Po ogłoszeniu wyroków sekretarz stanu USA Antony Blinken powiedział, że „są one niedopuszczalne i niezgodne z pokojowym charakterem działań" skazanych.

16 kwietnia rzeczniczka Komisji Europejskiej ds. Zagranicznych Nabila Massrali nazwała wyroki „kolejną oznaką kurczenia się przestrzeni demokratycznej i erozji podstawowych wolności w Hongkongu". Dodała, że ostatnie wydarzenia w mieście będą miały wpływ na stosunki Unii z Chinami. Jednak według doniesień agencji Reuters i hongkońskiej gazety „South China Morning Post" Węgry zablokowały wspólne oświadczenie państw UE krytykujące działania Pekinu w Hongkongu i szereg sankcji, w tym zawieszenie traktatów ekstradycyjnych z Chinami.

Pekin nazwał krytykę ze strony Zachodu działań komunistycznych Chin w Hongkongu i żądania uwolnienia skazanych działaczy prodemokratycznych – mieszaniem się w wewnętrzne sprawy ChRL, gloryfikacją „przestępców" poprzez przedstawianie ich jako „demokratycznych wojowników" i „utrudnianiem wymierzania sprawiedliwości" zgodnie z lokalnym prawem.

Według kontrolowanego przez KPCh „Dziennika Ludowego" skazanie prodemokratycznych działaczy w Hongkongu jest koniecznym „zastosowaniem praworządności i odpowiedzią na powszechne oczekiwanie, by zakończyć chaos" w byłej kolonii brytyjskiej.

Od 1997 roku Hongkong jest specjalnym regionem administracyjnym Chińskiej Republiki Ludowej. Ustawa Zasadnicza, którą Pekin zobowiązał się przestrzegać, miała chronić podstawowe wolności Hongkończyków: wolność zgromadzeń i słowa, niezależne sądownictwo i pewne wolności demokratyczne, których

eprasa.pl 05def14ee0

nie ma w Chinach kontynentalnych. Niestety ChRL coraz mocniej ogranicza te swobody. Obawy przed dalszą erozją wolności doprowadziły w 2019 roku do ogromnych protestów prodemokratycznych. W ich wyniku Chiny wprowadziły kontrowersyjne przepisy dotyczące bezpieczeństwa narodowego, kryminalizując secesję, działalność wywrotową i zmowę z siłami obcymi z maksymalnym wyrokiem dożywocia.

Pekin twierdzi, że ustawę wprowadzono, by stłumić „bunt" i zapewnić stabilność. Jednak większość ekspertów uważa, że narzucona Hongkongowi ustawa oznacza koniec autonomii byłej kolonii brytyjskiej. Od czasu uchwalenia ustawy w czerwcu ub.r. aresztowano około 100 osób.

Chiny – katolicy

W 2021 roku Komunistyczna Partia Chin obchodzi swoją 100. rocznicę powstania. Włoska agencja misyjna AsiaNews opisuje, w jaki sposób komuniści zmuszają do tej celebracji Kościół katolicki w Chinach.

Stulecie powstania KPCh obchodzone jest pod hasłem: „Poznawać, dziękować, słuchać i podążać za partią". Po tym, jak Sobór Biskupów i Patriotyczne Stowarzyszenie Katolików Chińskich (obie instytucje pod kontrolą KPCh) postanowiły ogłosić stulecie jako najważniejsze wydarzenie dla Kościoła w Chinach, katolicy mają brać udział w seminariach, konferencjach, wycieczkach, wizytach i wystawach poświęconych partii i promocji komunizmu.

I tak na przykład w prowincji Fujian w dniach 12–14 kwietnia odbyła się konferencja pod hasłem „Kochaj partię, kochaj ojczyznę, kochaj socjalizm" z udziałem ponad 50 przedstawicieli wszystkich oficjalnych religii, w tym katolików. Oficjalny raport z wydarzenia podkreślał powstanie „Kościoła państwowego", całkowicie posłusznego przywódcy państwowemu, co zademonstrowano „uroczystą ceremonią podniesienia flagi komunistycznych Chin w kościele katolickim w mieście Changting (prowincja Fujian).

15 kwietnia w Pekinie Liu Yuanlong wiceprzewodniczący i sekretarz generalny Patriotycznego Stowarzyszenia Katolików Chińskich przewodniczył seminarium na temat historii partii komunistycznej, wraz z przewodniczącym Rady Biskupów Ma Yinglinem, jednym z biskupów, którego ekskomunikę uchylił papież Franciszek. W swoim przemówieniu końcowym biskup Ma wskazał, iż „historia jasno pokazała, że bez Partii Komunistycznej nie byłoby Nowych Chin, socjalizmu z chińską charakterystyką i szczęśliwego życia dla ludzi". Na seminarium padły stwierdzenia, że społeczność katolicka w Chinach powinna „kochać partię, kochać ojczyznę, kochać socjalizm", a także „zdecydowanie wspierać kierownictwo Komunistycznej Partii Chin, wspierać chiński system socjalistyczny, zdecydowanie podążać ścieżką patriotyzmu i miłości i aktywnie dostosowywać się do społeczeństwa socjalistycznego".

W prowincji Syczuan 11 kwietnia odbyła się zorganizowana przez lokalne władze konferencja na temat historii partii, której przewodniczył ks. Liu Conghua. Impreza była poświęcona „Opracowaniu programu nauczania historii partii i propagandy edukacyjnej w kręgach religijnych". Obecny na konferencji przedstawiciel Zjednoczonego Frontu (agencji Komitetu Centralnego KPCh, której głównym zadaniem jest sprawowanie kontroli nad „niepartyjnymi" organizacjami w Chinach i za granicą oraz tworzenie organizacji wpływu) wezwał Kościół katolicki do „połączenia patriotyzmu i miłości, aby nauczać o historii partii".

Tajwan

W połowie kwietnia, w tym samym czasie, gdy do Pekinu przybył John Kerry – pełnomocnik prezydenta USA ds. Klimatu – na Tajwan wysłana została przez Joego Bidena specjalna delegacja. Wysłanie amerykańskich przedstawicieli odbierane jest jako potwierdzenie zaangażowania Waszyngtonu w ochronę Tajwanu w obliczu nieustannych napięć z Chinami. Jeden z wysłanników, Chris Dodd (były senator demokratów i bliski przyjaciel Bidena), powiedział prezydent Tajwanu Tsai Ing-wen, że administracja Bidena będzie „niezawodnym i zaufanym przyjacielem" Tajpej i „będzie pracować nad pogłębieniem partnerstwa w dziedzinie bezpieczeństwa". „Jestem przekonany, że ta administracja pomoże wam poszerzyć waszą międzynarodową przestrzeń i wesprze inwestycje w samoobronę" – dodał Dodd.

Amerykańska wizyta w Tajpej została źle odebrana w Pekinie. Według Shi Yinhonga, dyrektora Szkoły Stosunków Międzynarodowych i Centrum Studiów Amerykańskich na Uniwersytecie Renmin w Pekinie, skład delegacji USA na Tajwan (tj. obecność osób blisko związanych z obronnością) to jasna deklaracja Waszyngtonu, że Stany Zjednoczone będą bronić Tajwanu i wykażą zdecydowane stanowisko wobec Chin. Chiński ekspert uważa, że wysłanie delegacji na Tajwan mocno zaszkodzi relacjom chińsko-amerykańskim.

Według Shi niektórzy twierdzą, że Biden gra na dwie strony, próbując zrównoważyć sytuację w cieśninie. Ale według niego to błędna ocena. „To jest całkowicie gra na jedną stronę, a nie gra o równowagę", a Waszyngton jest zdeterminowany, by „stawić opór Chinom". ■

eprasa.pl 05def14ee0

TŁUMACZENIE I OPRACOWANIE
Antoni Rybczyński

Sputnik V jako broń geopolitycznej soft power

W jaki sposób szczepionka staje się ważnym narzędziem polityki państwa? Estoński analityk Kalev Stoicescu, były urzędnik MSZ i Ministerstwa Obrony, opisuje to na przykładzie Rosji. Artykuł został opublikowany 1 kwietnia na stronie czołowego estońskiego think tanku. The International Centre for Defence and Security (ICDS) specjalizuje się w kwestiach polityki zagranicznej, bezpieczeństwa i obrony.

Medyczny sukces Sputnika V – podobnie jak każdej innej szczepionki na koronawirusa – niewątpliwie przyniósłby korzyści ludzkości, ale jego użycie jako broni geopolitycznej soft power z pewnością jeszcze bardziej pogorszy i tak już krytycznie złe stosunki między Rosją a Zachodem.

Sport był upolityczniony podczas zimnej wojny przez kraje komunistyczne, zwłaszcza Związek Sowiecki i Niemiecką Republikę Demokratyczną, aby zademonstrować ich wyższość nad „rozkładającym się" Zachodem. Reżimy komunistyczne próbowały stworzyć pozytywny obraz siebie, kładąc w propagandzie nacisk na swój rzekomo wyraźny postęp i umiłowanie pokoju. Atutową kartą Kremla był jednak podbój kosmosu, gdy pierwszy zbudowany przez człowieka aparat – satelita o nazwie Sputnik 1 – został wystrzelony w krótką podróż nad ziemską atmosferą w 1957 roku. 63 lata później Rosja wystrzeliła szybki – mówiąc w przenośni – „sputnik medyczny o wysokiej trajektorii lotu". Sputnik V była pierwszą na świecie zarejestrowaną szczepionką przeciwko wirusowi SARS-Cov-2. Rosyjskie władze dały swe błogosławieństwo szczepionce przygotowanej w Centrum Epidemiologii i Mikrobiologii Gamaleya 11 sierpnia 2020 roku, zaledwie 55 dni od rozpoczęcia pierwszych testów klinicznych. Trzecia i ostatnia faza badań klinicznych rozpoczęła się we wrześniu. Moskwa zdecydowała się nie czekać na ostateczne wyniki testów i rozpoczęła podawać szczepionkę mieszkańcom miast w grudniu. Szczepionkę zaaprobowała jeszcze przed świętami Bożego Narodzenia Białoruś, satelickie państwo Rosji. Wtedy Kreml rozpoczął kampanię agresywnej propagandy, której towarzyszyły operacje informacyjne, które nie zostawiają pola do błędnej interpretacji stanowiska i celów Rosji. Walka z pandemią stała się jeszcze jednym polem geopolitycznej gry Kremla.

„The Lancet" uwiarygadnia Sputnika V

Moskwa wybrała nazwę szczepionki w oczywisty bezpośredni sposób nawiązującą do kulminacji wpływów Związku Sowieckiego podczas zimnej wojny, kiedy Kreml walczył z Zachodem o wpływy w Trzecim Świecie. Technika sprzedaży realizowana przez Rosję również przypomina tamte czasy. Szybko

eprasa.pl 05def14ee0

opracowana szczepionka nie tylko otrzymała dobrze znaną markę, lecz wymagała także wiarygodności oraz odpowiedzi na nieuniknione pytania i wątpliwości. Brytyjski ośrodek sondażowy YouGov przeprowadził badania w 17 krajach na świecie w styczniu tego roku, aby określić preferencje wobec szczepionek produkowanych przez kilka państw. Wyniki badań wykazały, że ludzie na różnych kontynentach ufają szczepionkom produkowanym przez Niemcy i inne demokratyczne kraje, a generalnie nie mają zaufania do tych produkowanych w Rosji, Indiach i Chinach. Moskwa zrozumiała, że Zachód mógłby zapewnić wiarygodność Sputnikowi V, najpierw poprzez naukową akceptację, a następnie poprzez akceptację użycia szczepionki rosyjskiej przez pewne europejskie państwa, które mogłyby też zacząć ją produkować. Długi artykuł autorstwa rosyjskich naukowców został opublikowany w prestiżowym brytyjskim czasopiśmie medycznym „The Lancet" 2 lutego 2021 roku. Magazyn ten opublikował też artykuł 4 września 2020 roku, trzy dni przed tym, jak Rosja zaczęła ostatnią fazę badań klinicznych, twierdząc, że Sputnik V „wygenerował pewną odporność". Artykuł opublikowany w lutym wywołał wiele pytań na Zachodzie, ponieważ rozwój Sputnika V nie został jeszcze ukończony, zaś proces taki w Rosji różni się znacząco od podobnych w Europie i Ameryce Północnej (w zakresie transparentności, wiarygodności przedstawianych danych itd.).

Brak transparentności

„The Lancet" musiał dodać komentarz, w którym twierdził, że szczepionka na COVID-19 Sputnik V wydaje się bezpieczna i skuteczna, ale przyznając, że rosyjska szczepionka była krytykowana za ewidentnie pośpieszny rozwój, w tym niechlujność i brak przejrzystości. Interesujące jest też przyjrzenie się sponsorom projektu Sputnik V, ponieważ zachodnie szczepionki są rozwijane i produkowane przez spółki prywatne, zaś zachodnie rządy odgrywają rolę jedynie klientów produktu. Moskwa twierdzi, że projekt Sputnik V jest finansowany przez Rosyjski Fundusz Inwestycji Bezpośrednich (RDIF), ale na liście sponsorów umieszczonej w „The Lancet" są jeszcze Sbierbank i Zarząd Zdrowia Miasta Moskwy. Ta lista sponsorów musiała być najprawdopodobniej poprawiana, ponieważ w lutym (w wersji internetowej artykułu) zawierała dodatkowo giganta aluminiowego RUSAL, którego główny udziałowiec, oligarcha Oleg Deripaska, był też zaangażowany w inne geopolityczne gry Kremla. Poprzedni prezydent Donald Trump zdjął sankcje amerykańskie z Deripaski w styczniu 2019 roku. Nie można wykluczyć, że inni rosyjscy oligarchowie i państwowe firmy także uczestniczą w projekcie. Rosyjski Fundusz Inwestycji Bezpośrednich (RDIF) twierdzi na swej stronie internetowej, że jest „suwerennym funduszem bogactwa" powołanym w 2011 roku, który zajmuje się organizowaniem wspólnych inwestycji kapitałowych głównie w Rosji i współpracuje ze znanymi międzynarodowymi i strategicznymi inwestorami. Źródła otwarte nie wskazują na żadnych znanych zagranicznych inwestorów w rosyjskim projekcie szczepionkowym, zaś zainteresowanie „The Lancet" w przedwczesnym promowaniu Sputnika V budzi pewne pytania. Kreml oczywiście jest bardzo zadowolony, mówiąc, że „The Lancet" zajmuje się tylko nauką, nie polityką.

Masowa produkcja poza Rosją

Masowa produkcja w Rosji nigdy nie należała do najlepszych, nie licząc broni i systemów uzbrojenia, które są głównym produktem eksportowym obok surowców naturalnych. Rosja ma obecnie siedem centrów produkcji Sputnika V. Ostatni otwarto w Wołgińsku, niezbyt daleko od Moskwy, pod koniec lutego. Niewątpliwie w tych ośrodkach jest wielu wykwalifikowanych specjalistów i wiele nowoczesnego sprzętu technicznego, ale od czasów sowieckich rozproszona masowa produkcja w Rosji zawsze była nękana nierówną jakością, a zwłaszcza kontrolą jakości. Czy teraz jest inaczej? Czy Sputnik V jest równie pewnym zbawcą ludzkiego życia, jak automatyczny karabin Kałasznikowa okazał się maszyną do zabijania? Ponadto Kreml wywiera polityczną i administracyjną presję na ośrodki produkcyjne Sputnik V, aby produkować jak najwięcej i jak najszybciej, aby zrealizować listę kontraktów zagranicznych, która z każdym dniem rośnie. Rosyjskie zdolności produkcyjne Sputnika V są prawdopodobnie raczej niskie. To tylko domniemanie, ponieważ znalezienie wiarygodnych i konkretnych danych w otwartych źródłach jest prawie niemożliwe. Jednak rzecznik Kremla Dmitrij Pieskow dał wskazówkę, mówiąc, że zagraniczny popyt na Sputnik V znacznie przekracza ofertę (tj. własne moce produkcyjne Rosji). RDIF ogłosił w lutym, że podpisał umowy z 15 firmami farmaceutycznymi w dziesięciu krajach na produkcję 1,4 mld dawek Sputnika V. W związku z tym Rosja jest na dobrej drodze do zorganizowania masowej produkcji swojej szczepionki za granicą.

Najwięksi zachodni producenci (Pfizer, AstraZeneca i Moderna) powinni wyprodukować co najmniej 5 mld dawek swoich szczepionek w 2021 roku, ale ich produkcja podlega bardzo rygorystycznej i skutecznej kontroli jakości. Nie powinno być co do tego wątpliwości,

eprasa.pl 05def14ee0

ponieważ życie ludzkie jest główną wartością Zachodu. Każdy może wygrać w sądzie przeciwko swojemu krajowi na Zachodzie, ale w Rosji nigdy tak nie jest. Dlatego nikogo nie powinno dziwić, że Rosja wyraźnie kładzie nacisk na eksport szczepionek Sputnik V, chociaż poziom szczepień w Rosji jest niski (tylko 1,5 proc. populacji otrzymało co najmniej jedną dawkę do połowy lutego, wobec 43 proc. w Izraelu, 20 proc. w Wielkiej Brytanii i 10 proc. w USA). Kreml obiecał zaszczepić 68 mln mieszkańców Rosji do końca 2021 roku, ale liczba ta wygląda jak wizja z fantasy i stoi w sprzeczności z rosyjską polityką dotyczącą eksportu szczepionek. Co prawda szczepienia są niepopularne w Rosji (w sierpniu 2020 roku popierało je tylko 30 proc. populacji – w tym tylko 25 proc. personelu medycznego), ale władze państwowe i lokalne nic z tym nie robią. Nawet prezydent Władimir Putin odmówił dania pozytywnego przykładu. Ostatecznie został zaszczepiony w marcu 2021 roku, ale Kreml odmówił sprecyzowania, czy podano mu Sputnik V, czy inną szczepionkę. Stara (sowiecka) zasada nadal obowiązuje: polityczne ambicje Kremla są priorytetem, nie zaś potrzeby zwykłych ludzi. Podsumowując, celem Rosji jest powiększanie z dnia na dzień listy krajów w pandemicznym niebezpieczeństwie, które są skłonne kupować – a ostatecznie także produkować – Sputnik V. Każdy kraj się liczy: San Marino ma mniej mieszkańców niż małe estońskie miasto Pärnu, ale jest suwerennym państwem, które przeżywa poważne trudności z powodu pandemii. Rosja sprzedaje swój produkt za rozsądną cenę (około 10 dolarów za dwie dawki), która jest dostępna dla wielu biednych krajów, zwłaszcza w Afryce. Kraje zachodnie produkują szczepionki na koronawirusa głównie na własny użytek, a stosunkowo niewielkie liczby dawek są dostępne dla sprzedaży lub pomocy humanitarnej dla biednych krajów. Ponadto Pfizer i inne zachodnie szczepionki są i prawdopodobnie nadal będą droższe niż Sputnik V. Koszty pracy i wysokiej jakości produkcji na Zachodzie są znacznie wyższe niż w Rosji, a szczepionki są produkowane przez sektor prywatny, w przeciwieństwie do państwowego projektu Kremla.

▶ Zbawca świata

Szczepionki przeciwko koronawirusowi to leki opracowywane i produkowane w celu ratowania życia ludzkiego. Miejmy istotnie nadzieję, że Sputnik V jest skuteczny, bo dostały go już miliony ludzi. Europejska Agencja Leków jeszcze go nie zatwierdziła, ponieważ standardy UE są słusznie wysokie. Niektóre państwa członkowskie UE mają nawet skłonność do przesadnych reakcji, na przykład w przypadku szczepionki AstraZeneca; zwiększa to presję na zakup (i produkcję) Sputnika V w UE. Godne uwagi jest jednak to, że szczepionki Sputnik V i AstraZeneca zostały opracowane przy użyciu w dużej mierze podobnego podejścia technologii mikrobiologicznej, które różniło się od tego stosowanego w przypadku innych typów szczepionek. Rosja krytykuje Brukselę za „upolitycznienie" obsługi certyfikacji Sputnika V. Kreml zdaje się ignorować fakt, że kontrolowane przez niego kanały medialne stawiają (lub pozwalają na to) absurdalne i groteskowe zarzuty zachodnim szczepionkom. Ludzie w rosyjskiej przestrzeni informacyjnej boją się doniesień o „trujących" zachodnich szczepionkach. Zachód woli nie reagować na rosyjskie operacje (dez)informacyjne. Zajmuje się opieką zdrowotną, a Moskwa aktywnie promuje swoją „dyplomację szczepionkową", jak jest ona nazywana na Zachodzie. Rosja stara się zaszczepić w Europie większy brak zaufania oraz większą rozbieżność i brak jedności. Na przykład słowacki rząd zajął dwa różne stanowiska: premier powiedział, że Sputnik V nie ma nic wspólnego z polityką, ale minister spraw zagranicznych określił rosyjską szczepionkę jako instrument wojny hybrydowej. Zachód niewiele nauczył się na sztuczkach propagandowych Kremla we Włoszech wiosną 2020 roku, kiedy konwoje rosyjskich lekarzy wojskowych i innego personelu (zapewne w towarzystwie oficerów GRU) przedostawały się z Rzymu do Bergamo pod rosyjskimi flagami. Moskwa chce być na dużym ekranie, machać flagą i odgrywać rolę zbawiciela świata. Masowa produkcja Sputnika V na eksport to oczywiście bardziej projekt polityczny niż biznesowy. Wysoki priorytet przyznany innym krajom kosztem własnej ludności Rosji mówi sam za siebie. ■

> CELEM ROSJI JEST POWIĘKSZANIE Z DNIA NA DZIEŃ LISTY KRAJÓW W PANDEMICZNYM NIEBEZPIECZEŃSTWIE, KTÓRE SĄ SKŁONNE KUPOWAĆ – A OSTATECZNIE TAKŻE PRODUKOWAĆ – SPUTNIK V.

eprasa.pl 05def14ee0

Ryszard Czarnecki

Polskie „sporty narodowe”

Jaki jest sport narodowy Polaków? I co to jest „sport narodowy”? Czy na to miano zasługuje dyscyplina, którą uprawia amatorsko rzesza naszych rodaków? Czy raczej ta, w której osiągamy wielkie sukcesy, mamy wspaniałą tradycję i jesteśmy z niej znani w świecie, jesteśmy w niej mistrzami?

Gdyby brać pod uwagę masowość uprawiania danego sportu, to mogłoby nim być... narciarstwo, skoro na deskach jeździ około 4 mln obywateli Rzeczypospolitej. Ale przecież nikt o zdrowych zmysłach nie powie, że to nasz „sport narodowy”. Z czego jak z czego, ale z jazdy na nartach raczej nie słyniemy w skali globu. Zatem należy przyjąć drugą definicję: sportu z dużymi tradycjami w Polsce, z wielkimi sukcesami Biało-Czerwonych i identyfikowanym w sportowym świecie jako polska domena.

Biorąc pod uwagę te kryteria, widzę trzy dyscypliny, które można by uznać w Polsce za sport narodowy. Są to: siatkówka, żużel i skoki narciarskie. Zwracam uwagę, że są to dyscypliny, które ze sobą nie konkurują, bo każda z nich reprezentuje inną kategorię. Żużel jest najpopularniejszym od lat w Polsce sportem nieolimpijskim. Skoki narciarskie to dyscyplina z zimowych Igrzysk Olimpijskich (IO). Siatkówka wreszcie jest w programie letnich IO. Omówmy każdy z tych trzech naszych sportów narodowych.

SIATKÓWKA

Polacy są dwukrotnymi z rzędu mistrzami świata w tej dyscyplinie (2014, 2018). W ostatnim przedcovidowym sezonie Polacy zdobyli medale we wszystkich możliwych imprezach: Mistrzostwach Europy (brąz), Pucharze Świata (srebro), Lidze Narodów – dawnej Lidze Światowej (brąz), Uniwersjadzie, czyli w Akademickich Mistrzostwach Świata (srebro). Do tego w cuglach wygraliśmy kwalifikacje olimpijskie. W tym sezonie polski klub (Zakłady Azotowe ZAKSA Kędzierzyn-Koźle) dotarł do finału Ligi Mistrzów, co na przykład w piłce nożnej czy koszykówce jest surrealistycznym marzeniem. W pierwszej ósemce tejże Ligi Mistrzów był jeszcze jeden polski zespół, a trzeciemu zabrakło zaledwie czterech małych punktów, by się tam znaleźć. W zeszłym sezonie, niedokończonym z powodu pandemii, jeden z polskich klubów (Jastrzębski Węgiel) dotarł do pierwszej czwórki LM, lecz rozgrywek nie dokończono. W innym europejskim pucharze siatkarki Chemika Police też były w pierwszej czwórce – i również rozgrywek nie dokończono.

Dodajmy do tego, że reprezentacja Polski kobiet była w pierwszej czwórce w ostatnich Mistrzostwach Europy i na piątym miejscu globalnej Ligi Narodów.

Nasza męska Plus Liga jest jedną z dwóch najsilniejszych lig Europy i świata (obok włoskiej). Tylko w Polsce na mecze siatkarskie inaugurujące mistrzostw świata czy Europy potrafiło na Stadion Narodowy w Warszawie przyjść 65 tys. ludzi!

ŻUŻEL

Polska Ekstraliga jest najlepszą – i najlepiej opłacaną – ligą świata. Polak Bartosz Zmarzlik dwa razy z rzędu zdobył tytuł mistrza świata indywidualnie. W ostatnim roku, po wielu latach dominacji polskich juniorów w mistrzostwach kontynentu i globu, Polacy nie zdobyli indywidualnie złota, tylko srebro (MŚ Dominik Kubera, ME Jakub Miśkowiak), ale i tak zdobyliśmy pierwsze miejsca w drużynowych ME i MŚ.

FIM, czyli Międzynarodowa Federacja Motorowa, żeby przerwać nudną z ich punktu widzenia dominację Biało-Czerwonych na drużynowych Mistrzostwach Świata, specjalnie zmieniła regulamin. Nakazała wystawienie w zawodach nie czterech zawodników, jak dotąd, tylko dwóch, co zwiększyło szanse innych nacji, które nie były w stanie znaleźć kilku żużlowców na najwyższym poziomie – czego wymagano w poprzednich edycjach DMŚ. To dlatego Polacy w ostatnich dwóch drużynówkach zdobywali „tylko” srebro, a nie złoto.

SKOKI NARCIARSKIE

Wiadomo: Adam Małysz, Kamil Stoch, Dawid Kubacki, Piotr Żyła – mistrzowie medaliści igrzysk i mistrzostw świata, tłumy na skoczniach w Zakopanem i Wiśle-Malince, gdy odbywają się zawody Pucharu Świata.

Oto nasze dyscypliny narodowe! Oczywiście najważniejszą z nich jest siatkówka... ■

eprasa.pl 05def14ee0



Marcin Wolski

CZY TEN NIEDŹWIEDŹ JESZCZE ŚPI?

Czy mamy bać się Rosji, tej, jak to trafnie zauważył Donald Trump, gigantycznej, zdezelowanej stacji benzynowej, niestety wyposażonej w broń jądrową? Możemy, ale chyba nie powinniśmy. W czasie kryzysu kubańskiego z początkiem lat 60. rzeczywiście razem z dorosłymi bałem się atomowej zagłady, nie mając pojęcia, że zagrożenie opierało się na wielkim blefie Chruszczowa, bo w wypadku starcia Rosja była bez szans. Czy coś z nas by zostało, to już inna sprawa. Doświadczenie całej historii człowieka dowodzi, że działania przywódców, nawet zbrodnicze i okrutne, opierały się na kalkulacji. Nawet Hitler początkowo dość racjonalnie pragnął opanować świat bez używania broni. I może by mu się udało (zwłaszcza na Zachodzie), gdyby nie Polska, stąd straszliwy odwet. W pełni oszalał dopiero, kiedy zaczął przegrywać. Większość wojen kończyła się zwykle po osiągnięciu zdecydowanej przewagi przez jedną ze stron. Wyjątki dotyczą dwóch przypadków – wojen religijnych i ideologicznych. Tylko wtedy zwycięstwo musi być totalne (klęska przy okazji też). Jedynie w takich wojnach perspektywa całkowitego zniszczenia jednej strony, a może i dwóch, nie wprowadza czynnika umiarkowania. Przy wojnie starego typu po Stalingradzie, a najpóźniej po zajęciu Paryża przez koalicjantów, Niemcy powinny przejść do rokowań, ustępstw itp. Rozumieli to zresztą generałowie, próbujący przez zamach w Wilczym Szańcu usunąć Hitlera. Ale nie udało się, a Führer jeszcze postanowił ukarać własny naród, że nie dorósł do jego oczekiwań. Podobnie niebezpieczne był powojenne konflikty ideologiczne. Zwycięstwo światowego komunizmu warte było – zdaniem Stalina, Chruszczowa, Breżniewa – każdej ceny. Ale nawet oni postępowali ostrożnie, szli na gotowe i brali łatwe zdobycze. Najgłupszy okazał się Breżniew wchodzący do Afganistanu.

Motywacja ideologiczna na szczęście znikła. Marksizm zwycięża w campusach uniwersyteckich i domowych sypialniach. Rosji pozostał już tylko tradycyjny nacjonalizm, a imperialne sny o potędze mają głównie stanowić opium dla ludu. Nawet odbudowany ZSRS byłby jedynie słabszym bratem Chin. Putin to wie, lecz nie przyjmuje do wiadomości, co nie znaczy, że jest gotowy na globalną zawieruchę. (Dzieci oligarchów chodzą do angielskich szkół, pieniądze śpią w szwajcarskich bankach, a gospodarka, w tym armia, trzyma się dzięki gazowi i ropie sprzedawanym na Zachodzie.) Owszem wobec zagranicy nowy car stosuje technikę salami, jątrzy i dzieli, urywa kawałki słabszym, wchodzi tam, gdzie się uda, lecz potrafi się zatrzymać, gdy ryzyko jest zbyt wielkie, chociaż raczej się nie wycofuje.

Cały obszar dawnego ZSRS usiany jest tlącymi się konfliktami, jednak pozostającymi pod kontrolą. Rosja chętnie posługuje się lokalnymi separatyzmami (Naddnistrze, Osetia, Abchazja), promuje rządy bardziej przyjazne Rosji, najlepiej wyłonione metodami demokratycznymi. Ma plan minimum i oczywiście plan maksimum, ale potrafi zachować pewną powściągliwość. W 2014 roku Putin urwał Krym i Donbas, lecz nie ruszył na Kijów i przegrał Odessę. Następnym razem spróbuje pójść dalej.

> W 2014 roku Putin urwał Krym i Donbas, lecz nie ruszył na Kijów i przegrał Odessę. Następnym razem spróbuje pójść dalej.

W czasach niewoli mongolskiej Moskwa przyswoiła sobie nauki Sun Zi, w którego sztuce wojennej ogromną rolę odgrywają szantaż, blef, przekupstwo i zdrada. Cele napięć roku 2021 to zapewne transakcja wiązana. Odstąpienie od Ukrainy za cenę dokończenia Nord Stream 2 i ostateczne wchłonięcie Białorusi. A potem? Trochę się poczeka i pójdzie dalej (z Putinem albo nawet bez niego). Azjatyckie dyktatury oparte na przemocy i zniewoleniu społeczeństw mają czas. Całe mnóstwo czasu. Nie to co ci europejscy narwańcy z przeszłości, których dziś już nie ma. ■

eprasa.pl 05def14ee0

Tomasz Sakiewicz

To był najlepszy test na patriotyzm

Od czasu tragedii smoleńskiej przed Polakami, a szczególnie przed naszymi elitami, nie było ważniejszego testu niż okres pandemii. Zagrożenie życia i różnego typu zachowania rodzące egoizm lub altruizm weryfikują doskonale nastawienie ludzi.

Co jest kluczem w walce z pandemią? Przede wszystkim dyscyplina społeczna. Nawet najgorsze zarządzenia władz są lepsze niż chaos. Dlaczego? Bo epidemia kocha zamęt, wtedy szerzy się najmocniej. Oczywiście władza musi ze swoich prerogatyw korzystać w sposób rozumny, a opozycja i media nie przeszkadzać, tylko podpowiadać najlepsze rozwiązania. Opozycja i wolna prasa mają prawo nie zostawić na rządzie suchej nitki za każdy błąd, lecz w czasie kataklizmu ten przekaz nie może paraliżować działań. Na pewno nie wolno ludzi sprowadzać na manowce tylko w imię żerowania na lękach, zmęczeniu czy zjawisku wyparcia zagrożenia. Bardzo wielu ludzi fantastycznie sprawdziło się w czasie tej epidemii: dotyczy to lekarzy czy – szerzej – pracowników służby zdrowia, żołnierzy i funkcjonariuszy różnych służb. Naprawdę ogromna liczba wolontariuszy zupełnie anonimowo robiła, co mogła, by pomagać najbardziej potrzebującym i ograniczać skalę zarazy. Ale ta epidemia uwidoczniła też postawy odwrotne. Nie wiem, co wyobrażali sobie niektórzy liderzy opozycji, proponując przesunięcie wyborów prezydenckich na jesień ubiegłego roku, kiedy wszelka wiedza medyczna wskazywała, że nastąpi druga fala pandemii. Próba pozostawienia państwa bez jego szefa to też było budowanie chaosu i pogłębianie kryzysu. Za takie działania pomysłodawcy powinni zapłacić cenę politycznego niebytu. Jednak jeszcze bardziej przerażające były postawy negujące sens walki z epidemią czy wręcz samą pandemię. Wyjątkowo mocno było to widać przy drugiej fali. Ile istnień ludzkich pochłonęło opowiadanie bzdur przez polityków i dziennikarzy? Niełatwo to przeliczyć, ale osobiście żyję w jakimś ponurym przekonaniu, że część naszych kolegów świadomie lub z głupoty stało się mordercami. To tak, jakby na ruchliwej drodze ktoś nagle samowolnie zaczął zmieniać znaki drogowe. Bo media i politycy dla ludzi są właśnie takim znakiem i czytelnicy czy wyborcy w swoim zaufaniu do liderów opinii podejmują decyzje, licząc na uczciwe podpowiedzi.

> NIE MAMY WŁAŚCIWIE ŻADNEJ INNEJ BRONI DO WALKI Z EPIDEMIĄ NIŻ SZCZEPIONKI. WSZYSTKIE INNE TYLKO OGRANICZAJĄ JEJ ZASIĘG, A ZAKOŃCZYĆ JĄ MOŻE TYLKO MASOWA AKCJA SZCZEPIEŃ. JEST NIEZWYKLE ISTOTNE, BY ZDECYDOWANA WIĘKSZOŚĆ Z NAS ZDĄŻYŁA PODDAĆ SIĘ WAKCYNACJI, ZANIM PRZYJDZIE CZWARTA FALA.

Najbardziej jednak przeraziła mnie akcja zniechęcania do szczepionek. Nie mamy właściwie żadnej innej broni do walki z epidemią niż szczepionki. Wszystkie inne tylko ograniczają jej zasięg, a zakończyć ją może tylko masowa akcja szczepień. Jest niezwykle istotne, żeby zdecydowana większość z nas zdążyła poddać się wakcynacji, zanim przyjdzie czwarta fala. Jeżeli tak się stanie, to jej po prostu nie będzie albo nie wywoła istotnych skutków. Jest jeszcze inny ważny powód: im mniej zarażonych, tym mniejsza szansa na nowe mutacje, te okazują się trochę wbrew dotychczasowemu doświadczeniu coraz bardziej niebezpieczne.

Szczepimy się dla siebie i dla innych – dla naszych rodzin, przyjaciół i całego społeczeństwa. To test na prawdziwy patriotyzm i też potężna demaskacja różnych złotoustych szermujących interesem narodowym, a w chwili próby żerujących na niewiedzy i ludzkich lękach tylko dla uzyskania doraźnych zysków. ■

eprasa.pl 05def14ee0

CYFROWY POLSAT

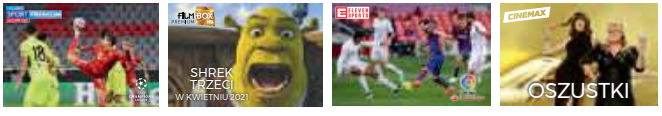
SPORTOWE EMOCJE CZY FILMOWA GORĄCZKA?

WYBIERZ OFERTĘ TV Z ULUBIONYMI KANAŁAMI OD **30 ZŁ/MIES.** I DODAWAJ PAKIETY!





TV KABLOWA IPTV | TV INTERNETOWA | TV SATELITARNA



Na start pełna oferta przez **1 MIESIĄC BEZ OPŁAT!**

Oferta ważna na dzień 26.04.2021 r. Zaprezentowano kanały z różnych ofert telewizyjnych. Promocja dla nowych Klientów telewizji satelitarnej, kablowej IPTV oraz internetowej przy umowach ze zobowiązaniem od 30 zł/mies. i z okresem podstawowym na 24 okresy rozliczeniowe. „Bez opłat" nie dotyczy opłaty jednorazowej za aktywację dekodera oraz opłat za internet. Usługa telewizji kablowej IPTV działa z internetem stacjonarnym Plusa, Netii i Orange. Usługi telewizji internetowej i telewizji kablowej IPTV wymagają łącza o min. prędkości 8 Mb/s na dekoder. Szczegóły w Warunkach Oferty, Regulaminie Promocji i Regulaminie, dostępnych u Sprzedawców i na www.cyfrowypolsat.pl.

„Nierealne" © Home Box Office. „Oszustki" © 2020 Home Box Office Inc. LaLiga Santander oraz cały sezon Formula 1® w ELEVEN SPORTS. Fot. Getty Images. The F1 FORMULA 1 logo, F1 logo, FORMULA 1, F1, FIA FORMULA ONE WORLD CHAMPIONSHIP, GRAND PRIX and related marks are trademarks of Formula One Licensing BV, a Formula 1 company. All rights reserved. „Shrek Trzeci"™ & © 2007 Dreamworks Animation LLC.

eprasa.pl 05def14ee0